CO GRYZIE WETERYNARZA

ŁUKASZ ŁEBEK

autor bloga „Nie zadzieraj z weterynarzem”

zdradza tajniki swojego zawodu

WP

CO GRYZIE WETERYNARZA

CO GRYZIE WETERYNARZA

Łukasz Łebek

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Copyright © Łukasz Łebek, 2021
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Redaktorka prowadząca: Weronika Jacak
Marketing i promocja: Agata Gać
Redakcja: Joanna Jeziorna-Kramarz
Konsultacja merytoryczna: lek. wet. Przemysław Łuczak
Korekta: Agata Tondera, Karolina Borowiec-Pieniak
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Barbara Adamczyk
Ilustracje we wnętrzu książki: Izabella Lachowicz
Projekt okładki i stron tytułowych: Martyna Wójcik-Śmierska
Fotografia autora na skrzydełku: Aleksandra Szczygieł
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66570-48-1

Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
redakcja@wydawnictwopoznanskie.pl
www.wydawnictwopoznanskie.pl

Spis treści

Wstęp,
czyli jak wszystko się zaczęło

Rozdział I
Nie jedz tego!

Rozdział II
To bolało!

Rozdział III
Gówniana robota

Rozdział IV
Doktorze! Ja wiem, co mu jest!

Rozdział V
Pies to nie człowiek. Owca to nie mała krowa

Rozdział VI

Nocki, niedziele i święta

Rozdział VII
No to w teren

Rozdział VIII
Pacjenci w pudełku

Rozdział IX
Koty – koty są miłe?

Rozdział X
On nie jest gruby, tylko ma grube kości

Rozdział XI
Ile zwierzęcego cierpienia potrafi znieść człowiek?

Rozdział XII
Starość nie radość

Rozdział XIII
Wszystko się kiedyś kończy – rzecz o eutanazji

Rozdział XIV
Partnerstwo – tak. Autokratyzm – nie

Zakończenie z bonusem

Podziękowania

Polecamy również

WSTĘP,
czyli jak wszystko się zaczęło

Zawsze chciałem napisać książkę o mojej pracy. Dlaczego? Nie wiem. Po prostu czułem, że weterynaria ma potencjał. Miałem w głowie setki scenariuszy i konspektów. Szczególnie gdy brałem prysznic. Jednak te toaletowe pomysły uciekały szybko niczym woda z brodzika. Gdy już zacząłem pisać książkę, okazało się, że nie stawała się ona podobna do niczego, co sobie wyobrażałem. Weźmy sam wstęp. Już na studiach wymyśliłem sobie rozpoczęcie mojego „dzieła". Miało ono wyglądać tak:

Jest druga w nocy, sierpień. Siedzę na progu przed drzwiami przychodni i palę papierosa. Noc jest piękna. Na bezchmurnym niebie gwiazdy próbują przebić się swoim blaskiem przez łunę miasta. Jednak cuda wszechświata są mi w tej chwili obojętne. Teraz ważny jest dla mnie tylko ten kawałek tytoniu tlący się w mojej dłoni. Muszę rzucić – myślę i wypuszczam kłąb dymu, który na chwilę zasłania zarówno łunę, jak i gwiazdy. Z cichym przekleństwem na ustach znowu zerkam na zegarek. Od czterdziestu minut czekam na psa, który wpadł pod samochód. Patrzę w końcu w niebo i szukam wśród gwiazd odpowiedzi na pytanie: Dlaczego nie wybrałem stomatologii?

Moja opowieść miała zakończyć się w tym miejscu konkluzją, że ludziom śmierdzi z ust i z dwojga złego lepiej szyć pokrwawione zwierzęta. Tak to miało wyglądać. Ale nie wygląda. Po pierwsze nie palę. Więc nie musiałem rzucać. Pod drugie nie noszę zegarka. Może gdzieś w światach równoległych istnieję w wersji, która wypala dwie paczki dziennie i nosi zegarek na lewym nadgarstku. Jednak ten ja, który siedzi przed komputerem i uderzając w klawisze, pisze te słowa, palaczem nie był i nie jest, a do kwestii pomiaru czasu nie przykłada większej wagi.

No i stomatologia mi nigdy po głowie nie chodziła.

Poza tym to nie jest powieść, a już na pewno nie w gatunku fantasy, którą planowałem napisać od czasów podstawówki. Wiecie, taka z elfami, krasnoludami i pierścieniem mocy, jeśliby się jakiś przydarzył. Tymczasem przed wami leży… No właśnie, co? Z pewnością książka. Ale jaka dokładnie? Lubimy przecież precyzyjne określenia. Nie jest to powieść, jak już ustaliliśmy, nie jest to także zbiór opowiadań ani tomik poezji. Długo się zastanawiałem nad naturą tej książki. Ważne jest dla mnie, aby móc ją przedstawić. Mimo szczerych chęci sprecyzowania i przyporządkowania mojego „dzieła literackiego” do jakichkolwiek schematów otrzymałem jedynie listę tego, czym ta książka nie jest. Zdecydowanie nie jest to pozycja naukowa, choć zdarzyło mi się zerknąć do literatury fachowej, żeby być merytorycznie poprawnym. Nie oddaję wam także w ręce poradnika. Co to, to nie! Nawet jeśli czasem udzielam rad, chciałbym, aby przytaczane historie były materiałem do przemyśleń, nie gotową receptą.

Książka ta jest po prostu zbiorem opowieści z codziennego życia zwykłego lekarza weterynarii. Weterynarza lub, jak często słyszę, weta. Nazywajcie mnie, jak chcecie. Wszystkie historie zdarzyły się naprawdę, można więc powiedzieć, że napisało je życie. Dodatkowo opatrzone są moimi osobistymi przemyśleniami, czasem emocjami.

„Subiektywne historie z życia weta”, myślę, że tak to określę. Mam nadzieję, że dzięki nim spojrzycie na wizytę w gabinecie moimi oczami.

Nie wszystko da się precyzyjnie ułożyć i przyporządkować. Nie zawsze można w pełni zrealizować plan. Nie zacząłem książki w sposób, jaki sobie zaplanowałem. Jednak jakoś zacząć należy. Wszystko ma swój początek. Zacznijmy więc od tego, jak to się stało, że nie zostałem ludzkim lekarzem…

•

Wielokrotnie zadawano mi pytanie, dlaczego wybrałem zawód lekarza weterynarii. Odpowiadam zawsze, że tak po prostu wyszło. Nie zrobiłem tego z miłości do zwierząt czy pieniędzy… Dobra, muszę przyznać, że to nie jest całkiem prawda. Zwierzęta bardzo lubiłem (o czym dowiecie się już w następnym akapicie) i te ciepłe uczucia dalej mi zostały. Spokojnie! Jestem zwierzolubny. Chciałem tylko zaznaczyć, że ani miłość do zwierząt, ani chęć zarobienia pieniędzy nie były głównym motywatorem wyboru ścieżki zawodowej. Nie podążałem za wskazaniami jakiegoś mistycznego powołania. Prawda jest jedna. Jestem weterynarzem, bo chciałem. Od zawsze. Albo prawie od zawsze.

Jako mały pędrak byłem strasznie zafiksowany na punkcie zwierząt. Moi koledzy bawili się modelami samochodzików, udawali strażaków czy żołnierzy, a ja miałem menażerię plastikowych zwierzaków. Pewnego dnia dostałem od rodziców dużą ciężarówkę z lawetą. Myślicie, że woziłem nią samochodziki? Gdzieżby! Wystarczyło usunąć z niej przeszkadzające resoraki i *voilà*, mamy wóz do transportu słoni, świń, żółwi i innych jeżozwierzy.

Poza tym stałem się postrachem wszystkich małych stworzeń. Wiosna i lato były czasem zakładania „hodowli”. Wsadzałem do

słoików wszystko, co nie zdołało mi uciec. Pewna biedna jaszczurka zostawiła mi w dłoni swój ogon. A może nawet więcej niż jedna. Teraz nad tym strasznie ubolewam. Moje „hodowle" insektów nie przeżywały długo. I nie chodzi o to, że o nie nie dbałem. Problem w tym, że w latach dziewięćdziesiątych dostęp do informacji był znacznie bardziej utrudniony niż obecnie. Dlatego nie wiedziałem, czym karmić te moje pasikoniki, chrząszcze i inne im podobne. Moja „fachowa" literatura milczała na ten temat lub wyrażała się niejasno. Teraz bym przeczytał w internecie. A prawdopodobnie po prostu dałbym tym istotom święty spokój. Z perspektywy czasu wiem, że nieświadomie się nad nimi znęcałem. Nie usprawiedliwiam się. Było, jak było. Moim dzieciom jednak nie pozwalam na taką zabawę. Owady podglądamy w ich naturalnym środowisku. Swoją drogą, świetnym wynalazkiem są pojemniki do obserwacji insektów. Przypominają mały słoik z lupą. Dzięki nim dziecko może obejrzeć stwora z każdej strony i po zakończonym badaniu bez szwanku wypuścić stworzenie na wolność.

Myślę, że istotny wpływ na moje przyszłe decyzje miała fascynacja filmami Jacques'a Cousteau i Davida Attenborough. Fraza: „Czytała Krystyna Czubówna" budzi we mnie same miłe wspomnienia. Już w wieku pięciu lat postanowiłem zostać przyrodnikiem. Wyobrażałem sobie, że będę jeździł po świecie i oglądał zwierzęta. Nie miałem pojęcia, co robi taki przyrodnik poza oglądaniem.

Wszystko się zmieniło, gdy zachorował nasz pies Luks, wielki owczarek niemiecki. Właściwie anioł, nie pies. Można by o nim napisać książkę, ale tu wspomnę tylko, że był to taki zwierz, który każdemu psiarzowi trafia się raz w trakcie jego egzystencji na tym łez padole. Kojarzycie książki Erica Knighta, których bohaterem był owczarek szkocki o imieniu Lassie? Zwierzę wykazuje się niezwykłą bystrością, ratuje rodzinę z opresji i zawsze wraca do domu. Luks był naszym odpowiednikiem Lassie. Kiedy miałem kilka lat, razem z moją

przyjaciółką Kasią postanowiliśmy uciec z domu. Wykorzystując nieuwagę rodziców, zwialiśmy z podwórka i schowaliśmy się w jakichś chaszczach. Oczywiście nie reagowaliśmy na paniczne okrzyki szukających nas ludzi i świetnie się bawiliśmy. Mój tata wypuścił psa na ulicę i powiedział mu: „Przyprowadź Łukasza". Nie minęło pięć minut, a już wbiegaliśmy na podwórko, szturchani w tyłki przez zaganiającego nas psa. Taki właśnie był nasz Luks. Mądry i troskliwy. Przyjazny dla rodziny i przyjaciół, a jednocześnie pilnie stróżujący na posesji. Nie przepuścił okazji do przejażdżki w bagażniku poloneza, a na spacerze pozwalał się prowadzić nawet kilkulatkowi. Pies nad psy.

Jak wszyscy wiemy, życie jest brutalne i każdy z nas będzie je musiał kiedyś zakończyć. Nawet ci, których bardzo kochamy. Luks zachorował w sobotę. Męczyły go uporczywe wymioty. Pojechaliśmy do weterynarza. Niestety mimo udzielonej pomocy nie udało się go uratować. W niedzielę rano wszedł na schody prowadzące do naszego domu. Było to jego ulubione miejsce. Położył się i odszedł.

Miałem chyba 10 lat.

Po przeszło dwóch dekadach wszyscy wciąż go wspominamy z łezką w oku. Taki to był pies. Myślę jednak, że jego śmierć była jednym z punktów zwrotnych w moim życiu. Jednym z tych, które doprowadziły mnie do miejsca, w którym dziś stoję. Bo od tamtej pory chciałem leczyć zwierzęta. Żeby inne Luksy nie musiały odchodzić. Gdybym nie doświadczył tak silnego przeżycia, mógłbym obrać inną drogę. Na przykład uczyć biologii. W szkole. O zgrozo!

Myśli, że będę weterynarzem, trzymałem się wiele lat. Z tego prostego, mogłoby się wydawać, toru, wybiło mnie zdrowie. Od siódmego roku życia walczę z alergią. W skrócie – wszystko, co ma kwiatki, próbuje mnie zabić. A jak nie ma kwiatków, które mogą pylić, atak przypuszczają roztocza. Ze zwierzętami nie miałem problemów. Kiedy miałem naście lat, moja lekarka prowadząca

powiedziała: „Łukasz, są cztery zawody, których nie możesz wykonywać: weterynarz, bibliotekarz, piekarz i weterynarz". Jak widzicie, podkreślając wagę zakazu, wymieniła mój wymarzony zawód dwukrotnie. Świat mi się zawalił. Nie miałem innego pomysłu na życie.

Dlaczego nie weterynarz?! Argumentem było to, że muszę unikać zawodów wymagających kontaktu z dużym zapyleniem, kurzem, sianem itd. Tak więc leczenie zwierząt miało odpłynąć do krainy zapomnienia. Wymyśliłem więc, że zostanę ludzkim lekarzem. To nawet wydało mi się prostsze, bo trzeba ogarniać tylko jeden gatunek. Okłamywałem się przez dwa lata liceum, twierdząc, że pójdę na medycynę. Mój tata woził mnie nawet na kursy przygotowujące do Warszawy (mieszkam zaledwie 250 kilometrów od niej), abym maturę zdał tak, żeby się dostać na ten kierunek. Był tylko jeden problem. Nie chciałem leczyć ludzi. Bardzo nie chciałem mieć z nimi kontaktu.

Czas liceum to dla mnie pora nasilającej się mizantropii. Towarzystwo ludzi było mi zbędne, wtedy wystarczały mi książki i muzyka. Byłem strasznym odludkiem. Zresztą dalej nie należę do imprezowiczów i dusz towarzystwa. Wtedy jednak nie wyobrażałem sobie, że mógłbym codziennie wchodzić z ludźmi w – bądź co bądź – bliskie kontakty. Przeszła mi przez myśl idea zostania lekarzem sądowym, jednak w naszym kraju wiąże się to z ukończeniem medycyny i zrobieniem późniejszej specjalizacji. Nie istnieje osobna ścieżka zawodowa dla medyków sądowych. Wszystko było na nie. Mogłem męczyć się całe życie, robiąc to, czego nie chcę robić, albo męczyć się zdrowotnie całe życie, podążając za marzeniem. Te wewnętrzne rozterki „wygrała" weterynaria. Stwierdziłem: „Pieprzyć to! Wezmę coś na alergię i dam radę!". Rodzicom powiedziałem o swojej decyzji dopiero po złożeniu deklaracji o wyborze przedmiotów maturalnych. Nie zgłosiłem chęci zdawania fizyki, co

przekreśliło mnie jako kandydata na medycynę. Przyjęli to dobrze, a tata powiedział tylko: „Tak czy siak, będę miał syna na medycynie”.

A teraz przeskakujemy w czasie.

Zanim o studiach, pragnąłbym was zapewnić, że naprawdę trzeba je skończyć, żeby być weterynarzem. Myślicie, że to oczywiste? Nie dla wszystkich. Pewien pan spytał mnie kiedyś: „A żeby być weterynarzem, to trzeba jakąś szkołę skończyć?”. Gdy odpowiedziałem twierdząco, był równie zaskoczony, jak ja jego pytaniem. Dlatego o tym piszę. Nie wystarczy iść do mistrza i zadeklarować chęci podjęcia terminu. Poważnie, trzeba te studia skończyć. Na skróty się nie da.

Studiowałem na Wydziale Medycyny Weterynaryjnej Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Wtedy medycynę weterynaryjną można było studiować na czterech wydziałach: w Warszawie, we Wrocławiu, w Olsztynie i Lublinie. Obecnie studiować ją można również w Krakowie, Poznaniu i Toruniu. Walczyłem dzielnie przez 11 semestrów i finalnie, bez poślizgów czasowych i powtarzania roku, zdobyłem upragniony tytuł lekarza weterynarii. Nie było łatwo! I nie jest to kwestia przechwalania się. Nie byłem superuzdolnionym studentem, miałem jednak dużo samozaparcia.

Studia wspominam ambiwalentnie. Z jednej strony dobrze, z drugiej koszmarnie. Studia weterynaryjne można porównać do tego, co o dobrym filmie powiedział Alfred Hitchcock. One też zaczęły się od trzęsienia ziemi, a potem napięcie stopniowo rosło. Stopniowo i nieprzerwanie. Pierwsze, co musi uświadomić sobie młody student (i pewnie jest tak na każdym wydziale), to to, że studia to nie liceum. Nikt nie będzie za tobą chodził i prosił, żebyś coś zrobił, a mama nie napisze ci usprawiedliwienia, bo nie chciało ci się przyjść. Miejsce na studiach zostało wywalczone i tylko od ciebie zależy, czy je utrzymasz. Nie stawiasz się na określonych terminach

zaliczeń, oblewasz. Nie chodzisz na zajęcia? Wypad. Studenci przychodzą i odchodzą. Nikt was na siłę tu nie trzyma. Zupełnie inaczej niż w liceum, gdzie niejednokrotnie nauczycielom bardziej zależy na ocenach niż uczniom. Studia mają jednak skończyć ludzie dojrzali, odpowiedzialni za swoje czyny.

Kolejna prawda, którą trzeba było przetrawić, to, cytując kilka pierwszych zdań skierowanych do nas przez jednego z profesorów: „Studia to poszukiwanie wiedzy. Nie podamy wam jej na talerzu. Wykłady i ćwiczenia to tylko ułamek wymaganego od was materiału". I na przykład wykłady z anatomii takie były. Wskazówki do dalszego odkrywania zakamarków zwierzęcego ciała. Dodatkowo analogowe w dobie cyfryzacji. Prowadzący stawał przy rzutniku, na którym kładł czystą kartkę. Na niej pisał pięknym kaligraficznym pismem łacińskie nazwy omawianych struktur anatomicznych. Pisząc, cały czas opowiadał o budowie ciała różnych gatunków. Bez kolorowych prezentacji, bez tej całej nowoczesnej otoczki. I wiecie co? To były wykłady, które najmilej wspominam. Świetnie słuchało się człowieka o wysokiej kulturze osobistej, który miał do tego ogromną wiedzę. Prawdziwy profesor. Taki powinien być wykładowca uczelni.

Pamiętajmy jednak, że ludzie są tylko ludźmi i jeśli się spodziewacie, iż na wydziale medycyny weterynaryjnej spotkacie samych kryształowych obywateli, to czeka was rozczarowanie. Jak w każdej społeczności i tu poznacie pełen zakres ludzkich charakterów. Nie ma się co dziwić i nie ma co się na ten temat rozpisywać. Jeśli ktoś chce zobaczyć, jak to jest, to zapraszam na wydział medycyny weterynaryjnej. Ważne jest jedynie to, że nie każdy dobry naukowiec będzie dobrym dydaktykiem. Z ręką na sercu mogę jednak stwierdzić, że większość akademików była wobec nas w porządku i nie rzucała nam kłód pod nogi. Czego nie należy mylić z pobłażaniem i pozwalaniem na brak pracy. Wymagano od nas dużo

i konsekwentnie egzekwowano spełnianie tych wymagań. Jednak zwykle łączyło się to także z szacunkiem wobec studenta. A gdy czuliśmy, że jedyną winę za niepowodzenie ponosimy my sami, nie mogliśmy żywić urazy do prowadzących zajęcia.

Oczywiście bywały także sytuacje, gdy obojętnie co byście zrobili, i tak byście oblali. Pamiętam egzamin, na którym prawidłowa odpowiedź musiała zawierać słowo „erytrocyt", a wyrażenie „czerwona krwinka" równało się niezaliczeniu pytania. Na egzaminie poprawkowym było zupełnie na odwrót. I rozumiem, można uznać, że czerwona krwinka to nazwa potoczna, a erytrocyt jest określeniem, którego wypada używać lekarzowi. Tylko po co zmieniać wersję z egzaminu na egzamin? Nie pojmuję tego, bo to przecież to samo. Wtedy było to denerwujące. Teraz opowiadam to w charakterze zabawnej anegdotki.

Na szczęście, jak już wspominałem, większość profesorów i doktorów była pozytywnie nastawiona do studentów. Tych nieogarniętych stworzeń, które czasem zachowują się jak dzieci we mgle. Szczerze muszę przyznać, że studenci bywają utrapieniem, i nie dziwię się, że temu czy innemu profesorowi puszczają nerwy. Przecież student to taki uczeń, tylko bardziej cwany i z wybujałym ego. Mój ukochany Terry Pratchett w jednej z książek pisze: „Chociaż, kiedy się zastanowić, z pewnością mógłbym prowadzić znacznie lepszy uniwersytet, gdyby nie ci przeklęci studenci, którzy bez przerwy plączą się pod nogami"[1]. I pewnie jest to prawda. Faktem jest, że większość kłopotów, które spadały na nas, była tylko i wyłącznie naszą winą. A to niestawienie się na pierwszy termin zaliczenia, a to przyłapanie na ściąganiu. Mimo iż wtedy ten i ów, w tym także ja, użalaliśmy się na niesprawiedliwość, w 99% przypadków sami byliśmy sobie winni. Tak to widzę z perspektywy czasu. Jak się studiuje weterynarię? Nie mogę wypowiadać się za wszystkich, ale moim zdaniem ciężko. Przynajmniej mnie wszystko

przychodziło z trudem. Mistrz drugich terminów, oblatywacz komisów. Zawsze jeden punkt pod progiem. To ja. Oczywiście grubo przerysowany ja. Nie było aż tak źle. Jednego razu wymiatałem i wygrywałem życie, innego ponosiłem sromotną klęskę. Jak to w życiu, raz na wozie, raz pod wozem. W sesji zimowej drugiego roku nie zdałem niczego w pierwszym terminie. I nie były to przedmioty typu „pogromca studentów", jak np. farmakologia czy anatomia patologiczna. Istny orzeł wydziału medycyny weterynaryjnej. Jednak dokładnie wiem, dlaczego tak się stało. W moim życiu pojawiła się wtedy Kluska.

Kluska była szczeniakiem w typie beagle'a, prezentem dla mnie od rodziców, abym nie czuł się samotny z dala od domu. Wydawało się to genialnym pomysłem. Nie wziąłem jednak pod uwagę, że pierwsze trzy lata studiów były najtrudniejsze pod względem materiału. Zwłaszcza jego ilości. A tu poza studiami pojawił się pies. Nie myślcie jednak, że Kluska była niespodzianką. Nie! Ja bardzo chciałem mieć psa i dość długo nosiłem się z zamiarem przygarnięcia go. I było fajnie. Tylko nie pomyślałam o kilku istotnych rzeczach. Pierwszym moim niedopatrzeniem był fakt, że szczeniaka trzeba wychować, poświęcić mu czas, nauczyć go czystości. Nie ma zmiłuj. Spacery, zabawa, karmienie, sprzątanie. A w przerwach nauka. Początkowo denerwowałem się, że musiałem sprzątać to, co z Kluski wyleciało. Później, po treningu czystości, nie musiałem sprzątać, za to suczka maltretowała mnie chęcią wyjścia co godzinę. Pamiętam, jak pewnej nocy zakuwałem do jakiegoś egzaminu, a ta przyszła i jęczała, że siku. TERAZ! Załamałem się i prawie rozpłakałem.

Kolejną kwestią było to, że wtedy spędzałem na uczelni mnóstwo czasu. Często od rana do wieczora. A pies sam w domu. Nudził się. Zdarzało się, że wracałem przed dwudziestą i otwierając drzwi do mieszkania, myślałem tylko o tym, że zrobimy szybki spacer, zjem jakieś byle co i będę się uczył na jutro. Spacer był, byle co było, ale

nauki już nie. Gdy wszedłem do mieszkania, pierwsze, co ujrzałem, to pies siedzący na stosie moich notatek na jutro. Podartych na drobne kawałki i przeżutych. Kluska miała minę mówiącą: „Mam nadzieję, że jesteś zadowolony. Ileż można na ciebie czekać?!". Tego samego dnia zjadła też moje okulary. Mniej więcej dlatego niczego nie zdałem w tamtej sesji.

Można by pomyśleć, że jako student weterynarii powinienem wykazać się większą dozą rozsądku. Wziął szczeniaka, a potem narzeka, że biedny. Na swoje usprawiedliwienie powiem tylko, że byłem młody i niedoświadczony. Kluska jest pierwszym „naprawdę moim" psem. Na niej uczyłem się opieki nad zwierzęciem. Ona natomiast nauczyła mnie najwięcej o psiej naturze. O tym, jak wymagające jest żywe stworzenie, zwłaszcza w tych pierwszych miesiącach życia. Dała mi lekcję pokory i odpowiedzialności. I mimo że zeżarła moje notatki (zagryzając wspomnianymi wyżej okularami) i niezliczoną ilość razy sprawiała, że czułem się bezsilny, jestem jej wdzięczny, że była wtedy ze mną. Bo po tej całkowicie oblanej sesji to ona siedziała na kanapie z łbem na moich kolanach i przejmowała cząstkę mojego bólu. Dzięki niej wychodziłem z mieszkania i dawałem mózgowi szansę na dotlenienie. Poza tym wielokrotnie wysłuchiwała moich żalów, co jest po dwakroć cenne, gdyż, jak wiecie, pies się nie wtrąca, gdy narzeka się na wszechświat. I tak jak Luks był moim „bohaterem dzieciństwa", tak Kluska już zawsze będzie zajmowała w moim sercu szczególne miejsce jako ta, która nauczyła mnie, jak żyć z psem. I jak poznać psa.

Tak naprawdę czas studiów nie był jakimś porywającym okresem mojego życia. Nie jestem imprezowiczem. Miałem dziewczynę daleko od Warszawy, więc bardzo często wracałem do domu na weekend. Poza tym nauka pochłaniała całą moją energię. Jeśli wyobrażacie sobie studia jako coś rodem z filmów *American Pie*, to weterynaria taka nie jest. Przynajmniej dla mnie nie była. Zamiast tego miałem

masę materiału do przyswojenia, ciągłe kolokwia, wejściówki, egzaminy. Tysiące skserowanych stron i setki godzin w uczelnianej czytelni. Poza tym wyjazdy w różne miejsca, bo w środku stolicy jakoś tak brakuje gospodarstw rolnych. Nabiliśmy trochę kilometrów w czasie studiów, nie ma co. Ale przede wszystkim nauka. Dobrze, że chociaż praktyczna ze zwierzętami…

Błąd! Jakie zwierzęta! Zapomnijcie. Zanim dotrzecie do miejsca, które nazywa się przedmioty kliniczne, musicie przebić się przez teorię zwaną naukami przedklinicznymi. Jak chcecie pchać się z łapami do pacjentów, skoro nie znacie jeszcze cyklu Krebsa[2] albo farmakodynamiki pięciu tysięcy substancji leczniczych. Nie, moi drodzy, pierwsze trzy lata studiów to głównie sucha teoria. I nie wyobrażajcie sobie, że będziecie się uczyć samych przydatnych, z punktu widzenia praktykującego lekarza, rzeczy. Studia nie na tym polegają. Mają służyć do zdobycia wykształcenia wyższego i poza przedmiotami kierunkowymi trzeba zmierzyć się z masą innych, które sprawią, że wasza egzystencja będzie jeszcze bogatsza. Są zatem: filozofia, biofizyka, statystyka, zajęcia z komunikacji społecznej i nie pamiętam, co jeszcze. Zapewne jest tak na każdym kierunku studiów.

Mimo tego, że zaliczyłem liczne upadki i pewnie mogłem lepiej wykorzystać dany mi czas, nie musiałem się uczyć dłużej niż te pięć i pół roku. Medycynę weterynaryjną studiuje się bowiem 11 semestrów. Studia są jednolite (bez podziału na licencjat i magisterium) i nie kończą się egzaminem ani obroną pracy. Ukończenie studiów równa się zdobyciu tytułu. Dostałem swój dyplom w łapę i byłem gotowy do akcji. Pełen optymizmu, ponieważ miałem w zanadrzu dwie inne możliwości zatrudnienia…

…które okazały się iluzoryczne. Mimo wcześniejszych gorących zapewnień, że jest dla mnie miejsce, okazało się, że nie teraz, może za pół roku. Albo kiedyś tam. Stąd też ścieżkę zawodową zacząłem

od bycia bezrobotnym. Czas ten wykorzystałem na załatwianie formalności związanych z uzyskaniem prawa do wykonywania zawodu i zastanawianiem się, co dalej. Rozważałem otwarcie własnego gabinetu. Na szczęście tego nie zrobiłem!

Zamiast tego wydrukowałem swoje CV i ruszyłem szukać szczęścia poza swoim miastem. Zawiozłem CV w jedno miejsce. Dlaczego? Naiwnie stwierdziłem, że jak posypią się oferty, to nie będę wiedział, co wybrać. Przeszło mi przez myśl, że zachowuję się dziecinnie. Postanowiłem jednak czekać. Okazało się, że miałem rację. Po tygodniu otrzymałem telefon. „Przyjedź, pogadamy". Pojechałem, pogadałem i dostałem miejsce. Na staż…

Wiecie, staż z urzędu pracy to dobra opcja dla młodych lekarzy weterynarii. Dostajesz jakieś groszowe pieniądze, ale masz jednocześnie kilka miesięcy, aby liznąć praktyki, nie będąc obciążeniem dla pracodawcy.

Rozpocząwszy staż, błyskawicznie zorientowałem się, że:

1. Mam zerowe umiejętności praktyczne.
2. Nie potrafię wykorzystać tej całej teorii, którą mam w głowie.

Pierwsze dni mojej pracy zatytułowałbym: „Dziecko we mgle i z ręką w nocniku". Ależ ja byłem nieogarnięty! Wracając do domu, zadawałem sobie pytanie, co poszło nie tak i co ja właściwie najlepszego zrobiłem. Na szczęście trafiłem na starcie na bardzo fajnych ludzi. Dzięki nim udało mi się wyjść ze skorupy i odkryć, że mogę leczyć i że wiem, jak to robić. Jestem przekonany, że te osiem miesięcy stażu miało najistotniejszy wpływ na to, jakim jestem lekarzem. Wiele zawdzięczam moim kolegom z pracy, mimo że czasem denerwują mnie tak, że miałbym ochotę popełnić ciężki mord. Albo trzasnąć drzwiami i nie wracać. Myślę jednak, że tak czuje się większość ludzi pracujących w zespole. Każdy z nas ma coś za uszami i pewnie ja także często gram moim współpracownikom na nerwach. Oczywiste jest, że się różnimy. I to bardzo. Sześciu

lekarzy, w tym trzech emerytów, nie może się zawsze dogadywać. Nie będzie – tak sądzę – nadużyciem stwierdzenie, że właściwie zwykle mamy odmienne zdanie, bez względu na to, o czym dyskutujemy. Choć przecież z różnych opinii na dany temat może wyniknąć coś dobrego! Burza mózgów w medycynie zawsze jest w cenie. Mój największy problem to fakt, że jestem najmłodszy. Skończyłem staż, pracuję ładnych parę lat, a dalej mam status młodego. I moi koledzy – zwłaszcza ci emerytowani – czasem chcą pomóc młodemu. Mimo że nierzadko mam ochotę krzyczeć: „Jestem już dużym chłopcem!", czuję wdzięczność za to wsparcie, które cały czas otrzymuję. Duża zaleta pracy w takim zespole to możliwość czerpania z bagażu doświadczeń zbieranego przez kilkadziesiąt lat. Bo takim stażem mogą się pochwalić moi współpracownicy. Nie zawsze się ze sobą zgadzamy, to fakt. Ja jednak z chęcią idę co dzień do pracy. Jestem przekonany, że moi koledzy również. Owszem, bywa nerwowo. Mimo to lubię tu pracować. Wszak ci lekarze zaprosili mnie do swojego zespołu, pozwolili zostać i stać się jego częścią.

Zawiozłem jedno CV. Do jednej przychodni. Po stażu zostałem tam zatrudniony. Jest to moja pierwsza i jedyna praca. Mam przyjemność tworzyć miejsce, które może
poszczycić się długą tradycją. Weterynarią zajmowano się tu od zakończenia drugiej wojny światowej, a moja przychodnia jest jedną z pierwszych prywatnych lecznic na Śląsku. Cieszę się, że mogę tu pracować, i jestem wdzięczny za ogrom wiedzy, który tu zdobyłem.

•

Teraz już wiecie, jak to się zaczęło. Jak widzicie, powołanie nie maczało tu swych palców. Nie zostałem lekarzem weterynarii, tchnięty przez istotę nadprzyrodzoną. Zrobiłem to, co chciałem.

Mogłem jeszcze zostać tym ludzkim lekarzem, ale – nie odbierzcie tego osobiście – zwierzęta są lepsze od ludzi. Zwierzęta zwykle pachną lepiej niż ludzie. Zwierzęta nie są ludźmi. To poważne plusy. Poza tym, gdybym został na przykład ginekologiem, to o czym bym pisał?

Na szczęście się uparłem i nie zostałem lekarzem ludzkim. Decyzja nie była w pełni świadoma, bo nie byłem przygotowany na to, co mnie spotka w pracy. Jednakże dzięki uporowi oddaję wam kawałek siebie. Mam nadzieję, że ta książka pozwoli wam lepiej zrozumieć wasze zwierzęta i waszych wetów. Liczę na to, że spojrzycie na nas trochę życzliwszym okiem. Ale przede wszystkim życzę wam miłej lektury. Zaczynamy?

[1] Terry Pratchett, *Wiedźmikołaj*, tłum. P.W. Cholewa, Prószyński i Sk-a, Warszawa 2004, s. 255.

[2] Cykl Krebsa, czyli cykl kwasu cytrynowego. W jego wyniku w komórce powstaje energia. W bardzo telegraficznym skrócie. Rysowanie tego cyklu wraz ze wzorami substancji i reakcji pojawia się w trakcie nauki biochemii i biologii komórki. Lekarze weterynarii śmieją się, że absolwent może nie potrafi założyć wenflonu, za to cykl Krebsa rozrysuje bezbłędnie.

Rozdział I
Nie jedz tego!

Są takie słowa, których nie należy mówić psu. Na przykład „spacer”. W naszym domu to określenie tabu. Jeśli ktoś nie chce wychodzić z psem, to po prostu nie może używać słowa „spacer”. Powiedziałeś? Koniec, nie ma taryfy ulgowej, ubieraj się i w plener. Dlatego w zamian stosujemy zamiennik: przechadzka. Choć ostatnio Kluska zaczyna coś podejrzewać.

Ten przykład dobrze pokazuje, że psy wiedzą, o czym mówimy. To, czy zareagują na słowo klucz w sposób przez nas oczekiwany, to inna sprawa. Bo, dajmy na to, gdy moja psica zjada coś niejadalnego, to choćby świat się walił, nic jej nie powstrzyma. Kocia kupa, martwa żaba, worek, w którym ktoś trzymał kanapkę – określenie „jadalne” można znacząco rozciągnąć. Gdybym powiedział w takiej sytuacji: „Zostaw to!”, myślicie, że by zostawiła? Niedoczekanie. Pewnego razu wyszedłem na dwór. Pewnie wynieść śmieci. Daleko ode mnie na trawniku była Kluska. Stała z rozstawionymi łapami i wyciągniętą szyją, wyraźnie się krztusiła. Lekko zdenerwowany podszedłem bliżej. Z pyska zwisał foliowy woreczek, który był wszystkiemu winien. Ruszyłem dość energicznie, a ona rzuciła się do ucieczki. Nie odda zdobyczy! Trochę śmiesznie to wygląda, gdy pies biega dookoła podwórka, jednocześnie krztusząc się workiem. W końcu udało mi się zapędzić ją w kozi róg i wydobyć

to, co tkwiło w jej gardle. Okazało się, że worek miał zawartość. Całą kajzerkę, która to właśnie utknęła w gardzieli mojej niezbyt rozgarniętej psicy. Nie było opcji, żeby to połknęła. Myślicie, że była mi wdzięczna za ratunek? Pewnie, że nie! Ostentacyjnie odwróciła się do mnie tyłem i wróciła do domu, co jakiś czas patrząc na mnie z wyrzutem.

Postawmy sprawę jasno, zwierzęta są na bakier z higieną żywności. To, co potrafią zjeść, przyprawia wielu z nas o mdłości. I dopóki zjadają rzeczy, powiedzmy, „organiczne”, to cała przygoda zwykle kończy się najwyżej rozwolnieniem. Niestety, psy i koty potrafią połknąć przedmioty, których organizm nie ma jak przerobić.

Nazywamy je ciałami obcymi. Już jako młody lekarz dość szybko odkryłem, że problem ciał obcych pojawia się często. Diagnostyka nie zawsze jest łatwa i oczywista.

Zanim opowiem wam o zwierzęcej pomysłowości, musimy przyswoić sobie pewien prosty podział, który stosuje się w klasyfikacji ciał obcych. Nudy? Niestety, nie ma wyjścia. Zwykle dzielimy je na cieniujące i niecieniujące. Cieniem w radiologii nazywa się biały obraz na zdjęciu rentgenowskim. Tak, wiem, że cienie zwykle nie są białe, ale radiologia rządzi się własnymi prawami. Tak więc cieniującymi ciałami obcymi nazywamy te obiekty, które pochłaniają promieniowanie rentgenowskie. Znaczy się, że będą widoczne na zdjęciu. Do tej grupy wrzucimy kamienie[3], przedmioty metalowe, kości, czasem gruby plastik. Znacznie poważniejszą grupę stanowią te, których nie widać na zdjęciu rentgenowskim. Sznurki, folie, guma, elementy drewniane, szkło, większość przedmiotów wykonanych z plastiku. Lista długa i nie ma końca. Te noszą nazwę właśnie niecieniujących ciał obcych = promienie RTG przez nie przechodzą (całkowicie lub prawie). To właśnie one są kłopotliwe do wykrycia. Ale o tym później.

Mój pierwszy w karierze przypadek ciała obcego można zatytułować „połykacz mieczy". Było popołudnie, jakoś tak blisko przed Wielkanocą. Może Wielki Piątek? Wpada do gabinetu pani z psem rasy beagle. Jaki jest beagle, każdy widzi. Żarłok nieziemski, żyje, żeby jeść. W oczach pani zobaczyłem niemałe przerażenie, mimo że pies wydawał się bardzo zadowolony z siebie.

– Ten głupek zjadł roladę! – Prawie płacze przy stole.

Generalnie trochę się zdziwiłem, bo rolada nie jest śmiertelnie groźna, chyba że…

– Ze sznurkiem? – pytam.

– Nie – odpowiada właścicielka. – Ze szpilką do mięsa…

Jeśli ktoś nie wie, jak takie coś wygląda, to wyjaśniam. Szpilka do rolad jest kawałkiem drutu z zaostrzonym jednym końcem i z pętelką na drugim. Szpikulec ma około ośmiu centymetrów długości. Połknięty jest w stanie wbić się gdziekolwiek. Może zdziwić to, że pies średniej wielkości połknął coś tak twardego i sztywnego. I właściwie po co miałby to robić? Wyjaśnienie jest proste. Właścicielka była w trakcie przygotowywania specjałów na wielkanocny stół, musiała jednak na chwilę zostawić kuchnię bez opieki. Gdy wróciła, zastała swojego czworonoga dobierającego się do rolad na stole. Niewiele myśląc, zawołała: „Zostaw to!". Więc pies zrobił to, co zrobiłby każdy na jego miejscu. Połknął całą roladę razem z oprzyrządowaniem.

Robiąc psu zdjęcie rentgenowskie, modliłem się, żeby przedmiot był już w żołądku. Bo taki szpikulec może na przykład przekłuć przełyk. I jak ma się szczęście, to zrobi to gdzieś na szyi. A jak się ma pecha, to w klatce piersiowej. Jak wiadomo, w klatce piersiowej są ważne narządy, które niekoniecznie lubią być dziabane. W pobliżu nich wszystkich biegnie przełyk. Stoję w ciemni i czekam, aż zdjęcie się wywoła. Wtedy jeszcze wywoływaliśmy radiogramy tradycyjnie. W końcu się doczekałem! Szpilka przebyła całą drogę od jamy ustnej, poprzez gardło oraz przełyk i bezpiecznie wpadła do żołądka. Pies wylądował od razu na stole. Na zewnątrz wydobyliśmy całą, nawet nie nadgryzioną roladę. Prawdopodobnie właśnie fakt połknięcia całego specjału, ze szpilką tkwiącą bezpiecznie w środku, ochronił psa przed poważniejszym urazem. Dziwne jest tylko to, że pani nie chciała rolady z powrotem. A przecież była prawie nieruszona…

Zawsze się cieszę, gdy właściciel szybko reaguje na incydenty zjedzenia czegoś niejadalnego. Poprawia to rokowanie i daje nam szansę na to, że przedmiot wyląduje właśnie w żołądku, skąd łatwo go wyciągnąć.

Pies „połykacz mieczy” nie był jedynym degustatorem, który trafił w moje ręce. Wśród swoich pacjentów mam labradora, który jest bardzo sympatycznym facetem. Jak każdy sympatyczny facet lubi dobrze zjeść i doskonale go rozumiem. Czuję wręcz z nim więź na tej płaszczyźnie. Gdybym był psem, to zapewne grubym labradorem żarłokiem. Mimo że lubię łasuchować, w przeciwieństwie do rzeczonego psa nie zjadam opakowań. Umiar mam. Mój pacjent nie miał.

Właściciele Brunona spodziewali się gości. Pani zrobiła muffiny. Ale nie byle jakie! Takie wytrawne, zaprawione szynką parmeńską i serem. Czujecie to? Nam działa wyobraźnia, a Bruno musiał zmierzyć się z muffinami w rzeczywistości. Chcę wierzyć, że walczył dzielnie, zanim pożarł siedem z nich. Razem z silikonowymi foremkami. Te, ułożone wewnątrz żołądka w zgrabny stosik, wyciągnęliśmy następnego dnia. Foremki trafiły na swoje miejsce w kuchennej szufladzie. Właściciele obiecali nam babeczki.

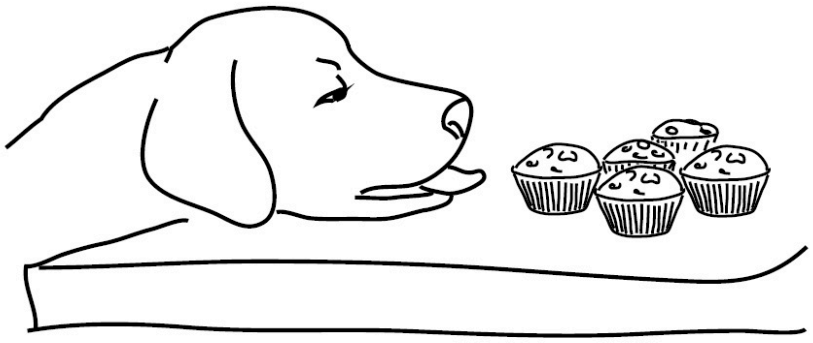

O ile labrador Bruno miał swoją chwilę przyjemności, a foremki zjadł przy okazji, pewien chihuahua nie zyskał nic na swoim łakomstwie. Jego pani tłukła kotlety dłonią odzianą w rękawiczkę. Gdy już wyżyła się na mięsie, chciała wyrzucić ją do kosza. Niestety

pies przechwycił ją w locie, a że na skutek prac kuchennych została uperfumowana zapachem wieprzowiny, wciągnął ją niczym nitkę makaronu spaghetti. Nie minęło 30 minut, a już był na stole operacyjnym. Nie opłaciła mu się ta kradzież.

Takich przypadków „kulinarnych podróży" znam wiele i nie sposób ich wszystkich tu opisać. Dość często zjadane są metalowe spinki do wędlin. Zwłaszcza przez koty. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale mieliśmy w przychodni kilka takich przypadków. Tacki po jedzeniu na wynos, plastikowe widelce, wszystko, co jedzenie uczyniło atrakcyjnym, może stanowić potencjalne zagrożenie dla naszych czworonożnych podopiecznych.

Najpowszechniejszymi ciałami obcymi, z jakimi musimy się borykać, są kości i kamienie. Kości to zmora nasza i naszych pacjentów. Tak się przyjęło, że są one psom niezbędne do życia, do szczęścia, kontaktu z dzikimi przodkami i nie wiem, do czego jeszcze. Mają całą rzeszę zwolenników i nie zamierzam nikogo nawracać, jednak moje doświadczenia z nimi są złe. I bez znaczenia, czy były one surowe, czy gotowane, wyciągałem z psich jelit wszystkie. Kiedyś, pamiętam, musieliśmy operacyjnie usuwać z jelit kał, który z powodu dużej ilości zmielonych kości dodawanych do posiłku zamienił kupę w coś o twardości rzecznego kamienia. Jeśli ktoś już koniecznie musi dawać kości, to wydaje się, że najbezpieczniejsze są duże, surowe kości wołowe (np. udowe). Są twarde i pies musi je solidnie pogryźć, żeby coś z nich skubnąć. Właściwie nie chodzi o to, aby dawać gołe kości, a takie solidnie obrośnięte mięsem. Mimo to ja odradzam podawanie psom kości. Oczywiście niejeden jadł przez całe życie i nic mu nie było, jednak po co na własne życzenie prowokować nieszczęście.

O ile jedzenie kości przez zwierzę to zwykle kwestia, o której decyduje właściciel (chyba że pies sam sobie organizuje wałówkę na spacerach), o tyle kamienie raczej nie stanowią czegoś, co

włożylibyśmy do psiej miski. Jednak niektóre czworonogi je zjadają, choć nie mam pojęcia, co w nich jest takiego apetycznego. Przodują w tym szczenięta, które – tak jak dzieci – badają świat za pomocą smaku. Niektóre skalne fragmenty wyjdą po prostu razem z kupą, jednak te większe mogą doprowadzić do niedrożności przewodu pokarmowego. Cóż to takiego? Otóż jest to stan, w którym uniemożliwiony jest pasaż treści jelitowej, czyli przesuwanie się treści w przewodzie pokarmowym. Dochodzi do niego dzięki mięśniom, które znajdują się w ścianie przewodu pokarmowego. Niedrożność przewodu pokarmowego może być czynnościowa, gdy jelita się nie kurczą i nie przesuwają treści jelitowej w stronę odbytu, lub mechaniczna, gdy coś zatyka światło jelita. Na przykład duży kamień albo pestka, albo nakrętka z plastikowej butelki. Właściwie może być to cokolwiek, co będzie niestrawialne i na tyle duże, że nie przeciśnie się z punktu A, czyli z ust, do punktu B, czyli do odbytu. Może to być także zbitek małych cosiów.

Ciekawe jest to, iż lecząc, czasem wywołujemy mechaniczne zaparcie. Jak to się dzieje? Może być ono skutkiem odrobaczania. Ale zanim w panice zaniechacie profilaktyki przeciwpasożytniczej, pozwólcie, że wyjaśnię, o co chodzi. Kocięta i szczenięta często rodzą się z bogatą fauną jelitową lub zarażają się pasożytami już w pierwszych dniach życia. Niektóre nicienie są już łapane w łonie matki, inne sprzeda maluchom rodzicielka razem z mlekiem. Czasem zdarza się, że kilkutygodniowe kocię trafia po podaniu preparatu przeciwpasożytniczego z powrotem do lekarza dzień lub dwa po wizycie. Organizm musi coś zrobić z martwymi pasożytami i po ich śmierci zwykle je po prostu trawi. Jednakże gdy ich ilość przerasta możliwości enzymów trawiennych, zbita masa martwych robaków przesuwa się w przewodzie pokarmowym, a trafiając na zwężenie, utyka. Skutkiem tego jest niedrożność przewodu pokarmowego, która może doprowadzić nawet do śmierci zwierzęcia. Jak objawia

się niedrożność? W razie jej wystąpienia mogą pojawić się następujące objawy: wymioty, brak kału, czasem uporczywe, bezproduktywne parcia na kał, ostry brzuch (boli tak, że można się pociąć), brak apetytu. Konsekwencją może być zapalenie otrzewnej, wstrząs, a nawet śmierć. Beznadzieja, prawda? Ale miałem pisać o kamieniach, a odbiegłem od tematu. Jak wspomniałem, jedzenie ich to domena szczeniąt. Mimo to dorosłym także się to zdarza. Często powodem jest patologiczny apetyt – skutek choroby albo jakiejś dysfunkcji natury psychicznej. Niestety niekiedy właściciel nie orientuje się w odpowiednim czasie i przygoda nie kończy się szczęśliwie. Jak na przykład pewnego listopadowego wieczora.

Na dworze było zimno i ciemno. Padał deszcz. Pogoda, gdy człowiek ma ochotę zakopać się pod kocem z książką i kubkiem herbaty w zasięgu ręki. W takie dni odwiedzają mnie tylko tacy ludzie, którzy naprawdę muszą. O godzinie bliskiej fajrantu drzwi do ambulatorium otworzyły się, a mym oczom ukazała się starsza pani i chłopak niosący w ramionach psa, który już na pierwszy rzut oka miał się zdecydowanie źle. Na pierwsze pociągnięcie nosa również niezbyt dobrze, bo smród, jaki od niego bił, wyciskał łzy z oczu. Nastoletni kundelek był bardzo odwodniony, ledwo przytomny, z dusznością i biegunką. Biegunka bardzo widowiskowa, koloru trawy po deszczu i konsystencji agrestowej galaretki. Jak widzicie, kupa bywa malownicza. Gdybym zaczął wymieniać, co dolegało staruszkowi, skończyłyby nam się znaki przewidziane na ten rozdział. Jeden fakt sprawił, że wart jest wspomnienia w tym miejscu. W trakcie badania uwagę przykuwał olbrzymi brzuch. Początkowo, biorąc pod uwagę stan serca zwierzęcia, założyłem, że to płyn gromadzący się w jamie otrzewnej. Poprawcie mnie jednak, jeśli się mylę, ale z tego, co wiem, płyn nie bywa grudkowaty i nie grzechocze, jak się go dotyka. Rentgen oświecił mnie w kwestii natury grzechotu. Całą jamę brzuszną wypełniały drobne kamyki. Nie

jelita, a właśnie jamę brzuszną. Udało mi się kilka z nich wydobyć z odbytu, a właściciele zidentyfikowali je jako żwir z ich podjazdu. Ostre fragmenty kamyków przecięły jelito i wysypały się do jamy otrzewnowej, doszło do zapalenia otrzewnej i silnej intoksykacji. Właściciele zdecydowali się na eutanazję zwierzęcia, jednak zanim zdążyliśmy zrobić cokolwiek, pies odszedł. Zważywszy na ilość żwiru, którą w sobie nosił, wydaje mi się, że musiał go jeść od dłuższego czasu. Szkoda, że nie udało się przydybać psa wcześniej. Może inaczej potoczyłby się jego los.

Jak zapewne zdążyliście zauważyć, wiele ciał obcych daje się zidentyfikować. Czy to na podstawie wywiadu, czy badania. Czy istnieją jednak takie, których odkrycie nastręcza trudności? Całe mnóstwo. Największe kłopoty w diagnostyce sprawiają sznurki, nitki, wstążki. Wszystko, co długie i cienkie. Nie dość, że tego nie widać na zdjęciu rentgenowskim, nie da się też tego wymacać w brzuchu, a wykrycie w trakcie USG wymaga sporego doświadczenia od wykonującego badanie, to jeszcze potrafi doprowadzić do poważnych konsekwencji zdrowotnych. Najlepszym przykładem będzie przypadek z życia wzięty.

I znów rolady! Tym razem przygotowane tradycyjnie, owinięte dratwą. Są one naszym przekleństwem w okresie wszelakich świąt. Podobnie jak anielskie włosie rzucane na choinki. Nie warto tu pisać o każdym przypadku z osobna, bo w kwestii linearnych ciał obcych (tak nazywamy fachowo zeżarty przez zwierzę sznurek, żeby zbić z tropu właściciela) przebieg jest zazwyczaj podobny.

Dla zbudowania dramatyzmu załóżmy, że był ciemny grudniowy wieczór, a za oknem dął wicher pędzący tumany śniegu. Moja babcia zwykła mawiać, że w taką pogodę nawet psa by na dwór nie wygoniła. Prawda jest jednak taka, że babcia nie wygoniłaby nikogo nigdy, a zwłaszcza psa. Myślę, że ciepłe uczucia wobec zwierząt mam właśnie po niej. Zegar nieubłaganie zbliżał się do 20.00, kiedy

to zamykamy przychodnię i udajemy się do domów. Nadzieja jednak okazała się płonna. O 19.45 drzwi do ambulatorium otworzyły się, a do środka weszła pani z psem. Spytałem tradycyjnie, co ich sprowadza. Dama zaczęła od dramatycznego westchnięcia. A wiedzcie, że to zawsze źle wróży… Półroczny kundelek nie jadł już dziesiąty dzień. A ja nie mogłem nawet nakrzyczeć z tego powodu na właścicielkę, ponieważ ona odwiedziła już wcześniej lekarza. A raczej lekarzy. Zaczęło się od wymiotów. Cokolwiek pies zjadł, prawie natychmiast było zwracane. Stopniowo, z dnia na dzień przyjmował coraz mniej pokarmu aż do całkowitego zaprzestania jedzenia. Torsje jednak nie ustąpiły, a pies przestał oddawać kał, co właściciele zrzucili na fakt niejedzenia. Brzuch stał się bolesny. W momencie, gdy ja go dotykałem, był twardy jak deska, a próba zbadania wywoływała silną reakcję obronną. Nie uwierzycie, jak dotkliwie potrafi gryźć pies, który waży mniej niż dwa kilogramy. Pani właścicielka pokazała mi plik dokumentów. Pies miał robione badanie krwi, USG, RTG z kontrastem[4], a nawet test na choroby odkleszczowe. Wszystkie wyniki w normie, a leczenie objawowe nie przyniosło żadnego rezultatu. Niestety psu trafili się właściciele turyści. Byłem piątym lekarzem, który go badał w czasie trwania tej choroby. Za każdym razem opiekunowie oczekiwali, że problem zniknie po jednej wizycie, więc na każdą kolejną wybierali inny gabinet. A jest to praktyka zupełnie bez sensu. Nie da się przeprowadzić całego procesu diagnostycznego podczas jednokrotnych odwiedzin lekarza. Dodatkowo większości chorób nie można wyleczyć jednym zastrzykiem. Jest wręcz odwrotnie. Medycyna polega bardziej na skreślaniu kolejnych podejrzanych z listy potencjalnych rozpoznań niż na pewnym postawieniu diagnozy po rzuceniu okiem na pacjenta. Jeżeli chcemy być fair wobec siebie, a przede wszystkim wobec swojego zwierzaka, należy pozwolić weterynarzowi coś zrobić. Cokolwiek! Zmiana lekarza w trakcie

trwania leczenia może być konieczna, jednak nie należy takiej decyzji podejmować pochopnie. Gdy właścicielka skończyła opowiadać o tym, co było robione dotychczas, spytałem po prostu: „Czego pani ode mnie oczekuje?”. Wyjaśniłem, że zwierzę choruje bardzo długo i ja nie mam już wielu możliwości. Ta odparła, że chce mieć zdrowego psa. Wyraziłem wątpliwość, czy zdążę cokolwiek zrobić, zanim pies wyląduje u kogoś innego. Pani zapewniła (nie do końca uwierzyłem), że przestanie tak postępować. Jak wspomniałem, nie miałem już wielu możliwości, jednak pozostała jeszcze jedna potencjalna przyczyna stanu psa. Zadałem jedno pytanie: „Czy pies mógł zjeść jakiś przedmiot?”. Tu właścicielka się rozpromieniła i wykrzyknęła: „Tak! Dziś mu sznurek z tyłka wystawał! Ale go odcięłam”. Pies wylądował natychmiast na stole operacyjnym. W przewodzie pokarmowym znajdowało się około półtora metra nitki. Jej splątany kłąb zablokował się w odźwierniku żołądka, który jest końcowym fragmentem żołądka łączącym go z dwunastnicą. Reszta przeszła przez całe jelita cienkie i grube. W końcu po 10 dniach wylądowała na zewnątrz, szkoda tylko, że nie w całości. Podczas operacji zastaliśmy zatrzymanie perystaltyki jelit, przecięcie jelit w dwóch miejscach i początek zapalenia otrzewnej. Na szczęście udało się wyciągnąć nitkę. Okazało się, że pochodzi właśnie z rolady. Pies nazajutrz żądał jedzenia. A według wszystkich badań był zdrowy.

Dlaczego nitki są takie wredne? Poza tym, że ciężko je znaleźć? Groźne jest to, co robią z jelitami. Jelita cały czas pracują. Kurcząc się regularnie, przesuwają treść pokarmową do stacji końcowej, odbytu. Niełatwo jest efektywnie przesuwać sznurek przez coś długiego i cienkiego. A gdy jest on zaklinowany w żołądku albo – jak to się często zdarza – zawinięty wokół języka lub zębów, staje się to wręcz niemożliwe. Jelita z zachowaną perystaltyką stopniowo nanizują się na linearne ciało obce, czyli takie, które jest długie

i cienkie, i zaczynają przypominać podwinięty na ramieniu rękaw. Są pofałdowane, poskręcane. Wskutek tego, jeśli nie nastąpi szybka interwencja, może dojść do przecięcia ściany jelita, czego rezultatem będzie wylanie się jego treści do jamy otrzewnowej i bolesna śmierć. Podobnych problemów dostarczają wszystkie długie ciała obce. Wstążki, plastikowe taśmy, skarpety, rajstopy (i wiele innych pochłanianych przez zwierzęta przedmiotów) mogą wyrządzać szkody podobne do tych, które zafundowała nitka z rolady[5]. Czasem ciało obce jest znajdowane przypadkiem. Pamiętam labradora, który został wysłany do naszej przychodni z podejrzeniem choroby nowotworowej. Pies chudł mimo przyjmowania pokarmu. Wyglądał jak szkielet obciągnięty skórą. Poza tym obraz morfologii krwi sugerował, że należy brać pod uwagę nowotwór. Koledzy z zaprzyjaźnionego zakładu leczniczego prosili o zdjęcie klatki piersiowej, na którym nic nie znaleźliśmy, ale… na zdjęcie załapał się kawałek żołądka, w którym COŚ było. COŚ było okrągłe, o dość grubej ścianie. Natura nie wymyśla takich rzeczy. Po konsultacji z lekarzem kierującym otworzyliśmy psiaka. W żołądku leżała piłka tenisowa. Jak ją połknął, nie mam pojęcia. Przecież po drodze mogła utknąć w tylu miejscach!

Pamiętam sekcję zwłok przeprowadzaną na studiach, której głównym bohaterem był bokser z taką samą piłką uwięźniętą w gardle. Poza gardłem mogła utknąć jeszcze gdziekolwiek w przełyku. Na szczęście dla naszego pacjenta piłka trafiła do żołądka. Najstarsi filozofowie nie wiedzą, jak długo tam tkwiła.

Ciała obce często „podszywają" się pod guza. Pewnego west highland white terriera wysłałem na gastroskopię. Pies cierpiał z powodu wymiotów po posiłku, a leczenie objawowe nie przynosiło rezultatu. W opisie gastroskopii otrzymałem: „Zmiana lita w żołądku w okolicy odźwiernika. Pobrano wycinek do badania histopatologicznego". Właściciel nie chciał czekać na wynik badania –

nie dziwię się, biorąc pod uwagę samopoczucie psa. Wspólnie podjęliśmy decyzję o laparotomii diagnostycznej[6]. Chcieliśmy ustalić, czy to coś da się w ogóle usunąć. Dało się. Guz okazał się otorbioną pestką z brzoskwini. Dlatego właśnie o badaniu krwi, USG, gastroskopii itp. mówi się „badania dodatkowe". One ułatwiają postawienie rozpoznania, jednak nie zawsze pozwalają na jednoznaczne określenie problemu. Właściwie to zwykle nie pozwalają. Ciało obce potrafi zalegać tygodniami w przewodzie pokarmowym, a objawy, które zauważa właściciel, mogą sugerować zupełnie coś innego. Musicie wiedzieć, że często gdy przedmiot trafi do żołądka, to już tam zostaje. Nie wszystko przeciśnie się przez odźwiernik. I jeśli nie widzieliście, że wasze zwierzę zjadło coś niejadalnego, możecie żyć w błogiej nieświadomości. Co wcale nie oznacza, że organizm nie poniesie konsekwencji obecności ciała obcego. Błona śluzowa jest przez nie stopniowo podrażniana, dochodzi do stanu zapalnego. Mogą się pojawić nadżerki i wrzody. Te drugie potrafią perforować przez ścianę żołądka i doprowadzić do zapalenia otrzewnej. I prawdopodobnie, gdy lekarz rozpozna zapalenie błony śluzowej żołądka lub będzie je podejrzewał, ciało obce nie znajdzie się na szczycie potencjalnych przyczyn tego stanu. Dlaczego? Ponieważ przypadłość ta ma zwykle inne źródło. Wiele psów cierpi na nią i większość z nich je wtedy trawę, a nie, dajmy na to, kamienie. Mimo to pierwotną przyczyną niepokojących objawów może okazać się zaleganie czegoś ciężkostrawnego w żołądku. Dobrym przykładem, który pokaże, jak zagmatwana potrafi być droga do rozpoznania choroby, jest kot Karmel. Kot Karmel to młody kociak rasy syberyjskiej. Domownicy opisują go jako wesołego i przyjaznego. Po prostu wszędzie go pełno, ale… Właścicielka zgłosiła, że zdarza mu się oddawać kał poza kuwetą. Do kuwety też, jeśli akurat w niej jest. Ale dwójka coraz częściej ląduje w jakimś zakamarku domu. Kot w badaniu ogólnym wyglądał jak okaz

zdrowia. Zero odchyleń, pasożytów w kale brak. Przerobiliśmy zmianę żwirków, kuwet, przestawianie kuwety w miejsca oddawania kału, dokładanie dodatkowych w innych częściach mieszkania. Zbadaliśmy nawet mocz, gdyż niekiedy problemy z jego oddawaniem mogą objawiać się również sikaniem w miejscach niepożądanych.

Żadna nasza czynność nie przyniosła rezultatu. Pewnego razu w kale pojawiły się smużki krwi. To nas zmartwiło. Zabraliśmy się do tematu ponownie. W badaniu wciąż bez odchyleń. Choć, gdy po raz wtóry omacywałem brzuch, wydawało mi się, że jest trochę powiększony. Niestety nie zawsze badanie ogólne wystarcza. Ten przypadek wyraźnie to potwierdza. Nie było innej rady niż rozszerzenie czynności o badania dodatkowe. Pierwsze zrobiliśmy USG. Oczywisty wybór, skoro nie podoba nam się brzuch. Wynik badania niemile nas zaskoczył. Ciężko było ocenić narządy jamy brzusznej, gdyż wszystko zasłaniała… KUPA! W pewnym momencie właściciele rzucili informacją, że kot ostatnio zjada gumki do włosów, i spytali, czy to może być przyczyną. Objawy nie pasowały do ciała obcego. Mimo to zrobiłem zdjęcie RTG brzucha. Kał rozciągnął jelita, co pokrywało się z tym, co zastaliśmy w poprzednim badaniu. Poza tym można było zauważyć jeden ważny szczegół. Mianowicie to, że w żołądku coś jest. Mały, biały fragmencik. W tym miejscu nie powinno być niczego, co miałoby podobny wygląd. Sytuacja nie pozostawiła mi wyboru. Konieczna była laparotomia. W trakcie zabiegu wyciągnęliśmy z żołądka fragmenty kilkunastu gumek do włosów. Gdyby nie fakt, że były to te z metalową klamerką, nie byłoby ich widać na RTG. Problemem Karmela jest to, że zjada wszystko, co wpadnie mu w łapy. Jego apetyt jest spaczony i zwierz nie bardzo odróżnia rzeczy niejadalne od jadalnych. Jest przeuroczym kotem, ale właścicielom dokłada pracy, bo nic nie może być pozostawione w jego zasięgu. Jeszcze nie zdążyliśmy mu

ściągnąć szwów, a już ponownie miał gumkę w pyszczku. Liczę na to, że z tego wyrośnie!

Zacząłem rozdział opowieścią o mojej psicy i podobną historią również go skończę. Wiedzcie, że czasem zwierzęta mają więcej szczęścia niż rozumu. Nasza Kluska i my, jej opiekunowie, wiemy o tym aż za dobrze. Jej młodość była bowiem naznaczona dość „specyficznym" apetytem. Zjadła tyle niejadalnych czy wręcz trujących rzeczy w pierwszym roku swojego życia, że nie jestem w stanie ich wszystkich zliczyć. Na spotkanie Świętego Piotra mogła wyruszyć co najmniej 10 razy, a mimo to wciąż żyje. Szczytem było zjedzenie termometru rtęciowego. Całego. Ze szkłem i rtęcią. To było 12 lat temu. Kluska jest niezniszczalna.

[3] Kamienie niekiedy nie są połykane, a tworzą się spontanicznie, np. w pęcherzu moczowym i nerkach. Mówimy wtedy o kamicy dróg moczowych. Niektóre z tych kamieni cieniują w badaniu RTG, a inne nie, jak np. kamienie moczanowe.

[4] Kontrast to substancja podawana pacjentowi, aby uwidocznić coś na zdjęciu RTG. Podanie go doustnie pozwala zobaczyć, jak szybko przesuwa się treść w przewodzie pokarmowym i czy gdzieś zatrzymuje się dłużej, niż powinna.

[5] Dobra rada: jeśli ze zwierzęcego tyłka sterczy nitka, nie ciągnij za nią! Niewprawna interwencja może doprowadzić do uszkodzenia ściany przewodu pokarmowego. W takiej sytuacji ZAWSZE należy udać się do lekarza.

[6] Laparotomia diagnostyczna (lub zwiadowcza) to zabieg operacyjny polegający na otwarciu jamy brzusznej celem dokładnego obejrzenia leżących w niej narządów. Jeśli jest to możliwe i konieczne, chirurg w trakcie laparotomii może przeprowadzić dalsze zabiegi, np. usunąć ciało obce.

Rozdział II
To bolało!

Gdy odwiedzam szkołę czy przedszkole, dzieciaki często chcą wiedzieć, czy kiedykolwiek zostałem ugryziony. Ze szczerością dziecka odpowiadam: „Codziennie ktoś próbuje mnie ugryźć lub podrapać". Marzę o tym, żeby moi pacjenci cieszyli się na mój widok. I oczywiście niektórzy mnie nawet lubią (pozdrawiam tu stafficzkę[7] o imieniu Lilly, która cieszy się nawet na widok lekarza), większość jednak po prostu się mnie boi. Jest mi przykro z tego powodu. Cóż począć? Tak po prostu jest i muszę się z tym pogodzić. Strach jest moim starym znajomym, wpada do gabinetu regularnie, towarzysząc moim pacjentom i ich opiekunom. W trakcie wizyty w przychodni wszystko jest w odczuciu zwierząt nie tak. Często przeprawa zaczyna się już w czasie podróży. Wiele czworonogów jest pakowana do samochodu tylko z okazji odwiedzin u weterynarza. Auto = weterynarz = muszę się bać. Jeśli jesteście na przykład psem, to równanie wydaje się oczywiste. Potem lądujecie w poczekalni, gdzie wszyscy są podobnie emocjonalnie wzburzeni. Tworzy się masa krytyczna. Podobnie jak z płaczem w żłobku. Wystarczy, że jeden zacznie płakać, i już na zasadzie efektu domina płaczą wszystkie maluchy. U nas wystarczy jeden dobiegający zza drzwi skowyt, jeden piszczący obok nas pies czy warczący kot, aby trzech na czterech

pacjentów osiągnęło stan przedzawałowy. A jeszcze nawet nie weszliśmy do gabinetu!

Tam wcale nie jest lepiej. Owszem, nie ma tam tych wszystkich irytujących kotów, chomików i suczki w cieczce, ale jest za to ON. Zielony demon, dawca ukłuć i wstrętny dziadyga. Weterynarz. Niby uśmiechnięty, niby mówi w miły sposób, mimo to straszny. Tak jak cały ten gabinet. Śliskie kafelki, sztuczne światło jarzeniówek. Nic się nie zgadza. Pakują cię na stół, a ten palant wkłada ci termometr w zadek. Albo palec! I zastrzyki. Słyszysz szelest papierka. Myślisz, że cukierek. Niestety, to tylko ten zielony pacan otwiera strzykawki i igły. Święty by się zdenerwował!

Ja to naprawdę świetnie rozumiem. Staram się zminimalizować strach moich pacjentów. Nie zawsze się to udaje. A zdenerwować zwierzaka może nawet coś tak prozaicznego jak fartuch. Wiele zwierząt na przykład reaguje bardzo źle na takie w stylu klasycznym. Wiecie, te długie, śnieżnobiałe i niewygodne. Dlatego większość z nas wybiera kolorową odzież. Albo nie przebiera się wcale. Choć w tym wypadku ryzykujesz. Nie możesz być weterynarzem, jeśli nie masz fartucha. Wszyscy to wiedzą! Raz poszedłem do przedszkola na spotkanie po cywilnemu i dowiedziałem się, że bez fartucha to nie weterynarz. Dzieci chyba wiedzą, co mówią!

Strach przybiera różne formy. Niektórzy pacjenci w trakcie badania zamierają w bezruchu. Robią się płascy i cierpliwe trwają w stanie paraliżującego przerażenia. „Zróbcie, co musicie, i dajcie mi spokój” – mówi ich postawa. Inni wyrywają się, uciekają, piszczą, wrzeszczą i biegają po suficie. To nie jest do końca przenośnia! W gabinecie nie mamy firan, rolet, a ściany są gładkie. Co nie przeszkadza wściekłemu kotu wykonać trik rodem z filmu *Matrix* i znaleźć się na wiszącym trzy metry nad ziemią klimatyzatorze. Bo przecież jest rzeczą oczywistą, że stetoskop obdziera ze skóry, a to, co robi zły weterynarz w gabinecie, boli potem jeszcze co najmniej przez

tydzień. Wśród rzeczy, które przerażają, należy również uwzględnić: mokrą watkę, rękawiczki lateksowe, nożyczki i ligninę. Nie pytajcie dlaczego. Nie wiem.

Istnieje też grupa pacjentów, która hołduje zasadzie, że najlepszą obroną jest atak. I to, co odpowiadam przedszkolakom, jest najprawdziwszą prawdą. Nie ma dnia, żeby mnie ktoś nie chciał ugryźć. Czasem po prostu mam więcej szczęścia, a czasem jego poziom spada do wartości ujemnych. A czasem mam ugryzienie na swoje własne życzenie…

Koleżanka przygotowywała kotkę do zabiegu. Może to była kastracja? Poprosiła mnie, abym w czasie, gdy ona będzie golić włosy pod pole operacyjne, zakropił kotu oczy i wyciągnął jego język na bok. Możecie się zastanowić, po co kropić kotu oczy przed zabiegiem. Już wyjaśniam. Znieczulony mruczek ma rozchylone

powieki. Odruch mrugania jest zniesiony. I te wyłupiaste rogówki wysychają, pozbawione ochrony i nawilżenia, jakie daje systematyczne mruganie. Z tej właśnie przyczyny śpiącym kociskom podajemy sztuczne łzy. Nie chcemy, żeby wraz z bólem pooperacyjnym dostawały w prezencie uczucie piasku w oczach. Zresztą narażenie samego oka i przyległych tkanek na wysychanie ma czasami konsekwencje zdrowotne. W wyniku niezabezpieczenia tego jakże wrażliwego narządu możemy doprowadzić do rozwinięcia się zespołu suchego oka. Jest to choroba wynikająca z niedostatecznej produkcji łez lub produkcji łez o nieprawidłowym składzie. A co do wyciągania jęzora… Zanim skończy się przygotowania do zabiegu, fajnie by było, żeby wiotki pacjent miał swobodę oddechu. Teoretycznie wszyscy oddychają przez nos, jednakże leżąc na plecach, mogą mieć trudność w pobraniu powietrza tą drogą – wszystko przez podniebienie miękkie, które opada wtedy w kierunku nozdrzy tylnych. Język lekko wysunięty na bok ułatwia ewentualne wciągnięcie powietrza przez jamę ustną. Jak już pacjent jest porządnie znieczulony i ma rurkę intubacyjną w tchawicy, to nie ma problemu. Wcześniej jednak język z boku pomaga. W takiej sytuacji warto użyć jakiegoś narzędzia. Powinienem delikatnie ten język złapać pęsetą. To nie wydłuża całej czynności. Ale ja się spieszyłem, więc wsadziłem paluchy do kociej paszczy. Do paszczy nie do końca znieczulonej. Do paszczy wciąż zdolnej do gryzienia. Uwierzcie, poznanie bólu towarzyszącego przebiciu się kła przez paznokieć palca wskazującego jest cenną lekcją na przyszłość.

Ze znieczulanymi zwierzętami w ogóle trzeba uważać. I słuchać weta, gdy ten mówi: „Proszę nie zbliżać dłoni do jego pyska”. Znieczulenie ma na celu pozbawienie pacjenta świadomości, możliwości czucia bólu itd. Wprowadzając go w narkozę, znosimy też jego niektóre odruchy. Nas na przykład interesuje brak odruchu

gryzienia. Zanim jednak zwierzę nie będzie gryzło, pewne rzeczy mogą się dziać bez udziału jego woli, pod wpływem jakiegoś bodźca (jak dotknięcie skóry pyska, ciągniecie języka) lub bliżej niesprecyzowanego widu narkotycznego. Przez pewne rzeczy mam na myśli m.in. ugryzienie opiekuna, który zanadto się zbliżył do podopiecznego przygotowywanego do zabiegu.

Niektórzy ludzie za punkt honoru stawiają sobie przeszkadzanie zwierzęciu w zaśnięciu. Gadają do niego cały czas, głaszczą lub, co gorsza, leżą na nim, całując, cmokając i robiąc „ciuciu, ciuciu". W pewnym momencie muszę jednak interweniować i powiedzieć: „Wystarczy". I nie robię tego z powodu znieczulicy i alergii na pajacowanie w trakcie wizyty. Robię to w trosce o wasze bezpieczeństwo. Bo naprawdę nie macie ochoty patrzeć, jak łomem rozwieram paszczę Azora zaciśniętą na waszym przedramieniu. Przypuszczam, że odgrywanie roli pacjenta, któremu są zakładane szwy, też nie należy do waszej dziennej rutyny. Z tego powodu, gdy lekarz mówi wam: „Teraz już proszę nie głaskać", to z łaski swojej – łapki do kieszeni. Nie chcemy słuchać frazesów o tym, że ten konkretny zwierz na pewno was nie ugryzie, bo łączy was kosmiczna więź. Jeśli szanujecie ciągłość swoich powłok lub jesteście przywiązani do swojego nosa, nie kładźcie się na psie, który właśnie jest znieczulany. No, chyba że lubicie być gryzieni. To spoko. Jak na przykład pewien właściciel wyżła niemieckiego.

Wyżeł niemiecki miał guza na zadku i właściciela, który tak bardzo go kochał, że mógł zyskać niechlubny tytuł „wrzodu na tyłku". Praca była dla mnie jak ciągnięcie pługa przez pole usiane kamieniami. Oczywiście praca z właścicielem, nie z psem, który był przekochany. A była trudna przede wszystkim dlatego, że więź emocjonalna opiekuna ze zwierzęciem sprawiała, iż ten nie słuchał, co się do niego mówi. Każda wizyta była ciągiem gruchania, cmokania i kładzenia się na psie oraz heroiczną próbą obrony go przed złym

weterynarzem. Gdy psisko przychodziło z właścicielką, siostrą wspomnianego pana, było wyluzowane, spokojne i nie sprawiało najmniejszych kłopotów. Na wizytach z męską reprezentacją zachowywało się dokładnie na odwrót. Sikanie pod siebie, wskakiwanie na parapet i darcie się na całe gardło, gdy tylko ktoś spojrzał w jego stronę. Klasyczny przykład sprzedawania emocji zwierzęciu przez opiekuna. Zwierzęta świetnie wyczuwają nasze nastroje i uczucia. Czasem całkiem nieświadomie wysyłamy im sygnały. Na przykład, że się boimy. A skoro właściciel, ostoja i autorytet się boi, to znaczy, że jest się czego bać. Ale wróćmy do tematu. Pies miał na zadku guza, który powinien zostać usunięty. Pewnego dnia wchodzę do gabinetu i widzę na podłodze czyjąś dupę wypiętą w stronę drzwi. To „Pan Emocjonalny" leżał nad swoim zasypiającym psem, cały czas do niego mówiąc, skutecznie przeszkadzając mu w odpłynięciu w objęcia Morfeusza. „Proszę odsunąć twarz od jego pyska, bo odgryzie panu nos" – mówię. Zostałem ofukany i usłyszałem tylko: „Nigdy! On mnie ko… Au!". No i ugryzł w nos. Na szczęście zdarł tylko trochę naskórka. Chciałem powiedzieć: „A nie mówiłem", ale musiałem się zająć cuceniem omdlałego jegomościa.

Oczywiście gryzą częściej zwierzęta przytomne. Jeśli dostanę zębem od takiego w stanie narkozy, wynika to tylko z mojej nieostrożności. Jeśli natomiast dostanę zębem od takiego w stanie pełnej poczytalności, wynika to tylko z mojej nieostrożności. Proste, nie? Dlatego warto być ostrożnym. Obojętnie jednak, co byście uczynili i jakkolwiek byście się starali, urazy w tej pracy się zdarzają. Najprawdziwszą prawdą jest, że gryzą najczęściej duże, groźne psy… Żart! Gryzą najczęściej małe, niepozorne, trzymane w ramionach bydlęta poniżej pięciu kilogramów. Moja potwierdzona praktyką teoria mówi: „Stopień agresji psa jest odwrotnie proporcjonalny do jego rozmiarów i wprost proporcjonalny do liczby głasków na

minutę”. Jest to oczywiście daleko wyolbrzymione stwierdzenie, bo nie rozmiar i pieszczoty opiekuna świadczą o agresywności zwierzęcia. Nie zmienia to jednak faktu, że częściej od dobermanów, amstafów i innych owczarków środkowoazjatyckich gryzą mnie yorki, maltańczyki czy jamniki.

Co jest tego przyczyną? Problem leży w wychowaniu. Nie ma zwierząt złych z urodzenia. Istnieją za to ludzie, którym to wychowywanie nie wyszło. Poza tym jest prawdopodobne, że ludzie bardziej przykładają się do wychowania dużych psów niż ich mniejszych wariantów. Taki rozchwiany rottweiler jest niebezpiecznym stworzeniem i większość ludzi zdaje sobie z tego sprawę. A yoreczek? Poszczeka, pokąsa po kostkach, ale większej szkody nie zrobi. „Patrzcie, jak uroczo dokazuje nasz mały wojownik! Jaki zadziorny, ho, ho!” I tu mam ochotę strzelić z liścia jednego z drugim (czego nie robię, oczywiście, bo bicie ludzi jest nielegalne). Przez niekonsekwencję i brak znajomości psiej natury można sobie wyhodować małego potwora, który będzie uciążliwy dla rodziny i otoczenia. I może się zdziwicie, ale taki kurdupel też potrafi dotkliwie pogryźć. W wyniku ludzkiej beztroski otrzymujemy trzy kilogramy furii, na które nie można spojrzeć, nie mówiąc o badaniu! Niejeden raz zostałem zaatakowany przez małego psiaka, za jedyną przewinę mając znalezienie się w zasięgu jego wzroku. Weźmy na przykład takiego mopsa. Może trochę postrzelony i nadpobudliwy, ale raczej wśród jego priorytetów nie znajduje się zagłada gatunku ludzkiego. Owszem, klasyczny mops potrafi kręcić się jak fryga na stole, jednak nie robi tego z powodu agresji, lecz nadmiaru energii i emocji towarzyszącym wizycie. Mimo to…

Pamiętam jednego takiego beżowego, niepozornego psiaka o charakterze zbira, czającego się w ciemnym zaułku. W gabinecie siedzieli państwo z mopsem, który – jak to mops – kręcił się to tu, to tam. Nie ja go przyjmowałem, jednak musiałem dotrzeć do biurka,

na którym stał terminal płatniczy. Zajrzałem do gabinetu i nie zarejestrowawszy jakichkolwiek zagrożeń, ruszyłem po potrzebne urządzenie. Nagle słyszę dźwięk, ni to szczek, ni to pisk, i czuję, że coś mi się wgryza w kostkę. Odskoczyłem, napastnik został odrzucony na drugą stronę gabinetu. Patrzę, a to mops. Ten tylko się otrząsnął i znów do mnie startuje. Mój mózg zachował się całkiem irracjonalnie. Bo przecież powinienem uciec. Odepchnąć zwierzę nogą? Nie! Zanim zdążyłem pomyśleć, schyliłem się, złapałem nacierającego mopsa za opinające jego korpus szelki i rzuciłem właścicielce na kolana. „Pies w gabinecie ma być na smyczy, a nie biegać dookoła i podgryzać ludzi" – rzuciłem zirytowany i wyszedłem. Kiedy za chwilę wróciłem odnieść terminal, pani dalej siedziała, nie ruszając się, a jeszcze bardziej zdziwiony mops zajmował miejsce na jej kolanach. Później się dowiedziałem, że ten pies atakuje nawet swoich właścicieli. Ja mam na szczęście z nim spokój. Omija mnie szerokim łukiem. Właściciele również. Nie wiem dlaczego.

Tak. Małe psy gryzą częściej. Kilkukrotnie zdarzyło mi się, że mimo spokojnie przebiegającego badania zemsta przychodziła prędzej czy później. Zwykle taki mały gryzoń wchodzi pod biurko, gdy ja wypełniam dokumenty, i kąsa mnie, kiedy najmniej się tego spodziewam. Te co bardziej przebiegłe najpierw ocierają się o nogi, nadstawiają głowę do głaskania, a gdy wy prawie bezwiednie podejmujecie pieszczoty, gryzą po palcach. I pamiętajcie, czytelnicy, nigdy nie wierzcie, gdy ktoś mówi wam: „On nie gryzie". W 9 przypadkach na 10 gryzą mnie psy, które „nie gryzą". Zwierzę może mieć gorszy dzień, nie życzyć sobie dotykania przez kogoś obcego lub czegoś się wystraszyć. A wystraszyć się można wszystkiego, nawet rzeczy, której nie posądzalibyśmy o bycie przerażającą. Nasza Kluska nie chciała wejść do pokoju, bo na środku leżała kupka prania czekająca na schowanie do szaf. Innym razem obszczekiwała bardzo

groźny worek ze śmieciami. Jeśli macie wrażenie, że ten pies, do którego wyciągacie ręce, nie chce być głaskany, to znaczy, że on faktycznie tego nie chce. Jeśli spróbujecie nagiąć go do swojej woli, prawdopodobnie będzie trzeba was szyć. Nie chcemy szycia, prawda?

Do szycia ma szczęście moja koleżanka z pracy, doktor Barbara. Pamiętam pewien upalny letni dzień. Wchodzę do przychodni, a ona stoi już przy drzwiach z opatrunkiem na przedramieniu i zamiast przywitania mówi: „Chodź, musisz mi założyć szwy". Zaoponowałem: „Dlaczego ja?". „Inni nie chcą" – usłyszałem w odpowiedzi. A może ja też nie chciałem? Jakoś tej opcji pani Basia nie wzięła pod uwagę. Finalnie zaszyłem i nawet się zagoiło. Ale na weterynarzach goi się jak na psie. Moja koleżanka ma szczęście do takich urazów. Ja szyłem ją chyba trzy razy. Mam nadzieję, że w razie czego zrewanżuje się tym samym i będzie pamiętać, że nie wziąłem pęsety z ząbkami. Musicie bowiem wiedzieć, że pęseta pęsecie nierówna. Mamy pęsetę anatomiczną, która nie ma ząbków, i chirurgiczną, która je ma. Ząbki ułatwiają łapanie tkanek w trakcie operacji. Jeśli jednak będziecie próbowali chwycić pęsetą swoją niezniecczuloną skórę, poczujecie, że ząbki są ostre. Niezbyt przyjemne wrażenie. Sprawdzałem.

Istnieje liczna grupa zwierząt określana przez właścicieli słowami: „On nie ugryzie, bo nie ma czym, ha, ha". Zwykle znajdują się w niej te wszystkie rachityczne stworzenia pamiętające czasy, gdy na MTV leciała muzyka, a na YouTubie nie było reklam. Zazwyczaj faktycznie w tym pyszczku nic już nie ma. Jednakże, jeśli szczęki są wystarczająco silne, to nawet bez zębów potrafią dotkliwie miażdżyć. Zresztą co to za argument: „nie ma zębów"? Żółw też nie ma, a gdy ugryzie, boli jak ch… Znaczy się, bardzo boli. Poza tym jeden z nielicznych razów, gdy zostałem faktycznie pogryziony, a nie

ugryziony, to ten, gdy moje palce okazały się łakomym kąskiem dla pewnego starego shih tzu…

Piesek ledwo człapał. „Z nóżki na nóżkę” dobrze określa sposób jego poruszania się. Zwierzę miało 16 lat i od dwóch dni cierpiało z powodu wymiotów i biegunki. Badanie przebiegało bardzo sprawnie i bez zbędnego krzyku. Pies zniósł sprawdzenie temperatury, macanie brzucha, zaglądanie do pyska, gdzie ostał się jeden, ostatni ząb – kieł prawej szczęki. Nie wiedzieć czemu jego humor pogorszył się w trakcie osłuchiwania. Bez żadnego warknięcia, nie dawszy jakiegokolwiek sygnału, odwrócił głowę i dostając nagłego przyspieszenia, pokąsał mi wszystkie palce u prawej dłoni. Następnie wrócił do pasywnego stania na stole. Najbardziej ucierpiał palec wskazujący, który zaczął ropieć i nie zginał się przez dwa tygodnie. Tak się złożyło, że na drugi dzień wyjeżdżałem na wakacje, więc ręka nie była mi aż tak bardzo potrzebna. A przynajmniej nie tak bardzo jak w pracy, gdzie warto mieć sprawne wszystkie palce. Na wakacjach można obyć się bez jednego. Od właścicieli usłyszałem tylko: „Ojej! Musiało go to boleć”. Ale właściwie co?! Dotykanie stetoskopem klatki piersiowej czy japa w trakcie naruszania ciągłości moich powłok? Bo nie bardzo rozumiem. *Suma summarum* pani była bardziej zmartwiona tym, że on mógł stracić ten ostatni ząb, niż faktem gryzienia człowieka. Bo przecież musiało go boleć!

Ciekawe, że nigdy nie ugryzł mnie pies będący przedstawicielem którejś z ras o złej sławie. Nie znaczy to, że taki nie próbował, ale jak do tej pory żadnemu się to nie udało. Pewnie dlatego, że do dużych psów podchodzi się z większą rezerwą. O ile taki mops zadrapał mi lekko skórę i zrobił dziurę w skarpecie, o tyle szczęki takiego owczarka kaukaskiego potrafią wyrządzić niezłą krzywdę. Na przykład odgryźć dłoń. Dlatego też warto mieć refleks i wyćwiczyć

umiejętność odskakiwania od zwierzęcia. No i zawsze ustawiać się tak, aby między wami a psimi szczękami znajdował się właściciel.

Jak wszystkim wiadomo, psy gryzą, a koty drapią. Proste? Nie. Powinno się mówić, że psy gryzą, a koty gryzą i drapią. Mają zęby ostre jak szpilki. Dlaczego by z nich nie skorzystać? Może się to wydać banalne i oczywiste. Nie uwierzycie jednak, jak często zdarza się nam o tym zapominać. Nawet lekarzom weterynarii.

Jest 8.00 rano i to jedyna okoliczność usprawiedliwiająca mój brak ostrożności. Może jeszcze fakt, że to poniedziałek i nie piłem jeszcze kawy. Tak więc jest 8.00 rano, poniedziałek. I pada deszcz. Jako pierwszy na wizytę jest umówiony kocurek na kastrację. Wchodzi młoda dziewczyna z kocykowym zawiniątkiem w objęciach. Oznajmia, że w kocyku jest kot na zabieg, i nie pozostawiając miejsca na dalsze spekulacje, zanurza w nim dłonie i wyciąga drobnego kota, którego bezceremonialnie wciska w moje ramiona. Spoglądam na kota, ten patrzy na mnie. Wyraźnie nie przypadłem mu do gustu, bo robi jedynie „sssssssssssssss!" i zamienia się w „maszynkę do mielenia mięsa". Dosłownie. Poharatał mi ręce od dłoni po łokcie, zeskoczył na podłogę i schował się pod szafą. Ja stoję w lekkim szoku, a moja krew kapie na podłogę. Pani spogląda na mnie zmartwiona i pyta: „To go bolało?". Opadła mi szczęka, i momentalnie się zagotowałem. „Nie wiem, czy go bolało, ale musi go pani wyciągnąć spod szafy, a ja zobaczę, czy będę musiał się szyć, czy wystarczy plaster". Właścicielka odparła, już taktycznie zaczynając pociągać nosem, że się kota boi i nie wyciągnie. Przekonała ją dopiero moja deklaracja, że albo ona wyciągnie kota na zewnątrz, albo ja go wydłubię stamtąd miotłą. Jej wybór. Musi tylko poczekać, aż przyniosę klatkę. Wyciągnęła.

Koty są bardzo podatne na stres. Od tego zdania powinno się zaczynać każde podejście do tematu kota. Od behawioru zaczynając, na zdrowiu kończąc. Wszyscy kociarze wiedzą, jakie z tych zwierząt

nerwusy. Kot zdenerwowany może przekształcać się w dwie poznane do tej pory formy. Pierwsza z nich to tak zwany „kot dywanik". Wyciągnięty z transporterka w gabinecie weterynaryjnym robi się płaski, nie rusza się wcale, chyba że próbuje wrócić do bezpiecznego pojemnika. Godzi się na wszystko, byle zrobić to szybko i dać mu spokój. Jest to forma preferowana i zalecana przez lekarzy weterynarii i farmaceutów. Druga to wspominana wyżej „maszynka do mielenia mięsa". Chmura kociej furii, chaosu i zniszczenia. Najgorsze jest to, że może się aktywować w każdym momencie badania i może poprzedzać ją „pseudodywanik". „Pseudodywanik" to kot, który udaje formę dywanika, gdyż jeszcze nie zdecydował, czy zabić teraz czy za chwilę. Z „maszynką do mielenia mięsa" nie da się porozumieć i negocjować. Nie można też takiego kota do niczego zmusić, gdyż próby robienia czegoś na siłę nasilają stres. A stres może kota kosztować życie. W przeciwieństwie do psa nie należy kota zmuszać do czegokolwiek, bo natura będzie kazała mu iść w zaparte i bronić się „do krwi ostatniej kropli z żył". W tym miejscu chciałbym umieścić przestrogę dla właścicieli. Kot zestresowany, w formie „maszynki do mielenia mięsa" może wyładować złe wibracje także na was. Wbrew pozorom urazom związanym z działalnością wkurzonych kotów ulegają częściej właściciele niż weterynarze. Nierzadko jest tak, że ledwo uchylą się drzwiczki transportera, a już wypada z wnętrza kocie tornado, które nie będzie brało jeńców. I uwierzcie, nie ma wtedy miejsca na sentymenty, oberwie ten, kto znajdzie się najbliżej. Bywa też tak, że nieświadomość i zaskoczenie są naszymi największymi sprzymierzeńcami. Koleżanka pojechała na urlop, a do mnie przyszedł jej długoletni koci pacjent. Otworzyłem transporter, wyjąłem kota. Osłuchałem, omacałem, zmierzyłem temperaturę, a nawet rozwarłem szeroko kocią paszczę. Zadowolony z siebie kończę badanie i spoglądam na opiekunów zwierzaka. Ci stoją jak

skamieniali. Pytam więc, o co chodzi. „Jemu nie można tak robić” – mówią. Okazało się, że to kot morderca i chuligan, którego zbadanie jest właściwie niemożliwe, a moja koleżanka podchodzi do niego zawsze z dużą ostrożnością, co nie uchroniło jej jednak przed kilkukrotnym ugryzieniem. Lekko zdumiony zerknąłem na kota. Ten patrzył na mnie w niemym osłupieniu. Nikt go tak bezczelnie wcześniej nie potraktował. Nikt, nigdy!

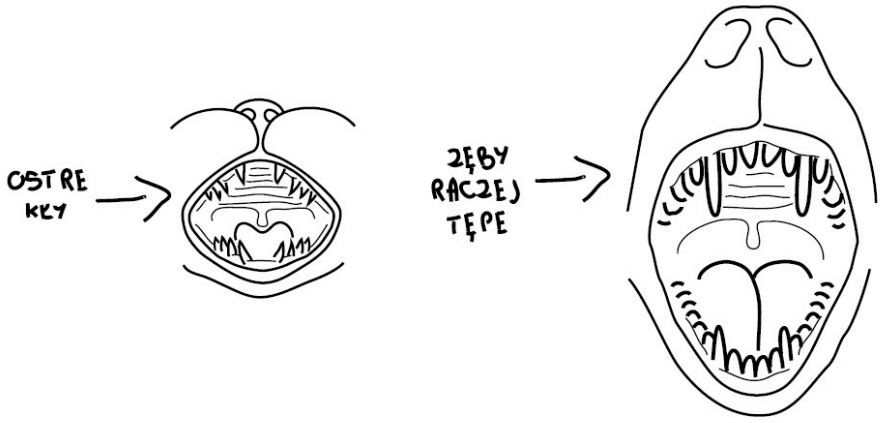

Rany zadawane przez koty różnią się od tych psich. Domowe tygrysy mają ostre pazury i ostre kły. Ostre to słowo klucz. Rany zadawane przez kocie kły to rany kłute. Niby niewielkie, niby takie nic. Jednak penetrujące głęboko i bardzo dotkliwe. Taka penetracja w głąb tkanek pogryzionej osoby sprzyja powstawaniu zakażeń. Przebijający się przez nasze ciało kieł, poza robieniem dziury, wprowadza do rany solidną dawkę bakterii. Rana się szybko zasklepia, więc nie dość, że bakterie mają świetne warunki (ciemno, ciepło, wilgotno), to organizmowi trudniej się ich pozbyć. Po takim ugryzieniu tworzą się piękne ropnie. Po nakłuciu pazurem zresztą

też. Często takie zakażenia źle się goją, a medycy ludzcy wyodrębnili nawet jednostkę chorobową zwaną chorobą kociego pazura[8], która jest problemem ogólnoustrojowym. Należy także pamiętać, że ostre kocie pazury, przypominające wręcz szpony krogulca, tną skórę niczym nożyce papier. Nic przyjemnego. Psy natomiast mają zęby raczej tępe. Co bynajmniej nie czyni je mniejszym zagrożeniem. Charakter ran jest po prostu inny. Bo pies nie tnie w trakcie ataku. On miażdży i szarpie. Uraz będący wynikiem takiego pogryzienia jest bardziej rozległy niż ten spowodowany przez kota. W trakcie miażdżenia uszkadzane są naczynia krwionośne, co prowadzi do niedożywienia i niedotlenienia tkanek. W rezultacie ranom kąsanym często towarzyszy martwica. Łapiąc za skórę i szarpiąc ją, pies odrywa ją od tkanek znajdujących się głębiej. Dlatego niekiedy mała dziurka na skórze wymaga sporej interwencji. Bo owszem, rana zewnętrzna jest niewielka, ale urazy podskórza i mięśni mogą być rozległe. Oczywiście rany po pogryzieniu także ulegają zakażeniu. Zwłaszcza jeśli się ich w odpowiednim czasie nie oczyści i nie opatrzy.

Jeśli się wam wydaje, że tylko psy i koty dybią na me zdrowie, to jesteście w błędzie. Kiedyś zostałem napadnięty przez królika. To nie żart i proszę się nie śmiać, bo nie było mi wtedy do śmiechu…

W kartonowym pudełku przywieziono mi królicę na kastrację. Wysłałem właścicieli do domu. Otworzyłem pudełko i nie ujrzałem zwierzaka. Usłyszałem za to głośne „iiiiiiiiiii!” i poczułem, jak od mojej klatki piersiowej odbija się kula armatnia. To była rzeczona królica. W bojowym nastroju. Wyskoczywszy z pudełka z wojennym piskiem i odbiwszy się od mojego ciała, uderzyła o ścianę i wylądowała pod moimi nogami. Nie zwlekając, podskoczyła i ugryzła mnie w łydkę. Wskoczyła na stół, odbiła się od ściany i tylko zbiegiem okoliczności trafiła z powrotem do swojego pudła. Zatrzasnąłem pospiesznie wieko. Kolejne podejście zrobiłem

uzbrojony w rękawice spawalnicze i z gotowym środkiem znieczulającym w strzykawce. Uchyliłem górę pudła. „Iiiiiiiiii!" rozległo się ponownie, jednak ja byłem szybszy i szarża na moją twarz nie udała się zwierzęciu. Złapałem króliczkę w locie i siłą rozpędu wsadziłem ją do klatki. Przy okazji zdołała podrapać moje ręce. Finalnie jednak ugrałem co swoje, bo przez pręty klatki udało się jakoś zrobić furiatce zastrzyk. Po dziesięciu dniach przyszła na wyciągnięcie szwów. Przy właścicielach nie była wcale grzeczniejsza.

Inne zwierzęta również nie pozostają dłużne i chętnie używają tego, co dostały od natury, w zamian za usługi weterynaryjne. Gryzły mnie chomiki, szczury, świnki morskie, żółwie, świnie i konie. Poza tym przebiegło po mnie kiedyś stado krów, a pewien życzliwy źrebak… Chociaż, wiecie co? Ta historia z krowami to dobra opowieść ku przestrodze. Jak to możliwe, że przebiegło po mnie stado krów? Było tak…

Między ukończeniem liceum a trzecim rokiem studiów w każde wakacje pracowałem w dużym gospodarstwie rolnym. Przez duże, mam na myśli baaardzo duże. Liczba hektarów w tysiącach, kilka setek sztuk bydła, zamek, staw i prywatna loża w miejscowym kościele. Ale wróćmy do kwestii zdeptania przez stado krów. Otóż pewnego dnia musieliśmy część krów przewieźć ze starej obory do nowej. Podjechała ciężarówka. Krowy zaczęły grzecznie wchodzić na platformę. Moim zadaniem było podążanie za zwierzętami z wyciągniętymi rękami i zachęcanie ich do przesuwania się w stronę pojazdu. Dobrze szło. Niewiele musiałem robić. Mućki zdawały się wiedzieć, czego się od nich oczekuje. I wtedy wszystko się zmieniło. Do obory wjechał paszowóz, czyli specjalny pojazd, który miesza i zadaje paszę zwierzętom. Jadąc przez oborę, wysypuje pokarm na stół paszowy. Taki bufet na kółkach dla krów. Krowy zastygły w bezruchu i jak na komendę odwróciły głowy. Były przed śniadaniem, a wjeżdżający właśnie do budynku pojazd stanowił

oczywisty zwiastun posiłku. Zwierzęta zrobiły „w tył zwrot” i biegiem ruszyły w stronę paszowozu, na drodze nie mając jakichkolwiek przeszkód. Poza mną. I o ile wcześniej stałem z wyciągniętymi ramionami i znudzony pokrzykiwałem „hej!” i „dalej!”, o tyle w następnej leżałem w pozycji embrionalnej, wprasowany w słomę i nawóz, pokrywające podłogę obory grubą warstwą. Wszystko trwało chwilę. Mgnienie oka właściwie. A ja żyję tylko dzięki tej słomie i krowim plackom. Gdybym wylądował na betonowej posadzce, całe zdarzenie mogłoby mieć tragiczne skutki. Ja jednak wyszedłem z incydentu tylko z kilkunastoma siniakami w miejscach, gdzie nastąpiły na mnie biegnące krowy. Wnioski z historii są dwa:

1. Nigdy nie stawaj między głodnymi krowami a paszowozem.
2. Słoma i krowie placki świetnie chronią przed zadeptaniem na śmierć.

Aby uniknąć przykrych wypadków na wsi, warto także zapamiętać, iż wchodzenie do stajni w obuwiu typu japonki nie jest dobrym pomysłem.

Jedne z wakacyjnych praktyk studenckich odbyłem w stajni, która specjalizowała się w hodowli koni sportowych. Praktyki trwały dwa tygodnie, a ja znalazłem się daleko od domu. W miejscu, gdzie zasięgu w zasadzie nie było. Poza stajnią. Tęskniąc bardzo za moją narzeczoną, obecnie żoną (jesteśmy małżeństwem już 10 lat, ależ ten czas leci!), każdego popołudnia udawałem się na poszukiwanie zasięgu i zwykle lądowałem w stajni. A tam wśród kilkudziesięciu koni mieszkał także pewien źrebak. Jak każdy dzieciak był skory do psot. Jego ulubionym numerem było zakradanie się i gryzienie niczego niespodziewającej się ofiary. Lub kopanie, gdy ktoś odwrócił się do niego tyłem. Lubił też deptanie po stopach. I tak się złożyło pewnego dnia, że pochłonięty rozmową z Weroniką, przystanąłem przy boksie źrebaka-

-gryzonia. Ten wyciągnął łeb ponad wejście i nastawił się do

głaskania. Położyłem dłoń na jego końskim karku. Nagle poczułem potworny ból stopy! Podskoczyłem i spojrzałem w dół. Na mojej praktycznie gołej (japonek nie można uznać za obuwie zakrywające cokolwiek) stopie widniał odcisk małego kopyta. Rzuciłem konikowi wściekłe spojrzenie. Ten jak gdyby nigdy nic żuł siano. Miał minę niewiniątka, ja jednak jestem przekonany, że zrobił to specjalnie. Wtedy ostatni raz wszedłem do stajni w japonkach.

Bardzo niezręczne jest dla mnie, gdy gryzie mnie coś bardzo małego. Na przykład takie chomiki mają zwyczaj łapać i nie puszczać. I tak potem wiszą na tym palcu. Pierwszym, pierwotnym odruchem jest uderzenie o coś, żeby pozbyć się intruza. Niestety ten odruch może skutkować zgonem pacjenta. Mogłoby to być źle odebrane przez klienta. Więc nie róbcie tego. Trzeba chomikowi pokojowo wyperswadować takie zachowanie, przekonać go, że robi źle. Ewentualnie delikatnie rozewrzeć jego szczęki. I tak, bardzo boli!

Sporo opowiedziałem o strachu, bólu i atakach ze strony zwierząt. Spokojnie jednak. Nie jest tak, że wszyscy odwiedzający gabinet chcą ugryźć. Co nie zmienia faktu, iż trzeba znać zagrożenia będące wpisane w nasz zawód. No i oczywiście nie jesteśmy całkowicie bezbronni. Mamy cały arsenał środków zaradczych. Korzystamy z kagańców, a jeśli ich nie mamy, robimy opaskę z bandaża. Kota można zapakować do specjalnej torby iniekcyjnej lub gdy jej brak, zrobić z niego za pomocą ręcznika kocie burrito. Dobrym przyjacielem są także skórzane rękawice spawalnicze. Owszem, można je przegryźć, stanowią jednak niezłą ochronę dla naszych dłoni. Bo wbrew pozorom weterynarze nie lubią być gryzieni.

[7] Staffordshire bull terrier to, dla nieobeznanych w rasach psów, taki mały pitbull. Jak wszystkie bulle bardzo lubi ludzi.

[8] Choroba kociego pazura jest wywoływana przez bakterie *Bartonella henselae*. Objawia się m.in. gorączką, powiększeniem i/lub zropieniem węzłów chłonnych, bólami głowy, powiększeniem śledziony i wątroby. Człowiek zaraża się w wyniku zadrapania przez kota nosiciela (ale także nosiciela innego gatunku, np. psa). Początkowo choroba, poza rumieniem w miejscu urazu skóry, może przebiegać bezobjawowo.

Rozdział III
Gówniana robota

UWAGA! Jeśli jesteś delikates, przejdź do następnego rozdziału. Poniższy tekst zawiera opowieści o kupie.

Moja praca kojarzy się ludziom pozytywnie. Fakt ten bardzo mnie cieszy, mam jednak wrażenie, że panuje opinia, jakoby lekarz weterynarii całymi dniami głaskał i tulił małe puchate stworzenia. Gwarantuję, że każdy z nas by się ucieszył, gdyby płacono nam za obdarzanie pieszczotami piesków, kotków i króliczków. Tymczasem…

Ludzie obruszają się, gdy mówię o mojej pracy per „gówniana". A ja wcale nie mam na myśli tego, że jej nie lubię. Nie pluję sobie w brodę co rano z powodu dokonanego życiowego wyboru. Nie! Praca sprawia mi wiele frajdy i gdyby nastoletni Łukasz wiedział to, co wie ten trochę starszy, wybrałby dokładnie tak samo. Co nie zmienia faktu, że praca weterynarza jest gówniana. Dosłownie. Może nie cały czas, jednak dość często. Dlaczego? Kupa jest naszym nieodłącznym towarzyszem. Martwimy się o to, czy jest, jaka jest, jak często jest i czy pachnie należycie. Co więcej, często musimy w niej grzebać, analizować ją i kontemplować. Mimo że to może być dla niektórych tematem tabu, kupa jest ważna.

Nie doceniamy dobrego stolca, dopóki coś pójdzie nie tak. A powodów do zmartwień mogą być krocie. Bo biegunka, bo zaparcie, bo za często, bo rzadko, bo oddany w boleściach, z krwią, śluzem… Zbyt luźny, zanadto zbity. Doktorze, pomóż! Myślę, że nie będzie nadużyciem z mojej strony, jeśli napiszę: co trzeci pacjent w gabinecie weterynaryjnym ma problem żołądkowo-jelitowy. Pod tym terminem rozumiem także wszelkie wymioty, ulewania, gulgoty w brzuchu, wzdęcia i przelewania. *Summa summarum* nawet 30% czasu pracy lekarz internista spędzi na analizie rzeczy pachnących w najlepszym razie nieprzyjemnie. Wziąwszy pod uwagę wszystko, co może się przydarzyć w temacie kupy, cieszmy się z tej zdrowej i twardej. I nie brzydźmy się posprzątać po swoim psie. Ja odnoszę wrażenie, że ludzie patrzą na mnie jak na UFO, gdy robię to na spacerze. Znaczy się, sprzątam po psie, a nie kupę. Jednocześnie nikt nie chce wdepnąć w taką i wszyscy się krzywią z obrzydzeniem, gdy wiosną rozmrażają się zimowe stolczyki.

Takim *crème de la crème* kupkowych tematów jest parwowiroza. Nie chciałbym się tu rozwodzić nad istotą tej choroby. Jest to straszne draństwo i ma na sumieniu mnóstwo psich istnień. Każdy właściciel psa zna albo słyszał o kimś, kto zna kogoś, komu pies na to umarł. Smutne jest to, że w dobie szczepień – przeciwko parwowirozie można, czy wręcz należy szczepić – wciąż zdarza się dość często. W tym miejscu pragnąłbym pozdrowić antyszczepionkowców. Ale wróćmy na właściwy tor naszych rozważań. Dlaczego piszę o parwowirozie w rozdziale poświęconym rzeczom mało atrakcyjnym dla zmysłów? Posłuchajcie.

Swoje pierwsze parwo w karierze pamiętam, jakby to było wczoraj. Byłem na chrzcinach synka mojego kuzyna. Niestety w kieszeni miałem dyżurną komórkę, która oczywiście musiała zadzwonić. Szczeniak wymiotuje. Ma około 10 tygodni i nie był szczepiony. Zaraz się weźmie odwodni i odwali kitę. Aha! Rzyga od wczoraj. Dlaczego

dzwonią o 17.00 w niedzielę? Myśleli, że przejdzie, oczywiście. Nie bardzo mogę spuścić ich w przysłowiowej kanalizacji, więc jadę do przychodni. Psiak był w stanie, który można określić mianem „trzy ćwierci do śmierci". Przelewający się przez ręce, zimny i odwodniony, z nieustającym odruchem wymiotnym. Po podaniu płynów, gdy temperatura skoczyła w górę, a leki przeciwwymiotne zaczęły działać, ożywił się. Ożywiły się też jelita. Kto tam wtedy nie był, nie uwierzy, ale okazuje się, że pięciokilowe zwierzę potrafi strzelać kałem z odbytu na półtora metra. Dosłownie. Wstał, wypiął się i oddał salwę rozpryskową. Stół do mycia, ściana do mycia, wet do przebrania i mycia. Pomyślałem, że już gorzej być nie może. Nie należy tego zakładać, gdyż bynajmniej nie był to koniec defekacji. Niestety pierwsza fala sprawiła, że szczeniak znów znacząco osłabł. Leżał, jakby ktoś spuścił z niego powietrze, co 5–10 minut oddając z siebie coś, co kałem można nazwać tylko dlatego, że wyciekało z odbytu. Wydzielina składała się ze śluzu i krwi, a cuchnęła tak, jakby coś psu w środku umarło. Tak z tydzień wcześniej i poleżało na słońcu. Ale takie właśnie jest parwo. Wirus dosłownie kosi błonę śluzową jelit, a jej fragmenty ulegają procesom, które zmieniają ją w śmierdzącą breję. Dodatkowo jelita krwawią, co nie poprawia stanu zwierzęcia. A kupie nadaje swoisty dla tej choroby aromat. Walczyliśmy z tydzień, pompując w psa płyny, ściągając surowicę z Czech i stając na rzęsach. Podając zwierzęciu surowicę, dostarczyliśmy mu gotowe przeciwciała do walki z patogenem. Na szczęście mały wojownik pokonał wirusa i ma się dobrze. Pomyśleć tylko, że można by uniknąć otarcia się o śmierć i wydatku kilku worków złotych monet, stosując się po prostu do zalecanego programu szczepień[9]. Jeśli biegunka jest intensywna, a zwierzę odpowiednich rozmiarów, kał zalewa gabinet. I nie jest to hiperbola. Pamiętam jednego starego dalmatyńczyka, który zalał nam kałem dosłownie każdy kąt ambulatorium, poczekalnię i drogę na parking

od tejże. Wizyta wydłużała się znacząco właśnie dlatego, że co rusz miałem przerywnik na wycieranie mopem otoczenia. W takich właśnie sytuacjach myślę sobie, że chyba nie po to człowiek się uczył tyle czasu. Cieszmy się ze zdrowej kupy!

Kał jest też ważnym elementem diagnostyki. To właśnie na podstawie badania kupy wiemy, czy zwierzę ma nieproszonych gości w postaci pasożytów wewnętrznych. Możemy określić, jaki gatunek robala rozgościł się w jego jelitach i dzięki temu dobrać odpowiednie leczenie. Identyfikacja pasożyta jest wstępem do dalszego postępowania. Na rynku jest dostępnych wiele preparatów do ich zwalczania. Różnią się skutecznością – każdy działa z inną mocą na konkretne robaki. Odmienna bywa także długość terapii. Niekiedy lek trzeba podawać przez kilka dni lub powtórzyć dawkę po upływie kilkunastu. Niektóre podajemy jednorazowo. Nagle się okazuje, że ta często traktowana z pobłażaniem czynność, którą jest „odrobaczanie", to nie taka bułka z masłem.

Warto tu również wspomnieć o tym, jak istotne jest uważne przypatrywanie się kupie. Nieważne, czy tej ze spaceru, czy tej z kuwety. Jeśli zobaczycie w niej coś, co wygląda jak makaron lub ryż, zabierzcie zwierzę do lekarza. I nie, na pewno to nie jest prawdziwy ryż czy makaron. Te produkty zostałyby strawione i w kale byście ich nie zauważyli. Słowo.

Nie tylko defekacje nadają charakter naszej pracy. Od strony jamy ustnej też możemy dostać paczkę niespodziankę. W formie wymiotów. Czasem to my sami jesteśmy za nie odpowiedzialni, wywołując je celowo lub całkiem przypadkiem.

Bywa, że zwierzęta znieczulane wymiotują w początkowej fazie wprowadzania w narkozę. Taki efekt uboczny wywołują u części osobników preparaty do sedacji, zwane przez niektórych głupim jasiem. Między innymi z tego powodu prosimy, żeby zwierzęta przed zabiegami były na czczo. Bo po pierwsze, ja nie mam ochoty zbierać

nadtrawionej parówki, kurczaka czy innej mięsnej papki, a już na pewno myć kota, który się tym umaże. Po drugie, znieczulając, osłabiamy odruchy, także ten przełykania. Jeśli w trakcie zabiegu treść żołądka zacznie wyciekać przez przełyk do gardła, to może wylądować w układzie oddechowym. Uwierzcie mi, nie chcecie, żeby wasz kot w trakcie zabiegu musiał oddychać przez parówki. Kolejną kwestią jest redukcja perystaltyki. Treść pokarmowa w trakcie sedacji przesuwa się z żołądka do dalszych odcinków przewodu pokarmowego słabo albo wcale. Takie żarcie leży w tym żołądku i zaczyna wydzielać gazy. Jest to groźne zwłaszcza dla psów ras dużych, gdzie takie zgazowanie może doprowadzić do skrętu żołądka. I operacja guzka na dupie kończy się walką o życie zwierzęcia. Tylko dlatego, że właściciel nie potrafi być stanowczy wobec swojego pupila. Wielu ludzi ma w mózgu specjalne miejsce, gdzie jest zakodowane: „Zwierzaczek nie może być głodny". Czasem mam takie wrażenie, że niejednemu łatwiej zaakceptować problem głodu na świecie niż nakaz, aby zwierzę było na czczo przed zabiegiem. A potem są skręty żołądka i pretensje do weterynarza. Raz po takiej akcji dowiedziałem się, że to na pewno my skręciliśmy psu żołądek, żeby więcej skasować. No przecież! My w wolnych chwilach skręcamy żołądki. Wszyscy to wiedzą. Niekiedy wymioty stają się obiektem naszego pożądania. Jeśli zwierzę zjadło coś niejadalnego, wywołanie wymiotów czasem ratuje od noża albo zatrucia. Opowiem wam o dwóch przypadkach i dwóch metodach na przyzywanie pawia. Spokojnie, żadna z nich nie wiąże się z wzywaniem mrocznych, pradawnych sił.

W bliżej nieokreślonej przeszłości zaprosiłem do ambulatorium pana z psem rasy mieszanej. Właściwie to pan sam się zaprosił, wpadając niczym wicher do gabinetu. Właściciel był zdenerwowany i zaczął rozmowę od tego, że muszę wywołać u psa wymioty albo najlepiej zrobić płukanie żołądka. Zdziwiony spytałem o szczegóły.

Pies zjadł ciastko. Chcąc uspokoić właściciela, powiedziałem, że pies jest duży (50 kilogramów!) i jedno ciastko nie zrobi mu krzywdy. Pan wpadł w panikę. Bo to takie specjalne ciastko. Ziołowe ciastko. Takie ciastko, które można nabyć w jednym z krajów Beneluksu. Popatrzyłem na psa. Ten wydał się zadowolony z tego, co zjadł. Cóż mogłem jednak począć? Właściciel prawie płakał ze strachu. Podałem psu właśnie głupiego jasia. Tutaj rodzi się pewien problem, bo musicie wiedzieć, że istnieje pewne prawo rządzące weterynaryjnym światem. Otóż paw w trakcie premedykacji pojawia się zwykle wtedy, kiedy go nie chcecie, na przykład przed zabiegiem. Gdy oczekuje się jego wystąpienia – bo na przykład pies zjadł „specjalne ziołowe ciastko" – paw może się zawstydzić i nie przyjść. Na szczęście tym razem kolorowy ptak ukazał nam się w pełnej okazałości i oddał podejrzany produkt piekarniczy. Właściciel zbladł, gdy poprosiłem go o dane osobowe. A ja chciałem tylko założyć kartę leczenia!

Druga historia dotyczy pewnego jack russell terriera, który lubował się w damskich fatałaszkach. Jego fetysz dotyczył rajstop, które po prostu zjadał. Pierwsze musieliśmy mu wyciągnąć operacyjnie. Tak, dokładnie, operacyjnie. Przez to, że zwierzę zjadło kawałek czyjejś garderoby, trzeba było rozciąć mu brzuch, a następnie jelita[10]. W kilku miejscach. Sami widzicie, że nie jest to zbyt dobry zwyczaj, takie zjadanie ubrań. Wypisując psa do domu, prosiłem właścicieli, żeby go pilnowali, bo to się dla niego źle skończy. Nie upilnowali. Tydzień po zabiegu zapłakana właścicielka wpadała do gabinetu. Pies właśnie wciągnął skarpetę. Na szczęście nie trafili na mnie, boby im się oberwało werbalnie. Mój starszy kolega z pracy uznał, że czas od zjedzenia jest na tyle krótki, że skarpetka pewnie leży w żołądku. By wywołać wymioty, wykorzystał starą, sprawdzoną metodę. Napoił psa wodą utlenioną. Ta spieniła się w psim brzuchu, co zaowocowało piękną fontanną z treści żołądka i pożartej skarpety.

W tym momencie pewnie wielu z was zanotowało sobie w głowie: „Zeżarł coś niejadalnego, podam wodę utlenioną”. Chciałbym wam odradzić samodzielne prowokowanie wymiotów. Nie zawsze jest ono wskazane. Nie stosujemy tego zabiegu, jeśli zwierzę połknęło żrącą substancję. Albo coś ostrego, co w trakcie wymiotów może doprowadzić do uszkodzenia początkowego odcinka przewodu pokarmowego, na przykład gdyby w psim żołądku znalazły się żyletki. Musicie też pamiętać, że same wymioty mogą być niebezpieczne, gdy się nad nimi nie panuje. Częstym powikłaniem po prowokowanym zwracaniu jest zachłystowe zapalenie płuc. To stan wywołany dostaniem się treści żołądka do dróg oddechowych. Mając to wszystko w pamięci, nie eksperymentujcie w domu, a jeśli podejrzewacie, że zwierzak połknął coś szkodliwego, zawsze zwróćcie się po pomoc do lekarza weterynarii.

Zostawiam już za sobą temat wymiotów, ale muszę wam się do czegoś przyznać. Niewiele mnie rusza. Krew, gnojówka, ropa, jelita powiewające poza jamą brzuszną, zapach trupa. Wiele zniosę. Jednak jedna rzecz sprawia, że mam ochotę zwrócić śniadanie. Są to kocie wymiociny zawierające zjedzoną chwilę wcześniej mokrą kocią karmę w stylu pasztecik. O zgrozo, jakże to strasznie cuchnie! Jeśli zjadłbym kiedyś coś niejadalnego, to tak właśnie można u mnie prowokować odruch zwrotny – podstawiając mi pod nos to, o czym wspomniałem wcześniej. Nawet kiedy o tym myślę, zawartość żołądka podchodzi mi do gardła. Ble!

Jeśli wydaje się wam, że wyczerpaliśmy temat obrzydliwości świata weterynaryjnego, jesteście w błędzie. Czy zdarzyło się wam kiedyś, że byliście w towarzystwie swojego psa, a w wasze nozdrza znienacka uderzył zapach starego śledzia? Jeśli tak, można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że wcześniej widzieliście swojego pupila szorującego tyłkiem po podłodze. Jeśli dodamy dwa do dwóch, wyjdzie nam, że zwierz ma kłopot z zatokami

przyodbytowymi[11]. Te zatoki lubią się „zapchać”. Wtedy wydzielina gromadzi się i gromadzi, aż wystrzeli gdzieś w kanapę. Wietrzenie i pranie tapicerki w zestawie. Żeby było zabawniej, to jest to scenariusz optymistyczny. Niekiedy wydzielina nie chce sama się ewakuować i wtedy idzie się do lekarza, bo pies się dziwnie zachowuje. Na przykład jeździ tyłkiem po podłożu z wyciągniętymi ku przodowi zadnimi nogami. Zachowanie to nosi nazwę saneczkowania. Ten, kto to wymyślił, musiał mieć poczucie humoru. Oczywiście nie wszystkie psy saneczkują. Niektóre tylko przysiadają, oglądają się na boki lub wygryzają włosy w okolicy zadu. Jeszcze inne nie robią nic, a właściciel wie, że coś jest nie tak, gdy obok odbytu robi się przetoka. Jest to patologiczny otwór, który powstał, żeby pozbyć się zalegającej wydzieliny. Ludzie wtedy biegną do lekarza, bo psu krwawi tyłek. Jeśli więc wasz pieseł wyciera tyłkiem dywan, nie karzcie go za to. On potrzebuje pomocy.

Przetoka to nie tylko problem z zatokami przyodbytowymi. Może wytworzyć się wszędzie, gdzie gromadzi się patologiczna wydzielina. Pod okiem, w pobliżu psującego się zęba, w okolicy rozlizanej[12] rany pooperacyjnej. I w końcu może prowadzić do jamy ropnia. Ropniem nazywamy nagromadzenie się ropy na ograniczonej przestrzeni wewnątrz tkanek, spowodowane infekcją bakteryjną. Może się tworzyć we wszystkich narządach, jednak w gabinecie weterynaryjnym najczęściej diagnozowane są ropnie skórne. Królami ropni są zdecydowanie koty. Zwłaszcza te wychodzące. Czemuż to? Wyjście poza cztery ściany sprzyja intensyfikacji międzykocich spotkań. Koty nie słyną z bycia zwierzętami stadnymi. Co więcej, są terytorialne. Gdy na swoim terenie spotykają przedstawiciela swojego gatunku, zwykle nie wdają się z nim w polemikę, a przechodzą do rękoczynów. I stopoczynów. I zęboczynów. I również do pazuroczynów. W skrócie – biją się jak opętane. Bywa wtedy, że jakiś pazur bądź kieł zatapia się głęboko w kocie ciało. Są

przecież ostre jak igły. Takiemu nakłuciu towarzyszy wepchnięcie całej rzeszy bakterii. Rana się szybko zabliźnia, a bakterie mają środowisko, w którym czują się najlepiej – ciepło, ciemno i wilgotno. Po dwóch, trzech dniach kot robi się osowiały, a okolica rany zaczyna się uwypuklać i przybierać postać pęcherza, nazywanego często przez właścicieli banią. Bania zauważona odpowiednio wcześnie jest przeze mnie nakłuwana w celu wylania sporej porcji cuchnącej ropy. Kiedy kot jest skryty albo właściciel gapa, bania pozostaje niezauważona. W końcu ropień dojrzewa do zmian i tworzy przetokę, przez którą wylewa się to, co usunąłbym ja, gdybym zdążył. Bez względu na to, jak powstanie przetoka, po upuszczeniu ropy z jamy ropnia zwierzę czuje ulgę.

Myślę, że warto wspomnieć, iż ropnie mogą być skutkiem miłosnych podbojów. W trakcie kopulacji kotki są często ranione przez swoich partnerów. Bywa też tak, że nachalny kocur dostaje pazurem od niebędącej w nastroju wybranki. À propos kocurów…

…w czerwcu było bardzo gorąco. Miałem drugą zmianę i gdy w końcu dotoczyłem się do pracy, czułem, że potrzebuję prysznica. Jazda samochodem z niedziałającą klimatyzacją w letnie południe to nic przyjemnego. Myślałem tylko o tym, że w przychodni jest klimatyzacja i uda mi się doprowadzić rozchwiane ciało do stanu równowagi. Jednak spotkała mnie niemiła niespodzianka. Z daleka zobaczyłem, że oboje drzwi i wszystkie okna są otwarte. Znaczy się, że wietrzą. Znaczy się, w środku jest tak samo gorąco jak na zewnątrz. Po wejściu do lecznicy musiałem stwierdzić, że zdarzają się rzeczy gorsze od saharyjskiego żaru lejącego się z nieba. Cała przychodnia jechała kocurem. To samo w sobie nie jest rzeczą niezwykłą, ale intensywność woni nawet na nasze standardy była nie do zniesienia. Przyczyną, jak się okazało, było to, że do południa zostały wykastrowane cztery kocury. Właścicielom nie spieszyło się z odbiorem zwierząt po zabiegu, a kocur po kastracji, no cóż… sika.

Tak średnio co pół godziny. A musicie wiedzieć, że to właśnie zapach kocurzego moczu jest główną motywacją do kastracji. Nie chęć do walk, nie gwałty na wszystkich kotkach w okolicy i płodzenie rzeszy potencjalnie bezdomnych kociaków. Nawet nie strach przed chorobami zakaźnymi, które niekastrowane koty łapią częściej. Nie! Głównym powodem jest to, że kastrowany gagatek nie przemyślał swojego postępowania i nalał w mieszkaniu poza kuwetą. Uwierzcie mi, konieczność wielogodzinnego wietrzenia, wyrzucenia dywanu i prania tapicerowanych mebli, by pozbyć się aromatu kocich perfum, potrafi zmotywować najbardziej zagorzałego wroga kastracji do wysłania pupila na zabieg. Niewiele zapachów może się równać z wonią moczu niekastrowanego kocura. Chyba że jest się zestresowanym szczurem.

Szczury są fajne. Nie wiem, dlaczego tak wielu ludzi uważa je za obrzydliwe. Tym bardziej że ten „paskudny” ogon jest najfajniejszą

częścią szczura. Lubię je. Wśród małych puchatych stworzeń wyróżnia je intelekt. Ale nie bystrość szczura jest tym, co mnie interesuje w tym rozdziale. Mnie ciekawią kupy. Taki szczur, przebywając w domu, oddaje kał w formie zbitych, twardych, w miarę suchych bobków. Niestety dla weta nie przewidziano twardego bobka. Co to, to nie! Zwykle już gdy się wkłada głowę do poczekalni, można wyczuć, że w pudełku trzymanym na kolanach znajduje się szczur. A to z powodu stres kupy zwanej też „kupą dla weta”[13]. Szczur zdenerwowany, a jest to dla niego zrozumiały stan, jeśli się znajdzie w gabinecie, wydala z siebie kał lepki, mazisty i cuchnący. Jest to taki zapach, który sprawia, że macie się ochotę przebrać. Jedyna pociecha jest taka, że szczur zdenerwowany szuka schronienia w zakamarkach odzieży swojego opiekuna. Dzięki temu po zakończonym badaniu nie tylko ja zajeżdżam stres kupą.

Wiemy już, że to nie jest praca pachnąca różami. Trzeba się z tym faktem pogodzić, żeby nie być potem zawiedzionym. Życie na ogół po prostu pachnie źle. A po śmierci nie jest lepiej. Na studiach trzeba było obyć się ze zwłokami w różnym stopniu napoczęcia przez czas i procesy gnilne. Choć prawdę powiedziawszy, te całkiem świeże też potrafią niesamowicie cuchnąć. Człowiek przyzwyczai się jednak do wszystkiego. Z praktycznych zajęć z prosektorium najlepiej pamiętam to, że po zakończeniu sekcji wszyscy biegliśmy do bufetu. Jakoś tak działał na nas widok zwłok. Wiem, chore.

[9] WSAVA (World Small Animal Veterinary Association) sugeruje rozpoczęcie szczepień u szczeniąt już w wieku 6 tygodni i powtarzanie ich trzykrotnie w odstępach trzy- lub czterotygodniowych. Mój pacjent powinien być zaszczepiony już po raz drugi, a tymczasem opisałem jego pierwszą wizytę w lecznicy!

[10] Kiedy byłem dzieckiem, zawsze zastanawiała mnie bajka o *Wilku i siedmiu koźlątkach*. Mama koza rozcina śpiącemu wilkowi brzuch. I tu rodzą się pytania.

Dlaczego ten się nie obudził? A koźlątka gdzie dokładnie były w tym brzuchu? W żołądku czy już dalej?

[11] Zatoki przyodbytowe – skupisko komórek gruczołowych układających się w formę pęcherzyków, zlokalizowanych po obu stronach odbytu. Produkują intensywnie pachnącą wydzielinę. Występują również u kotów.

[12] „Rozlizany” nie jest terminem medycznym. Przymiotnik ten jednak świetnie opisuje to, jak wygląda skóra w wyniku kociej czy psiej działalności. Miejsce uporczywie lizane przez zwierzę traci włosy, staje się czerwone i obrzęknięte, w dodatku jest stale mokre, czy to w wyniku ciągłego ślinienia, czy przez pojawiającą się wydzielinę zapalną. Po prostu jest rozlizane.

[13] Nie jest to tylko moja obserwacja. Olga Gromyko wspomina o niej w swoich *Szczurynkach*. Swoją drogą, polecam tę książkę.

Rozdział IV
Doktorze! Ja wiem, co mu jest!

Mówią, że Polacy są specjalistami w każdej dziedzinie. Krążą legendy, iż wiemy wszystko na każdy temat. A im bardziej się nie znamy, tym mamy większe przekonanie o naszej słuszności. Oczywiście nie dość, że wszyscy mamy receptę na uzdrowienie służby zdrowia, to każdy od najmłodszych lat wie, jak diagnozować i leczyć. Jest to moim zdaniem bardzo poważna choroba. I nie wynaleziono na nią jak do tej pory lekarstwa. Atakuje także właścicieli zwierząt.

Wiele osób odwiedza mnie z gotowym rozpoznaniem. Część z nich przychodzi ze zwierzęciem, opowiada historię choroby i dzieli się swoimi wnioskami. No i spoko, ja nie mam nic przeciwko temu, aby właściciel analizował stan swojego czworonoga. Czasem jest to nawet bardzo pomocne. Niekiedy te wnioski są słuszne, innym razem całkowicie nietrafione, jednak najważniejsze w tym przypadku jest to, że taki opiekun nie zakłada, że na pewno ma rację. Owszem, jeśli trafi, to jest z siebie dumny. Ale jeśli minął się z prawdą, nie rozpacza. Przyszedł do mnie po pomoc, a nie łechtać swoje ego. Ale jest jeszcze drugi typ ludzi. Takie osoby wiedzą i nigdy się nie mylą. Właściwie to nie byłbym im potrzebny, gdyby leki można było dostać w aptece lub najlepiej w osiedlowym spożywczaku. Wchodzą do gabinetu, oznajmiają, że ich kot ma (tu wstaw dowolną chorobę, ale

nie jakąś pospolitą) i żądają leku. Najczęściej przychodzą bez zwierzęcia, bo przecież już przeprowadzili badanie w domu i postawili diagnozę. I tu następuje zderzenie z rzeczywistością. Niestety (albo i na szczęście) czyjeś przekonanie o własnej nieomylności nie jest wystarczającą podstawą do wydania leków. Bo – co dla wielu jest trudne do zrozumienia – gabinet weterynaryjny to nie apteka. My nie handlujemy lekami. Te wydajemy:

1. Jeśli zbadamy zwierzę.
2. Na podstawie dokumentów potwierdzających ciągłość leczenia.

Dlatego też, gdy odwiedza mnie „domowy doktor", mówię, że dostanie leki tylko wtedy, gdy przyjdzie z pacjentem, którego zbadam. To pozwoli mi postawić diagnozę i dobrać leki. No chyba że mam kwity od moich kolegów, ale nie takie sprzed dwudziestu lat, to wydam leki potrzebne do kontynuacji leczenia. Nie zdziwi was pewnie, że większość takich alf i omeg robi się czerwona, sapie i trzaskając drzwiami, opuszcza przychodnię. Smutny fakt jest taki, że tylko nieliczni z nich zrozumieją i wrócą ze zwierzęciem. Zdecydowana większość urażonych prawdą wyraża głośno swoje oburzenie, wątpiąc przy tym w moje kompetencje. Cóż, takimi „klientami" nie należy się przejmować.

Niektórzy wierzą również w chorowanie grupowe i zbiorcze leczenie. Przyjrzyjmy się pewnej właścicielce kotów.

Odwiedziła mnie kiedyś elegancko ubrana kobieta. Taka w stylu bizneswoman. Wiecie: garsonka, buty na szpilkach, teczka pod pachą i pełny makijaż. Oznajmia na starcie, że jest prawnikiem. Trochę mnie to bawi, gdy ludzie w pierwszym zdaniu wymieniają swoją profesję. Jakby miało to mieć wpływ na dalszy przebieg rozmowy. Ja nie biegam dookoła i nie mówię „Nazywam się Łukasz Łebek. Jestem lekarzem weterynarii. Poproszę pół chleba i cztery kajzerki". Ale wróćmy do historii. Pani mecenas ma dwa koty i jeden od dziesięciu dni regularnie wymiotuje. To właśnie było powodem jej

odwiedzin. Mówię, że okej, i pytam, czy kota ma w torebce, bo nie widzę transportera. W odpowiedzi zostałem poczęstowany wydęciem ust i pouczeniem, że mam być poważny. Poza tym jej drugi kot też ostatnio wymiotował i dostał od innego weterynarza takie małe, białe tabletki. Moja rozmówczyni nie uznała za zasadne poddania badaniu drugiego zwierzęcia, ponieważ on ma to samo, czyli wymiotuje. Ona chce tylko „jakiś lek", a zamiast tego musi znosić dowcipkującego weta. Musiałem ją zmartwić. Tłumaczę, że ja nie dam jej jakiegokolwiek medykamentu, ponieważ nie wiem, co jest jej kotu. „Przecież mówię, że wymiotuje!" – wykrzykuje oburzona. Więc ja wyjaśniam, że wymioty to objaw, a nie choroba sama w sobie. Mogą mieć wiele przyczyn i ja muszę koniecznie zbadać zwierzę. Innej możliwości nie ma. „Poza tym PRAWO mi nie pozwala dać pani leków w ciemno" – uderzyłem w zawodowe nuty prawniczki. Ta natomiast, nie racząc powiedzieć mi „do widzenia", wyszła z gabinetu. Westchnąłem tylko. Kolejna osoba na liście tych, które mnie nie lubią…

Pani przyszła nazajutrz. Bardzo zła. Z miną mówiącą: „Jeśli nic nie znajdziesz, to puszczę cię z torbami". Pacjentem okazał się czternastoletni kot. Badania wykazały przewlekłą niewydolność nerek. Kiedy tłumaczyłem, co to za choroba, mina mojej klientki zmieniała się dynamicznie. Z bojowej na przerażoną. Okazało się wszak, że wymioty to był najmniejszy problem, a racja była po mojej stronie. Dobrze, że zmusiła się, aby przyprowadzić kota. Nie dałem jej satysfakcji, ale za to zwierzę miało szansę na poprawę komfortu życia.

Takich przykładów jest wiele. Ludzie przychodzą po jakieś krople do uszu, bo pies „trzepie głową", a u sąsiada też trzepał i dostał krople. Na katar coś pan da, bo mój kot miał katar, a teraz pies kichnął dwa razy. Albo na biegunkę u królika, bo w przedszkolu u dziecka panuje jelitówka. A wszystko tylko w jednym celu. Aby

uniknąć wizyty, bo przecież weterynarz darmozjad skasuje nas za nią słono. No i byłbym zapomniał! To jest odpowiednie miejsce, żeby wspomnieć o mojej „ulubionej” grupie klientów, czyli o hodowcach gołębi.

Oni są mistrzami omijania wizyt, diagnoz na odległość i drenowania z lekarza każdego strzępka wiedzy bez płacenia. A jeden z nich przeszedł sam siebie. Dorwał mnie, jak już wychodziłem z pracy.

– Panie! Pomóż mi pan! – Łapie mnie za rękaw.

– Ale ja właśnie…

Nie dał mi skończyć.

– Bo ja mam gołębie, nie? I one są chore. Zerwałem im pypcia[14] i nic nie pomogło. I ten, ja bym chciał takie lekarstwo. Takie jak woda, w ciemnej butelce, Zenek dostał w zeszłym tygodniu i pomogło…

Problem w tym, że nie dowiedziałem się, co dolegało tym gołębiom. A lekarstw jak woda w ciemnej butelce mam kilka. I kim, do diaska, jest Zenek?!

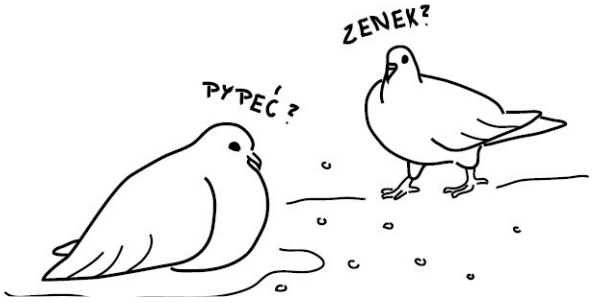

Część opiekunów moich pacjentów nie poprzestaje na opowieściach i chce uzyskać zdalnie rozpoznanie na podstawie różnych dowodów wizualnych. Przychodzą do mnie na przykład ze zdjęciem. Zwykle bardzo niewyraźnym, zrobionym jakąś antyczną

nokią. I oczekują zarówno postawienia diagnozy, jak i skutecznego leczenia. Piszę ten tekst po długim dyżurze, na którym miałem przyjemność spotkać się z takim oto przypadkiem…

Do biura wchodzi młody człowiek w dresie. Ominął poczekalnię, bo tam kolejka. Ja to takich ignoruję i po prostu udaję, że nie widzę, tak jak oni nie dostrzegają poczekalni. Ciężko jednak olać kogoś, kto wciska ci w twarz komórkę. „Panie! Co mu jest? Bo mu się takie coś zrobiło". Chcąc nie chcąc, patrzę na wyświetlacz. Widzę białą psią łapę z jakimś czerwonym plackiem. Wzruszam ramionami i mówię, że nie wiem. Facet nie odpuszcza. Chce jakąś maść czy coś. Bo przecież na fotce widać, że coś mu jest. Przytaknąłem, psu faktycznie coś jest. Problem w tym, że bez badania to ja nie wiem co, a na postawie zdjęcia to już w ogóle. Zresztą na telefonach się nie znam, parę metrów dalej jest salon GSM. Poza tym mam pacjentów, dziękuję za miłą pogawędkę, gdy przyjdzie z psem, to niech wejdzie od strony poczekalni. „Kur**! Nie, to nie! Pier*** się!" – krzyknął w moje plecy. Nie wrócił z psem. Dziwne.

Problem, moi mili, polega na tym, że naprawdę nie da się leczyć na podstawie zdjęć, które nam pokazujecie. Nie chodzi o ich jakość ani o to, że są tylko wycinkiem całości. Nawet nie o to, że okazujecie tym totalny brak szacunku do naszego zawodu. Jest to zwyczajnie nieprofesjonalne. Takie postępowanie byłoby również nie fair wobec was, wobec waszych zwierząt i w szczególności wobec mnie samego. Nie ma możliwości zbadania zdjęcia. Czerwona plama może być sucha albo cieknąca, bezwonna lub cuchnąca. Może być rumieniem, pokrzywką, wrzodem, powierzchownym zapaleniem skóry lub plamą zostawioną na skórze zwierzęcia przez bawiące się flamastrem dziecko.

Jakiś czas temu internet obiegło zdjęcie „zmiany skórnej" na udzie psa. Diagnozy internautów były przeróżne. Od kleszcza, przez brodawkę, do mastocytomy[15]. A wiecie, co to było naprawdę?

Malinowa landrynka wklejona we włosy! Co byłby ze mnie za lekarz, gdybym w swoich osądach opierał się wyłącznie na zdjęciu? Nie byłbym bardziej wiarygodny niż pierwszy lepszy użytkownik forum z poradami. Nie mam również zdolności parapsychicznych. No i nie kieruję się przeczuciami.

Dawno temu poszedłem z córką do pediatry. Mała miała mieć szczepienie. Lekarz zbadał moje dziecko i powiedział: „Nie ma żadnych objawów, ale mam przeczucie, że tu za chwilę będzie angina". Nie zaszczepiono Antosi, a z przychodni wyszedłem z receptą. Na leki na hipotetyczną chorobę. Nie wykupiłem ich, u mojego dziecka nie rozwinęła się domniemana angina. Był to ostatni raz, kiedy byłem z córką u tego lekarza. Nasz obecny pediatra swoje osądy opiera na badaniach, nie przeczuciach. Co u niego bardzo cenię. Bo lekarz ma zbadać, nie wróżyć. Jeśli objawy nie występują, a w badaniu nie mam się czego uczepić, nie podaję moim pacjentom preparatów leczniczych tak na wszelki wypadek. Bo branie antybiotyku, gdy jest się zdrowym, nie zapobiega infekcjom bakteryjnym. Zamiast tego sprzyja lekooporności, o której opowiem w dalszej części książki.

Chciałbym w tym miejscu zdradzić wam, czego nigdy, ale to przenigdy nie powinniście mówić lekarzowi weterynarii. Lubię was, więc ostrzegam. Ale zacznijmy od historii…

Do biura przychodni wpada jak wicher pan. Mówi, że się śpieszy, bo urwał się z pracy. Jego pies ma biegunkę i on już dzwonił do hodowcy, żeby się dowiedzieć, co to może być. Ten kazał mu kupić – tu padła litania kilku preparatów, w tym antybiotyk – i on je wszystkie chce. Zagotowałem się, jednak spokojnie każę mojemu rozmówcy pojechać do hodowcy, żeby od niego kupić te leki. „Ale on nie jest lekarzem!" – krzyczy oburzony mężczyzna. O! Amerykę odkrył! A my nie jesteśmy apteką. Zbadamy zwierzę, potem wydamy

leki. Nie ma pan czasu? Jesteśmy tu do dwudziestej, proszę przyjechać po pracy.

Jeśli choć trochę szanujecie swojego weterynarza, to nie mówcie mu, że dzwoniliście do hodowcy w celu ustalenia przyczyny choroby. Pytanie go o diagnozę to tak, jakby pytać matkę trójki dzieci, co jest waszemu synowi. Mimo że hodowcy miewają olbrzymią wiedzę na temat hodowanej przez siebie rasy, zwykle lekarzami weterynarii nie są. Ci mądrzy zwyczajnie każą wam iść na wizytę, ci niezbyt ogarnięci będą wam udzielać rad. My natomiast nie będziemy leczyć na podstawie konsultacji z hodowcą.

Wielu opiekunów chętnie stawia diagnozy swoim zwierzętom. Przypuszczam, że część z nich równie ochoczo diagnozuje samych siebie. Niekiedy właściciele są tak pewni, że już w pierwszym zdaniu wymieniają, co na pewno jest ich zwierzęciu. Objawy mogące sugerować dziesiątki chorób są przyporządkowywane do konkretnej dolegliwości. Za klasyczne już uważam stawianie znaku równości między wymiotami a „on COŚ zjadł". Jakżebym chciał, żeby wszystkie pawie miały swoje źródło w niestrawności! Ależ proste byłoby życie! Głodówka, lek przeciwwymiotny i cześć, pełen sukces, dziękuję i do zobaczenia. A tu zonk![16] Objawy mogą wskazywać na całą gamę problemów z przewodem pokarmowym. Zapalenie żołądka, zapalenie trzustki, parwowiroza, niedrożność, achalazja przełyku (choroba wynikająca z zaburzenia motoryki przełyku) to tylko niektóre z chorób, którym potrafią towarzyszyć wymioty. Czasem są one wtórne do uporczywego kaszlu, innym razem natomiast wynikają z chorób narządów niezwiązanych z przewodem pokarmowym, na przykład przewlekłej niewydolności nerek. A może wasz pupil zjadł coś bardzo toksycznego? Na przykład ibuprofen? Jak sami widzicie, wymioty mogą towarzyszyć wielu różnym chorobom. Owszem, czasem pies po prostu coś zjadł. Nie traktujmy jednak tego jako jedynej możliwości.

Takich oczywistości, które jednak mogą się okazać czymś innym, niż zakładamy, jest wiele. Wasz pies kaszle. Jaka jest wasza pierwsza myśl? No przecież, że mu coś w gardle utkwiło. Proste, prawda? Ha, ha, ha. Nie. W medycynie nic nie jest proste i jednoznaczne. Leczę taką małą starszą damę. Suczkę w typie jack rusell terriera. Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, szukaliśmy czegoś, co uwięzło w gardle. Dziewczyna kaszlała od miesiąca, ale właściciel uparł się, że na 1000% coś jest w gardle. Bo sąsiad zna kogoś, kto ma w rodzinie psa, który jest z miotu takiej suki, co jej kość w gardle stanęła. Uparł się, i już. Ja po badaniu ogólnym wiedziałem, że to nie kość w gardle, tylko niewydolność krążeniowo-oddechowa z obrzękiem płuc. Opiekun suczki jednak szedł w zaparte. Problem w tym, że aby zajrzeć do gardła, musiałem psa znieczulić. Wynegocjowałem więc szantażem jeden dzień zwłoki. Pan dał się przekonać, że trzeba najpierw podać leki, żeby pozbyć się tego obrzęku płuc, bo nie ma opcji, żebym ją teraz znieczulił. Pies odejdzie na łono Abra… Bądź co bądź, czyjeś łono, a ja zostanę ze wściekłym właścicielem. Podałem leki i... cud! Pies przestał kaszleć, co zachwiało pewność siebie właściciela. Na drugi dzień zrobiłem RTG klatki piersiowej, które pięknie potwierdziło moją diagnozę. Bo gdy wasze serce jest tak wielkie, że przyciska tchawicę do kręgosłupa, to tak jakby ciężko nie kaszleć.

Jak w każdym przypadku, i tu mamy drugą stronę medalu. Nie ulega wątpliwości, że w gardle może coś utknąć. Wyciągałem już kości i patyki, a nawet parę razy pszczele żądła. I także był kaszel. Tylko różnica jest taka, że gdy coś utkwi w gardle, to zwykle zwierzę tak bardzo chce się tego pozbyć, że biega jak oszalałe po mieszkaniu. Nie wytrzymacie z nim przez miesiąc. Nie ma opcji.

Utkwienie czegoś może też dotyczyć innych miejsc w ciele czworonoga. Prawie każde zwierzę, które po raz pierwszy zachoruje

na zapalenie kanału słuchowego zewnętrznego, trafia do gabinetu z notą „coś mu do ucha wpadło”. Na przykład ziemia…

Jednego dnia, kiedy zawołałem kolejnego pacjenta z poczekalni, moim oczom ukazała mi się para z koszykiem na brudną bieliznę. Ciekawe, co za niespodziankę trafię tym razem? Brudne gacie czy dziurawy sweter? Wybaczcie, ale właśnie tak działa moja głowa. W dziwnych sytuacjach podsuwa mi najbardziej szalone scenariusze. Kosz nie zawierał jednak skarpet niepewnej świeżości, ale czwórkę kociąt. Państwo znaleźli je w kartonie koło sklepu i dali im dom. Od razu nabili sobie punktów! Szlachetne osoby zawsze w cenie. Zapytani o powód wizyty, oznajmili, że kotom ziemia wpadła do uszu. Całej czwórce? Całej. Jakim cudem? Nie mają pojęcia. W takim razie nie pozostało nic innego, tylko zbadać. Zdecydowanie nie była to ziemia. Znaczy się faktycznie u wszystkich maluchów kanały słuchowe wypełniała czarno-brunatna, grudowata substancja, ale z glebą nie miała nic wspólnego. Państwo przygarnęli kocięta w pakiecie z pasożytem o pięknej łacińskiej nazwie *Otodectes cynotis*, znanym polskiej publiczności jako świerzbowiec uszny. Ten, podrażniając skórę kanałów, sprawił, że znajdujące się w niej gruczoły woszczynowe zaczęły produkować zmienioną woskowinę. Przy okazji maluchy odczuwały potworny świąd. Plusem tej przypadłości jest to, że szybko i skutecznie się ją leczy. Teraz koty mają rozmiar małych tygrysów i dalej mieszkają z tymi samymi ludźmi.

Niekiedy to ja jestem w błędzie, a właściciel ma rację. Napisanie tego zdania wiele mnie kosztowało i musiałem zrobić sobie przerwę. Ale to szczera prawda. Weterynarze także się mylą, bo są tylko ludźmi. Pamiętam taką jedną leniwą niedzielę. Nikt mnie nie odwiedził przez pierwszą godzinę otwarcia przychodni. Siedziałem sobie na ławce przed drzwiami i sącząc kawę, cieszyłem się piękną letnią pogodą. Sjestę przerwał samochód, który z piskiem opon

zatrzymał się tuż obok mnie. Na zewnątrz wyskoczył cocker spaniel, ciągnący za sobą właścicielkę. „Zdążyłam?" – pyta zziajana. Mieliśmy jeszcze godzinę. W gabinecie okazało się, że na spacerze pies tarzał się trawie, a teraz potrząsa głową. Musiało mu coś do ucha wpaść! Ja z pobłażliwą miną łapię za otoskop, czyli przyrząd do badania kanału słuchowego, i z marszu zaczynam się rozwodzić nad zapaleniem kanału słuchowego. Na pewno nic mu do ucha nie wpa… Patrzę do ucha. Patrzę ponownie. Niech to! Na samym dnie, tuż przy błonie bębenkowej tkwi kłos trawy. Żeby go wydobyć, musiałem psa znieczulić i srogo się natrudzić. Wniosek: najpierw badaj, potem stawiaj diagnozę.

Pewne rzeczy tkwią nam głęboko w podświadomości. Gdy mózg trafi na odpowiedni wzór, umysł podsuwa nam te oczywistości jako prawdy objawione. Każdy na przykład wie, że gdy dziecko namiętnie drapie się po tyłku, to ma owsiki. Proste. Gdy widzimy psa, który szoruje tyłkiem po podłodze, mózg próbuje dopasować to kuriozum do czegoś znanego. Takie szorowanie pewnie świadczy o tym, że go tyłek swędzi (co jest słuszną obserwacją). Idąc dalej: jeśli dzieci + świąd odbytu = owsiki, to pies + świąd odbytu = robaki! Co zwykle jest błędnym myśleniem. To prawda, przy pasożytach czasem zdarza się świąd, jednak saneczkowanie nie jest typowym objawem parazytoz jelitowych u zwierząt. No ale mózg nam podpowiedział, o co chodzi, więc pobiegliśmy po tabletki na robaki. Podaliśmy i czekamy na efekt, który nie nadchodzi. Idziemy do lekarza, a ten pcha psu paluchy do tyłka! Bo to nie owsiki, a problem z zatokami, który opisałem w poprzednim rozdziale.

Poważnym problemem jest to, że czasem ignorujemy objawy, mając je za coś z pozoru nieistotnego. Duży brzuch odbieramy jako konsekwencję bycia grubym. A tu nagle się okazuje, że jest on wypełniony płynem. Albo guzem! Całkiem niedawno przyjmowałem kota, który całe życie był gruby. Choć „gruby" to duże

niedopowiedzenie. Trafniejsze byłoby określenie: katastrofalna otyłość. W trakcie wizyty okazało się, że owszem, brzuch został, ale reszty kota nie ma. Zanikły tłuszcz i mięśnie. Mimo to zwierzę wyglądało jak gruszka. Wielki bęben i mała głowa. W jamie brzusznej tkwił wielgachny guz. W trakcie operacji okazało się, że nowotwór naciekał jelita, śledzionę i nerkę, tworząc z kocich narządów konglomerat. Dla kota nie było możliwości ratunku. Nie można usunąć całej zawartości brzucha! A właściciele nie zwrócili uwagi, bo on zawsze miał duży brzuch.

Podobnie jest ze zwiększonym pragnieniem. Zwykle cieszymy się, że zwierzę dużo pije. Czasem zrzucamy to na karb upału, suchego powietrza i aury ogólnie. Generalnie logiczne jest, że lepiej, gdy zwierzę pije. Jak się nie pije, to się nie żyje (cały czas mówimy o wodzie, i nie, nie tej ognistej). Nie należy się jednak cieszyć, gdy zwierzę pije, niczym Smok Wawelski, każde ilości, jakie dopadnie w domu, a w dodatku nie odpuści żadnej kałuży. Wzmożone pobieranie płynu zazwyczaj świadczy o chorobie. Nie jakiejś konkretnej, nie jest to objaw specyficzny, powinien jednak zmobilizować właściciela do wizyty u weterynarza. Bo na przykład taka niekastrowana suka, która dużo pije i puszcza pawie, a ruję miała ze dwa miesiące temu, może mieć ropomacicze. A kot, który do tej pory unikał wody jak ognia, jest kandydatem na cukrzyka. Gdy nasze ciało domaga się kosmicznych ilości wody, zdecydowanie coś jest nie tak. Bądźcie wyczuleni na takie zmiany w życiu swoich zwierząt.

Wiecie, że zwierzęta mają wyższą temperaturę ciała niż my? Dla psów i kotów średnia norma wynosi 38,0–39,0 stopni Celsjusza, a taki królik będzie gorączkował powyżej 39,5 stopnia. Większość właścicieli jest tego świadoma. Niektórzy nie…

Noc z soboty na niedzielę, godzina nieznana, ale jest ciemno. Dzwoni dyżurny telefon.

– Halo? – pytam, ziewając.

– Mój pies ma gorączkę! – woła do słuchawki kobiecy głos.

– Skąd pani wie?

– Zmierzyłam!

– Rektalnie?

– Przepraszam, że co?

– W tyłku pani zmierzyła?

– Oczywiście, że tak. Przecież tam się mierzy u psów.

– To ile pani wyszło?

– Koszmar! 38,5 stopnia. Możemy do pana przyjechać?

– To nie jest gorączka. To temperatura fizjologiczna. Dlaczego pani właściwie mierzyła temperaturę? Dzieje się coś?

– Nie. Ale ma suchy nos!

Suchy nos. Wilgotny nos. Ciepły, zimny, wszystko jedno. Nos nie wskazuje kompletnie na żadną chorobę. Nigdy! Chyba że leci ropa z nosa, to chory. Ale sprawdzanie stanu zdrowia zwierzęcia na podstawie tego, jak wygląda u niego lusterko nosa, jest bez sensu. Przy okazji warto wyjaśnić, że nos wielu zwierząt różni się od naszego. U całkiem sporej grupy warga i przednie nozdrza łączą się, tworząc tak zwane lusterko nosowe. Jest ono nieowłosione i zwykle wilgotne. Jeśli wokół jest sucho i gorąco, to ono będzie suche i gorące. A zwierzę nie będzie miało gorączki. Jeśli wokół panuje zimna, wilgotna aura, to nos będzie mokry i zimny. Nie, zwierzę nie jest przeziębione. Macie moje słowo. Nos o niczym nie świadczy, a podejmowanie jakichś działań na własną rękę może doprowadzić do tragedii…

Jednej niedzieli miałem wezwanie do świnki morskiej, której właściciele podejrzewali u pupilki zbyt wysoką temperaturę. Było lato, gorąco, zwierzę spędziło dzień na trawniku. Ludzie nie zauważyli zmian w zachowaniu ani niepokojących objawów. Świnka wesoła, aktywna i stale jedząca, co najlepiej świadczy o jej

samopoczuciu. Na swoje nieszczęście zwierzę miało czarne futro. A czarny ma to do siebie, że zbiera ciepło. Gdy kawię wzięto na ręce, była gorąca. Właściciele uznali, że ma zbyt wysoką temperaturę, i wsadzili ją do zimnej wody. I tak potrzymali przez kilka godzin. Na stole zastałem nieprzytomne zwierzę. W silnej hipotermii. Norma temperatury dla tego gatunku mieści się w przedziale podobnym jak dla królika. Mój termometr reaguje od 32 stopni. Nie zareagował wcale. Najgorsze w tym wszystkim było to, że właściciele nie przejęli się całą sytuacją. Zwłaszcza ojciec rodziny, który cały czas dowcipkował. „Chyba narozrabialiśmy, ha, ha". „Ależ te zwierzęta delikatne, ha, ha". „On ma na imię Dejzi, a to samiec, ha, ha". Ja tu próbuję pomóc temu prawie martwemu zwierzęciu, a ten cały czas rzuca pseudodowcipnymi uwagami. Starałem się go ignorować, ale się nie dało. Dopiero moja uwaga: „Wasza świnka prawdopodobnie umrze. Przez was. Czy mógłby pan przestać gadać? Bo zaraz się spakuję i wrócę do domu" – uciszyło wesołka. Zaczęły się usprawiedliwienia, że myśleli, że to gorączka. Świnki nie uratowałem. Umarła w trakcie wizyty.

Uczcie się na cudzych błędach; jeśli coś wam się tylko wydaje, to się upewnijcie u kogoś, kto się zna.

Moja koleżanka z pracy konsultuje przypadki dermatologiczne. Trafiają do niej wszystkie łyse i drapiące się zwierzęta, którym inni lekarze nie byli w stanie pomóc. Nie zazdroszczę jej, bo zwykle jej pacjenci walczą z problemami długie miesiące, a ich właściciele oczekują szybkiego rozwiązania, co w większości przypadków nie jest możliwe. W dermatologii też problematyczne są mity i domowe rozpoznania. Głównie kombinacje na temat łysienia i niedoborów witaminowych. Właściciele potrafią tygodniami i miesiącami podawać suplementy mające poprawić kondycję skóry – bez ustalenia przyczyny utraty okrywy włosowej. W sytuacji, gdy poprawy nie ma, zmieniają na następny. Potem się okazuje, że ich kot zakaził grzybem

psa i królika, a prawdopodobnie również dziecko. Albo że psi alergik już tak strasznie się drapie, że zamiast skóry ma jedną wielką ranę. Ale za to wszelkie niedobory cynku, biotyny i kwasów omega pokryte z górką. Tak, tak, przesadzam trochę. Czasem po prostu zwierzęciu czegoś brakuje. Fajnie by jednak było, gdyby taką ocenę wydał dermatolog, a nie pani Wiesia z forum porad internetowych. Niestety internet, który jest dla nas w wielu sytuacjach ogromnym ułatwieniem, bywa kłopotliwy dla mnie i moich pacjentów.

W 1996 internet stał się teoretycznie dostępny dla każdego Polaka. Może zajęło mu trochę czasu, żeby zagościć w większości polskich domów, ale pewnie gdy wysyłano pierwszego e-maila, nikt nie przypuszczał, jak potężnym narzędziem się stanie. Cała wiedza na wyciągnięcie ręki. Ale jak powiedział wujek Ben[17]: „Z wielką mocą wiąże się wielka odpowiedzialność". Kto mógł przypuszczać, że ten dar dla ludzkości stanie się niejednokrotnie przekleństwem? Sam, stawiając pierwsze kroki w sieci, korzystając z telefonicznego modemu, gdzie każda minuta była na wagę złota, nie sądziłem, że internet będzie utrudniał mi pracę.

Jeśli ktoś nigdy nie googlał swoich objawów, niech pierwszy rzuci kamieniem. Myślę, że każdemu użytkownikowi sieci zdarzyło się choć raz. Zwykle po takiej diagnozie jesteśmy chorzy ze strachu. Nasza biegunka jak nic pasuje do raka jelita grubego, a nagła gorączka to na 100% choroba denga. Nie byliście w tropikach? Co z tego? Google przecież się nie myli. O ile nastraszenie się informacjami z internetu ma zwykle pozytywny skutek, gdyż prowadzi do wizyty u lekarza, o tyle denerwujące dla tego ostatniego będzie, jeśli oczekujecie potwierdzenia swojej internetowej diagnozy, nie dopuszczając do wiadomości innych potencjalnych przyczyn waszego stanu. Może mniej egzotycznych, ale za to bardziej prawdopodobnych. Zarówno medycy ludzcy, jak i ci zwierzęcy nie

lubią, gdy zastępuje się ich wyszukiwarką internetową. Poważnie. Nie lubimy.

Częściej, niż jestem w stanie to znieść, spotykam ludzi, którzy w zasadzie nie przychodzą do mnie na badanie, po poradę czy inną pomoc, ale chcą leków na wykrytą przez internet chorobę. Po co mają denerwować zwierzę, skoro wszystko wiadomo, tu jest napisane, patrz pan! No właśnie nic nie wiadomo. Bez badania nie ma leków. To jest żelazna zasada. Zdziwionym zawsze radzę, żeby leki dał im ten, kto badał. „Ale internet nie leczy!" – krzyczą oburzeni. Skoro może diagnozować, to niech kombinuje leki. Mnie w to proszę nie mieszać.

Bywa, że właściciel przychodzi z listą potencjalnych rozpoznań. Tak żeby mi ułatwić pracę. Jakże miło! Pamiętam takiego pana z łysym szczeniakiem (łysienie było skutkiem choroby). Na karteczce w notesiku wypisane miał prawdopodobne przyczyny tychże wyłysień. Ułożył je, jak oznajmił poważnie, w kolejności od najbardziej do najmniej prawdopodobnego. Szło tak: pęcherzyca, toczeń, wrodzone upośledzenie wchłaniania cynku, dysplazja mieszków włosowych, leiszmanioza, atopia, młodzieńcze zapalenie skóry, nużyca, alergiczne pchle zapalenie skóry. Zaraz na wstępie zaznaczył, że ostatnie możemy wykluczyć, bo on dba i jego pies nie ma pcheł. Jak nietrudno się domyślić, lista była ułożona od najciekawszego do naj-
powszechniejszego schorzenia, a w przypadku tego zwierzęcia należało ją czytać dokładnie od tyłu. To też powiedziałem właścicielowi. Poprosiłem, aby położył malucha na stole i przyjrzał mu się dokładnie. Sierść szczeniaka aż się ruszała, tak bardzo był zapchlony. Legiony pcheł przemieszczały się dziarsko między psimi włosami. Ten, drapiąc się, uszkadzał sobie skórę i prowokował powstawanie łysych placków. Dodatkowo odczuwał potworny świąd[18], a skóra była jedną wielką raną. Właściciela to nie

przekonało. Oznajmił, że pies nałapał pcheł w gabinecie, odwrócił się i wyszedł. Prawda jednak jest taka, że jeśli ktoś tu nałapał pcheł, to gabinet od psa. Nie na odwrót.

Oczywiście nie zawsze wygląda to tak, jak w opisanym wyżej przypadku. Nie dziwi mnie to, że właściciele szukają wiedzy na temat swoich zwierząt i ich chorób. Nie dziwi i nie oburza. Jeżeli odwiedza mnie osoba, która mówi, że czytała, iż problem może dotyczyć tego i tego, nie widzę powodu, żeby z góry zakładać jej błąd. Wszystko zależy od sposobu, w jaki z nami rozmawiacie. Jeśli do gabinetu wpada jak wicher kobieta, która rzuca kota na stół i dyktuje, że mam zmierzyć temperaturę, osłuchać i potwierdzić, że kot cierpi na inwazję kosmitów, włączają mi się od razu nerwy i na roszczeniowość odpowiadam bezczelnością. Nie jest prawdą, że klient nasz pan. Nie muszę być miły dla każdego. Owszem, staram się i na uprzejmość zawsze odpowiadam tym samym, ale ludziom niemiłym pokazuję środkowy palec. Jednakże jeśli ta sama babeczka przyszłaby i powiedziała, że obawia się tego czy owego, to poprowadzę badanie tak, żeby te obawy potwierdzić albo rozwiać. Rodzice zawsze powtarzali, że nieważne, co mówię, ważne, jak to robię. I naprawdę z weterynarzem też się można dogadać. Ale pozwólcie mu pracować i nie dyktujcie mu, co ma robić!

Dużym problem związanym z łatwością wymiany informacji w sieci jest istnienie wszelkich forów i portali z poradami. Wielu ludzi bardziej ufa anonimowemu doradcy z Facebooka niż lekarzowi, który realnie może pomóc ich zwierzętom. Istnieją w sieci tysiące miejsc, w których właściciele opisują objawy swoich zwierząt i pytają, co im może być. I wiecie co? Internetowi specjaliści odpowiadają. Mimo że jedyną logiczną odpowiedzią jest: „Zabierz zwierzę do weterynarza". I takie odpowiedzi się zdarzają, zwykle jednak spotykają się z falą hejtu. Uzyskawszy poradę w sieci, właściciel szuka leku. Ale jak go

zdobyć, skoro monopol mają ci źli weterynarze? Trudno, trzeba iść i żądać…

Zapraszam kolejnego pacjenta. Do gabinetu wchodzi pan bez zwierzęcia. Siada przy biurku i zaczyna opowiadać. Jego pies ma 12 lat i kaszle od dwóch miesięcy. Zapytałem więc, jak mam mu pomóc, gdy jego tu nie ma? Pan nie po to przyszedł. Pan chce taki preparat na skórę. Na forum mu powiedzieli, że to na pewno są pasożyty płuc i musi podać taki preparat. Tłumaczę mu, że przyczyn kaszlu może być sto tysięcy i te pasożyty w płucach to nawet nie ścisła czołówka… Przerywa mi i zaczyna krzyczeć, że on nie będzie płacił za jakieś badania, skoro on dobrze wie, co jest jego psu! Poczekałem, aż przestanie się wydzierać, i spokojnie powiedziałem, żeby przyszedł, jak się uspokoi. A jak chce sobie pokrzyczeć, to niech wyjdzie na zewnątrz. Ja w każdym razie nie dam mu tego, o co prosi. Pan spuścił z tonu, przeprosił i wyszedł. O dziwo, wrócił po godzinie z psem. I wiecie co? Chwała Bogu, że nie dałem mu tego środka. Chorym psem okazał się border collie, a u tej rasy występuje mutacja jednego genu, która sprawia, że są one wrażliwe na niektóre leki[19]. Także na ten, który był przedmiotem naszego sporu. Zawierzenie internetowej poradzie mogło się skończyć śmiercią zwierzęcia.

Mimo wszystko internet czasem pomaga w relacjach z moimi klientami. Jest w sieci wiele miejsc, które opisują w sposób jasny i przejrzysty problemy zdrowotne naszych podopiecznych. To strony prowadzone przez lekarzy i przez miłośników zwierząt. Dzięki nim łatwo poznać podstawowe fakty związane z chorobą, z którą się aktualnie zmaga nasz czworonożny przyjaciel. Mnie natomiast łatwiej pracuje się z ludźmi, którzy zdobyli podstawową wiedzę w zakresie danego problemu. W takiej sytuacji możemy dyskutować, nie jesteśmy zdani na jednostronną retorykę w moim wydaniu. Dodatkowo czasem opiekun trafi w czeluściach internetu na jakąś

sugestię, która może nam pomóc w terapii. Staram się być otwarty na nowości i niestandardowe rozwiązania, ale nie jestem w stanie znać ich wszystkich. A skoro coś może nam pomóc, to dlaczego z tego nie skorzystać?

Furię jednak wywołuje u mnie sytuacja, gdy ktoś oznajmia mi na kontrolnej wizycie, że zmienił dawkowanie lub częstotliwość stosowania jakiegoś preparatu lub zrezygnował z niego całkowicie, ponieważ „na forum napisali…". Ja wtedy rezygnuję ze współpracy z takim właścicielem. On mi nie ufa, ja mu w takiej sytuacji również. Jest to bez sensu. Dziękuję, powodzenia u kogoś innego. I tu rada dla was, moi czytelnicy. Nie bójcie się pytać swojego lekarza. Jeśli macie wątpliwości, obawiacie się jakiegoś postępowania czy leku, mówcie o tym. Chcielibyście konsultacji z innym lekarzem, mówcie o tym. Jesteśmy po tej samej stronie w walce z chorobą. Ale nie będziemy w stanie rozwiać waszych obaw czy modyfikować postępowania, jeśli nie uzyskamy od was konkretnej informacji. Razem mamy realny wpływ na zdrowie waszych pupili. A internet? Na forum nie uzyskacie pomocy. Może wam się wydawać, że jest inaczej, ale poza potokiem słów nie zyskacie nic. Na razie nie można podłączyć psa do komputera i leczyć go zdalnie.

[14] Pypeć to mityczna przyczyna wszystkich gołębich chorób. Niestety nigdy go nie widziałem, bo wszystkie zostały zerwane przez hodowców przed badaniem ptaka. Mimo to każdy z nich przy każdej okazji oznajmia, że zerwał już pypcia. Ja wtedy robię mądrą minę i mówię, że dobrze.

[15] Guz z komórek tucznych (mastocytoma) – jeden z najczęstszych nowotworów skóry u psów.

[16] Jeśli nie wiecie, co to zonk, to jesteście smarkacze i sprawdźcie w Google :)

[17] Fani komiksów i filmów Marvela zrozumieją.

[18] W ślinie pcheł znajduje się białko (hapten), które jest silnym alergenem. Bywa tak, że ugryzienie jednej pchły wywołuje intensywne uczulenie.

[19] Mutacja ma miejsce w genie MDR1. Jest ona przyczyną większej wrażliwości psa na skutki uboczne niektórych leków. Może wystąpić u wielu ras, jednak szczególnie często pojawia się u ras collie, owczarków szetlandzkich i australijskich.

Rozdział V
Pies to nie człowiek. Owca to nie mała krowa

Młody adept sztuki weterynaryjnej już na pierwszym roku studiów może dojść do wniosku, że łączy nas ze zwierzętami więcej, niż chcielibyśmy przyznać. Na poziomie komórkowym, tkankowym, narządowym, a nawet w widocznych na zewnątrz detalach anatomii jesteśmy do siebie podobni. Mój ulubiony pisarz Terry Pratchett napisał kiedyś, że od zwierząt różni nas jedynie umiejętność artykułowania swoich myśli. Nazwał człowieka małpą opowiadającą historie. Poznając bliżej zwierzęta, przebywając z nimi w domu czy w pracy, odkrywamy, że łączą nas nie tylko cechy fizyczne, ale również te mniej namacalne. Każdy na swój sposób, jednak wszyscy potrafimy okazywać całą gamę uczuć i emocji. Radość, strach, miłość, niechęć, złość i wiele innych. To nie tylko domena ludzi. Nie jesteśmy wyjątkowi. Każdy właściciel czworonoga powie wam, że jego zwierzę jest bardziej ludzkie niż niejeden człowiek. I będzie miał poniekąd rację. Nie zgodzę się tylko ze słowem „ludzkie", bo to by znaczyło, że to my przekazaliśmy zwierzętom zdolność odczuwania emocji. Prawda jest taka, że one potrafią czuć bez naszej ingerencji. Obserwacje dzikich zwierząt jasno wskazują, że nie są one tylko automatami rządzonymi przez instynkty.

Jesteśmy do siebie podobni. Mimo to, im lepiej młody adept sztuki weterynaryjnej poznaje mechanizmy sterujące pracą tej

skomplikowanej i pięknej machiny, którą jest żywy organizm, tym częściej odkrywa, ile nas różni. A indywidualnych cech jest równie dużo (jeśli nie więcej) niż podobieństw. Poznanie tych różnic jest kluczowe w naszej pracy. Wiedza o tym, w którym miejscu funkcjonujemy inaczej, nie tylko pozwala leczyć, ale też – co ważniejsze – pomaga uniknąć przypadkowej wycieczki pacjenta za tęczowy most.

Podobieństwa obserwują nie tylko lekarze. Właściciele moich pacjentów również zauważają cechy wspólne. Dodatkowo ich własny bagaż uczuć, którym obdarowują swoich zwierzęcych przyjaciół, sprawia, że czasem w przekonaniu opiekunów całkowicie zaciera się różnica między człowiekiem a zwierzęciem. Nie znaczy to jednak, że mam coś przeciwko okazywaniu uczuć czworonogom. Wręcz przeciwnie! Wolę właściciela zaangażowanego emocjonalnie niż zimnego i uprzedmiotawiającego. Uważam jednocześnie, że uczłowieczanie zwierząt jest dla nich często kłopotliwe. Bo mimo oczywistych podobieństw każdy gatunek jest inny. Nie można przejść obojętnie nad fizjologią, anatomią, potrzebami bytowymi i żywieniowymi, wmawiając sobie, że skoro traktuję zwierzaka jak członka rodziny, to mogę uznać go za człowieka. Jest to co najmniej nierozsądne, a zwykle po prostu niebezpieczne. Może nawet skończyć się śmiercią.

Bardzo często słyszę takie pytanie: „Czy mogę podawać ludzkie leki swojemu (tu wstaw dowolne zwierzę)?”. Odpowiedź brzmi: NIE. Wiem, że pewnie zdajecie sobie sprawę, iż lekarze weterynarii używają czasem ludzkich leków. Dlaczego więc odpowiadam przecząco? Boję się precedensu. I nawet nie chodzi o to, że ktoś będzie samodzielnie leczył. Tak się dzieje bez względu na to, co powiem. Obawiam się jednak, że odpowiedź: „niekiedy można” zostanie rozciągana na kolejne leki, aż zwierzę w końcu dostanie taki, który zrobi mu krzywdę. Różnica między mną a większością

moich klientów jest taka, że ja wiem, czego można użyć, w jakiej dawce i u kogo. Bo pies to nie człowiek. Ale najlepszy będzie przykład.

W całej rzeszy dostępnych medykamentów są takie, które szczególnie kuszą opiekunów moich pacjentów. Królują tu wszelkie leki przeciwzapalne, zwłaszcza te o działaniu przeciwbólowym. Owszem, niektórych można użyć. Niektóre nie równa się wszystkie. Za przestrogę niech posłuży paracetamol. Zastanawiacie się, jakie on może stanowić zagrożenie? Przecież nawet bobasom można go podawać! Skoro pomógł mojemu dziecku, to przecież pomoże także kotu, który wydaje się ciepły, więc pewnie ma gorączkę. Takie myślenie może mieć tragiczny finał. Pominę fakt, że większość zwierząt, która „wydaje się ciepła" właścicielom, nie ma gorączki. Istotne jest jednak to, że taki paracetamol (nawet w wersji dla bobasa) jest dla kota bardzo toksyczny. Zdziwieni? A jednak. Zatrucie tym lekiem to jedno z najczęstszych zatruć spowodowanych przez opiekunów. Dzieje się tak, ponieważ koci organizm nie radzi sobie z metabolizowaniem paracetamolu. W przeciwieństwie do wątrób większości ssaków, które rozkładają go na nietoksyczne metabolity, wątroba kota robi z nim coś zgoła innego. U tych zwierząt pozornie bezpieczny lek przetwarzany jest do silnie toksycznego związku zwanego w skrócie NAPQI[20]. Substancja ta uszkadza czerwone krwinki. Zamienia zdolną do transportu tlenu hemoglobinę w pozbawioną tej zdolności methemoglobinę i prowadzi do rozpadu erytrocytów. Objawy zatrucia mogą być różne, np. silny ból brzucha, duszność, brązowe zabarwienie dziąseł, uogólnione drgawki, jednak niekiedy pierwszym i jedynym objawem jest śmierć kota. Musicie także pamiętać, że nie ma dla Mruczka bezpiecznej dawki paracetamolu. Nawet śladowe ilości mogą wywołać objawy zatrucia.

Psa również można łatwo zatruć, gdy chcemy mu pomóc. Załóżmy, że jesteście na wycieczce w górach. Wasz pies potknął się na śliskim

kamieniu i się przewrócił – trochę naciągane, ale nada się na potrzeby tej historii. Po zdarzeniu zaczął utykać. Dość trafnie założyliście, że pewnie go boli. Jedyne, co macie przy sobie, to tabletka od bólu głowy zawierająca ibuprofen. Niewiele myśląc, podajecie ją psu. Po jakimś czasie zwierzę przestaje utykać, lecz jednocześnie dzieje się coś niedobrego z przewodem pokarmowym. Pojawiają się wymioty i biegunka z krwią! Pies ewidentnie czuje się źle, a jego stan się pogarsza. Wycieczka kończy się zniesieniem biedaka ze szlaku na rękach i gorączkowym poszukiwaniem gabinetu weterynaryjnego. Co się stało? Tak się jakoś składa, że ibuprofen jest toksyczny dla psów. Upośledza u nich działanie enzymów zwanych COX (cyklooksygenazy), które mają działanie ochronne na błonę śluzową przewodu pokarmowego, regulują przepływ krwi przez nerki i proces krzepnięcia krwi (wpływają na prawidłowe działanie płytek krwi). Po podaniu psu ibuprofenu dochodzi do owrzodzenia przewodu pokarmowego, krwawienia i niewydolności nerek. W wyniku działania leku najczęściej obserwowane jest krwotoczne zapalenie jelit. Jeśli jednak poda się odpowiednio dużą dawkę, do gabinetu przyniesie się trupa. Faktem jest, że pies nie będzie już czuł bólu w nodze. Nic nie będzie czuł, gdyż po śmierci bólu się raczej nie odczuwa. Brzmi to brutalnie, jednak dobrze działa na wyobraźnię opiekunów zwierząt. Często używam tej historii jako straszaka. Większość ludzi bierze ją sobie do serca i rezygnuje z podawania zwierzęciu leków na własną rękę. Przytaczając tę historię, chciałbym was zmusić do powściągliwości, aby każda chęć podania leku była poprzedzona refleksją nad bezpieczeństwem waszego pupila. Jeśli nie znacie biologicznych podstaw działania preparatu, nie możecie go stosować. Czasem chęć pomocy może być gwoździem do trumny.

Zatrucia mogą być spowodowane nie tylko lekami. Krzywdę możemy zrobić także na pozór niegroźnymi produktami

spożywczymi. Nie wiem, jak wy, ale ja na przykład przepadam za czekoladą. Nie podzieliłbym się nią jednak z żadnym zwierzęciem. I nie chodzi wcale o to, że ja generalnie nie lubię dzielić się czekoladą. Lub nie tylko o to. Produkty będące efektem przetwarzania ziaren kakaowca zawierają teobrominę, która jest krewną kofeiny. Słusznie się domyślacie, że skoro o niej piszę, oznacza to, że zwierzętom raczej nie służy. W przypadku czekolady jednak ważne jest to, ile zwierzę jej zjadło i jakiej jakości była to czekolada. Im więcej kakao, a co za tym idzie, wyższe stężenie teobrominy, tym mniejsza ilość potrzebna do wywołania objawów zatrucia. Świetnie pasują tu przypisywane Paracelsusowi słowa: „Wszystko jest trucizną i nic nie jest trucizną, wszystko zależy od dawki". I tak na przykład czekolada mleczna jest mniej toksyczna od gorzkiej, a kakao w proszku to dla psa duże ryzyko pobytu w szpitalu. A czasem zdarza się tak, że nie dość, że zwierzę pochłonie znaczą ilość czekolady, to jeszcze jak na złość to będzie czekolada przez duże „C". Jak na przykład u pewnego dobermana…

Są takie dni, że przychodzicie rano do pracy, zaparzacie sobie kawę o 8.00, a o 15.00 wylewacie ją do zlewu. To był właśnie taki dzień. Od otwarcia dziki tłum ludzi. Każdy z chorym zwierzęciem. A co przypadek, to lepszy. Pracowaliśmy na trzy gabinety, wszystkim nam pot płynął po plecach. Zawołałem następną osobę z poczekalni, ale zanim pani z kotem zdążyła podnieść się z krzesła, do gabinetu wpadł pan i od drzwi oznajmił: „Chyba pies mi umiera". Był blady i minę miał taką, że przeprosiłem ludzi obecnych w poczekalni i przyjąłem od razu. Wyższa konieczność. Stany nagłe wchodzą poza kolejnością. Mężczyzna wbiegł do gabinetu z dobermanem na rękach, co nie jest łatwym wyczynem, bo pies ważył na oko jakieś 40 kilogramów. Zwierzę było nieprzytomne, targały nim silne drgawki, a dziąsła miały kolor cytrynowych landrynek. Co było przyczyną tego stanu? Łakomstwo! Właściciel trzymał w swoim

domowym biurze tabliczki czekolady, którymi obdarowywał swoich interesantów. Niestety biura przez niedopatrzenie nie zamknął. Jego pies miał natomiast zwyczaj pod nieobecność właścicieli robić obchód po całym domu i zjadać wszystko, co było potencjalnie jadalne. Wykorzystując to, że drzwi stały otworem, wszedł do biura swojego pana i zjadł dziewięć tabliczek belgijskiej czekolady klasy premium. Każda o masie 100 gramów. Każda zawierająca 80% kakao. Właściciel wrócił do domu po kilku godzinach i znalazł psa drgającego konwulsyjnie w kałuży wymiocin. Łasuch za łakomstwo zapłacił wysoką cenę. Walczyliśmy o jego życie przez kilka dni. Na szczęście ze skutkiem pozytywnym, mimo licznych wzlotów i upadków. Nie obyło się też bez długotrwałych konsekwencji. W wyniku zatrucia poważnie oberwała wątroba, która wróciła do normy dopiero po prawie pół roku.

Istnieje też wiele innych produktów, które my możemy jeść, a dla zwierząt są zakazane. Rodzynki na przykład[21]. Warto także pamiętać o szkodliwości ksylitolu. Ten wchodzi w skład słodzików, ale również gum do żucia czy past do zębów. Zakazane są też cebula i czosnek, zawierające dwusiarczki toksyczne dla psich i kocich wątrób. Wspominam o tym nie bez przyczyny. Spotkałem się już z próbami odrobaczania zwierząt czosnkiem czy z podawaniem syropu z cebuli w celu podniesienia odporności. Jeśli jednak cenicie sobie zdrowie swoich zwierząt, to zaniechajcie takich pseudomedycznych praktyk.

Podawanie leków ludzkich u zwierząt rodzi także inne problemy. Nie bez znaczenia są kwestie prawne. Lekarzy weterynarii obowiązuje tak zwana kaskada stosowania leków. Zgodnie z nią, lecząc na przykład kota, muszę najpierw użyć leków zarejestrowanych dla tego gatunku. W następnej kolejności mogę zastosować preparaty weterynaryjne przeznaczone dla innych gatunków, a dopiero na końcu sięgnąć po odpowiedniki ludzkie.

Jednak najważniejsze są moim zdaniem dwa zjawiska: biodostępność i lekooporność. Biodostępność mówi nam o tym, ile z podanego leku wchłonie się w jelitach i dostanie do krwiobiegu. Nudne, ale bardzo ważne. Im wyższa biodostępność, tym więcej leku się wchłonie. Niestety wiele ludzkich preparatów wchłania się w zwierzęcym organizmie w niewielkim stopniu. W rezultacie, żeby osiągnąć stężenie terapeutyczne, czyli najmniejsze stężenie leku w organizmie, które przyniesienie efekt leczniczy, musimy podawać znacznie większe dawki leków. Umiera tu argument wielu ludzi, którzy twierdzą, że leki ludzkie są tańsze od weterynaryjnych. Owszem, często są, jednak ja wolę podać psu jedną tabletkę za pięć złotych niż pięć za złotówkę. Tak jest zdecydowanie prościej. Podawanie leków zwierzętom bez kontroli lekarza – a tym zwykle się kończy przyzwolenie na stosowanie preparatów ludzkich zamiast weterynaryjnych – może mieć też konsekwencje dla zdrowia naszych pupili. Zwłaszcza w przypadku antybiotyków[22]. Jeżeli podajemy psu ludzki lek, którego biodostępność wyniesie 30%, to naszym problemem jest nie tylko kwestia osiągnięcia stężenia terapeutycznego. Sprzyjamy również lekooporności, czyli uniewrażliwianiu się bakterii na działanie leków. Mimo tego, że drobnoustroje są mało skomplikowanymi, jednokomórkowymi organizmami, potrafią się bronić przed naszymi atakami. Wytwarzają szereg mechanizmów, które pozwalają im unieszkodliwiać nasze leki. Brak odpowiedniego stężenia nie dosyć, że im nie zaszkodzi, to dodatkowo ułatwi im „nauczenie" się skutecznych strategii obrony. W rezultacie może się okazać, że nie będziemy mieli czym leczyć pacjenta.

Lekooporność można również wywołać, stosując leki weterynaryjne. Jak trudna jest walka z mikroorganizmami, dobrze ilustruje tak z pozoru błahe schorzenie jak zapalenie uszu u psów. Wielokrotnie trafiały do mnie zwierzęta, którym OD LAT podawano

„jakieś krople” do uszu. Bez jakichkolwiek badań. I mimo tego leczenia choroba miała się dobrze. Zwykle w takiej sytuacji pobieramy wymaz z kanału słuchowego. Materiał ląduje następnie w laboratorium, gdzie określa się, czy mamy do czynienia z jakimś drobnoustrojem, a jeśli tak, to czym można dziada leczyć. Wykonuje się tak zwany antybiogram, który określa wrażliwość bakterii na konkretne antybiotyki. Przerażające jest to, że czasem hoduje się bakterie, które są oporne na praktycznie każdy z dostępnych nam leków. Dotyczy to zwłaszcza zwierząt leczonych latami w ciemno. Poza tym zawsze trzeba wziąć pod uwagę, że chore ucho to zaledwie wierzchołek góry lodowej całego problemu, a pierwotnie za stan zapalny odpowiada inna choroba. Warto więc się zastanowić nad tym, czy zwierzę nie jest na przykład alergikiem. Nie strzelajmy więc sobie sami w stopę. Badajmy, leczmy przyczynowo, nie objawowo.

Oczywiście sytuacja może dotyczyć każdej infekcji bakteryjnej w dowolnym miejscu organizmu. Antybiotyki są na świecie stosowane często i z upodobaniem, nie tylko przez lekarzy weterynarii, ale również przez tych ludzkich. Coraz częściej mamy do czynienia z superbakteriami, wobec których jesteśmy bezsilni. A ile nowych antybiotyków jest opracowywanych rocznie? Zmartwię was. Przemysł farmaceutyczny przeżył antybiotykowy boom w latach osiemdziesiątych. Powstało wtedy wiele nowych i skutecznych preparatów. Jednak od tamtej pory opracowano bardzo niewiele nowych antybiotyków. A te całkiem świeże są niedostępne dla naszych czworonogów. Najnowsze zdobycze w dziedzinie zwalczania bakterii zarezerwowano dla leczenia lekoopornych szczepów szpitalnych u ludzi. My musimy zadbać o to, żeby to, co jest w naszym arsenale, działało jak najdłużej.

Nie chciałbym, abyście odnieśli wrażenie, że różnice występują tylko między ludźmi a zwierzętami. Między poszczególnymi gatunkami zwierząt również jest tego mnóstwo. Nie można

wszystkich wrzucić do wora pod nazwą: „zwierzęta domowe” i jak leci leczyć tak samo. Co tam leczyć! Przecież nawet potrzeby codzienne każdego zwierzęcia są inne. Wiele problemów zdrowotnych bierze się właśnie stąd, że zapraszając zwierzę pod nasz dach, nie zastanawiamy się nad jego potrzebami. Wydaje się nam, że wszystko wiemy, i często dajemy wiarę nieprawdziwym opiniom. A czasem jesteśmy celowo wprowadzani w błąd. Weźmy na przykład żywienie gryzoni. Coraz częściej zjawiają się pod naszym dachem jako nasi towarzysze. Świnki morskie, chomiki, szczury, szynszyle, burunduki… Ostatnio nawet kapibary. I wiecie co? Nie ma uniwersalnej karmy dla gryzoni. Każdy gatunek żywi się inaczej.

Z tej prostej przyczyny, że wszystkie one mają odmienną fizjologię, a co za tym idzie – potrzeby. Tymczasem chodzicie po markecie i na półce stoi „Zbilansowana karma dla gryzoni i królików”. Nie dosyć, że dla gryzoni, to jeszcze wciągają w to króliki. O zgrozo! Królik gryzie, więc też jest gryzoniem, prawda? No właśnie, tak jakoś wyszło, że

nie jest. Dodatkowo producent mami nas określeniem „zbilansowany". Karma zbilansowana to taka, która zapewnia organizmowi wszystko, co konieczne do prawidłowego, zdrowego funkcjonowania. Pasza dla gryzoni, która składa się w 90% z ziaren zbóż, nie jest zbilansowana. Dla większości z nich wcale się nie nadaje, a dla królików to już w ogóle. Świadomość potrzeb danego gatunku jest kluczem do zapewnienia długiego i zdrowego życia zwierzętom.

Lekarz weterynarii musi poznać mnóstwo rozbieżności między poszczególnymi gatunkami. Poznać, zapamiętać i potem mieć je cały czas w głowie w trakcie pracy. Bo nie wszystko, co mogę zastosować u psa, podam kotu. Albo podam, tylko w innej dawce. Lub częściej. Albo i rzadziej. A część preparatów stosuje się według tego samego schematu. Można zwariować, uwierzcie. Niekiedy nieuwzględnienie różnic będzie skutkować tym, że terapia nie będzie działała. Zignorowanie ich może doprowadzić nawet do śmierci zwierzęcia. A nam, ludziom, ignorowanie różnych rzeczy idzie całkiem nieźle.

Większość właścicieli zwierząt dba o profilaktykę. Zwłaszcza jeśli chodzi o pasożyty. Nikt nie lubi, jak po jego ulubieńcu coś łazi lub, co gorsza, z niego wyłazi. Walczymy z pchłami, kleszczami, pasożytami wewnętrznymi. Jest to o tyle łatwe, że najczęściej nie musimy zwierzęcia zabierać do weterynarza. Preparaty można kupić nawet w sklepie zoologicznym. Trzeba tylko pamiętać, że takie środki są przeznaczone dla konkretnego zwierzęcia o konkretnej masie ciała. To są dwie podstawowe informacje, które należy wbić sobie do głowy. Jeśli jest napisane „dla psów" i jest przekreślony obrazek kota, znaczy się, kotu nie wolno podać. Nawet namalowali tego przekreślonego kota dla tych, co nie czytają. Mimo to co rusz zdarza się, że ktoś wiedział lepiej…

Nigdy nie zapomnę kota, który dostał preparat przeciwko pchłom i kleszczom przeznaczony dla psa. To były pierwsze miesiące mojej

pracy, wszystko dla mnie nowe i *wow*. Pierwszy rok pracy to przecież czas oglądania wielu rzeczy… po raz pierwszy. Dlatego pewnie kociak tak zapadł mi w pamięć. Choć nie był to jedyny powód.

Była sobota i zbliżała się godzina zamknięcia przychodni[23]. Do gabinetu wbiegła młoda dziewczyna z kotem w ramionach. Pupil cały dygotał, szczękał zębami, kończyny i ogon miał wyprężone, oczy pląsały szaleńczy taniec. „Co się stało?" – pytam. Zamiast odpowiedzi otrzymałem wybuch płaczu. Z przerw w łkaniu wyłowiłem podstawowe informacje. Kot dostał preparat przeciwpchelny, którego dostać nie powinien. Poza kotem pani ma dwa psy, dla których kupiła preparat typu spot-on, czyli taki, który wylewa się na skórę, aby mógł się z niej potem wchłonąć. Resztki, które zostały w ampułce po aplikacji na psich grzbietach, wtarła kotu. Nie zdawała sobie sprawy, że doprowadzi tym do nieszczęścia. U mojego pacjenta objawy pojawiły się trzy godziny po wylaniu. Pierwsze, co trzeba zrobić w takim wypadku, to umyć zwierzę. Spot-ony wchłaniają się nawet dobę. Zmycie ich ze skóry udaremnia dalsze wchłanianie się i trucie organizmu. Kot był nieprzytomny, prawie martwy, jednak nie przeszkodziło mu to w zachowaniu się jak na prawdziwego kota przystało. W trakcie kąpieli prychał i drapał. Pisząc to, patrzę na bliznę biegnącą od nadgarstka w stronę łokcia. Nigdy tego kota nie zapomnę…

Koty wydają się bardziej wrażliwe na preparaty przeciw-pasożytnicze niż psy. Na rynku znajdziemy znacznie bogatszą ofertę dla tych drugich. Część można zastosować u obu gatunków, jeśli jednak nie jesteście pewni, nie eksperymentujcie. I oczywiście nie lekceważcie opisów i piktogramów. Nie ignorujcie także przedziałów wagowych. Jeśli zastosujecie u zwierzaka preparat, który jest przewidziany dla lżejszego osobnika, to ten zwyczajnie nie zadziała i jedyną szkodą będą zmarnowane fundusze. Jeżeli dacie taki dla większego, to możecie pupila zabić. Jeszcze bardziej szkoda. Poza

tym niektóre preparaty można zastosować u zwierząt, które osiągnęły odpowiedni wiek, innych nie powinniście podawać konkretnym rasom (patrzcie wspomniana wcześniej mutacja genu MDR1).

Jeszcze nie tak dawno temu lekarz weterynarii leczący zwierzęta towarzyszące musiał kłopotać się psem i kotem. Obecnie przybywa nam gatunków potencjalnych pacjentów. Na szczęście idzie to w parze z postępującą specjalizacją w naszym zawodzie. Istnieją w naszym kraju gabinety, które leczą na przykład tylko koty. Inni lekarze odpuścili sobie całkowicie pracę z klasyką czyli Ciapkami i Mruczkami, a pełną obsadę ich pacjentów stanowią egzotyczne zwierzęta. I bardzo dobrze. Nie sposób znać się na wszystkim. Leczenie zwierzęcia, którego nie poznaliśmy, nie dość, że jest niepoważne, to w dodatku najprawdopodobniej skończy się tragedią. Ja na przykład nie leczę gadów, ptaków i rybek. Nie znam się, nie ruszam. Odsyłam do tych, co się znają. Nie każdy to docenia, nie każdy to rozumie. Wielu wręcz głośno wyraża swoje niezadowolenie. Z jednej strony się nie dziwię. Przecież przyszli po pomoc, której nie otrzymali. Z drugiej jednak, jak by to wyglądało, gdybym udawał wszechwiedzącego. Nie wiem wszystkiego i czasami jedyną pomocą, jakiej mogę udzielić, jest skierowanie do specjalisty. W ten sposób daję szansę zwierzęciu na wyzdrowienie, bo pod moją opieką ta byłyby niewielka. Przede wszystkim nie szkodzić znaczy także, że tam, gdzie brak ci wiedzy, nie wolno próbować leczyć. Obustronne zrozumienie w takiej sytuacji przyniesie tylko i wyłącznie korzyści.

Część moich pacjentów to gryzonie. Może nie większość, ale istotny procent. Tu trzeba się wykazać niezwykłą sumiennością, gdyż one bardzo się różnią od psów i kotów. Dodatkowo w przypadku każdego gatunku wykaz leków ryzykownych w stosowaniu jest inny. Weź to, wecie, wszystko zapamiętaj. Nie da się! I mimo że wiem to i owo, i tak sprawdzam za każdym razem w literaturze dwa razy, zanim

zastosuję coś nowego u puchatych maluchów. Szok, prawda? Nie wstydzę się korzystać z literatury. Głowa nie śmietnik, a tu chodzi o czyjeś zdrowie. Bez zgłębiania wiedzy można by podać lek sterydowy takiej koszatniczce. A one mają skłonność do hiperglikemii, czyli zwiększonego stężenia cukru w surowicy krwi. Natomiast sterydy wszelkiej maści jeszcze windują nam cukier. W rezultacie może się okazać, że lecząc coś zupełnie innego, wywołacie u koszatniczki cukrzycę. W przypadku królików i gryzoni musimy również pogadać o antybiotykach. Wielu z nich nie można podać tym zwierzętom. Powodem jest enterotoksyczne działanie części leków. Przedrostek „entero" wziął się od słowa *entera*, w grece oznaczającego jelita. Enterotoksyczność oznacza nic innego jak uszkadzanie błony śluzowej jelit przez środki farmaceutyczne. Króliki i gryzonie są bardzo wrażliwe na to, co się dzieje z ich jelitami. Stosowanie u nich dość popularnej wśród psów i kotów klindamycyny z dużym prawdopodobieństwem skończy się tragicznie.

Na piątym roku studiów, a może na szóstym, miałem przedmiot *Choroby małych przeżuwaczy*. Zapisałem się, a jakże! Przecież zamierzałem być terenowcem. Zresztą prowadził go pan doktor, który był świetnym człowiekiem i dydaktykiem. Chodzenie na jego zajęcia było czystą przyjemnością. Pierwsze zdanie na rozpoczynających cały cykl zajęciach brzmiało: „Moi drodzy, zapamiętajcie sobie dwie rzeczy: koza to nie mała krowa, a owca to nie koza". Zdanie to pięknie pokazuje, że mimo tak wielu podobieństw każdy gatunek jest inny. Pychą jest przekonanie, że poznając jeden z nich, można uznawać się za eksperta w leczeniu innego. Mimo że nie sposób zaprzeczyć istnieniu cech wspólnych! Przecież one wszystkie są rogate, dają mleko i są przeżuwaczami. Nie zdając sobie sprawy z różnic, mógłbym na przykład popełnić taki oto błąd, jak w tej historii, którą ku przestrodze opowiedział mi

pewien technik weterynarii. Dawno temu, gdy perspektywa bycia lekarzem weterynarii była daleko przede mną…

Przychodnia weterynaryjna otrzymała zgłoszenie od zmartwionego rolnika. Jego koza rano się nie podniosła. Rolnik próbował jej pomóc wstać, ta jednak wyraźnie opierała się wykonaniu jakiegokolwiek ruchu. Z pomocą ruszył mój (wtedy jeszcze bardzo młody) znajomy technik weterynarii. Na miejscu stwierdził gorączkę oraz dużą bolesność i obrzęk wszystkich stawów kończyn (staw to oczywiście połączenie między kośćmi, tak dla przypomnienia). Pierwsze, co wpadło mu do głowy, to to, że ostatnio leczył kilka krów z podobnymi objawami. Wtedy świetnie sprawdził się sulfonamid[24]. Jak pomyślał, tak zrobił. Nazajutrz wrócił sprawdzić, co u pacjentki. Gorączka ustąpiła, stawy wyglądały zdecydowanie lepiej. Niestety koza całkowicie straciła apetyt, a spod ogona zamiast kału leciała jej wodnista breja. Przy doborze terapii technikowi umknęło to, że kozy wykazują nadwrażliwość na tę grupę leków. Na szczęście po zmianie sposobu leczenia wszystko wróciło do normy. Dodatkowo historia ta jest stale powtarzana jako przestroga dla kolejnych roczników młodych lekarzy i techników weterynarii. Zapamiętajmy: koza to nie mała krowa!

Kończąc, chciałbym pokazać wam jeszcze jedną drobną międzygatunkową różnicę. Zanim jednak przejdę do konkretów, muszę nakreślić tło historii.

Rodzice mojej żony mają gospodarstwo rolne. Hodują świnie i krowy. Czasem hobbistycznie zdarza mi się wykonać jakieś drobne badania czy zabiegi. Niezbyt często, bo bycie lekarzem terenowym mi przecież nie wyszło. Pewnego razu zdarzyło się jednak nieszczęście. Jeden z byczków rósł bardzo szybko i łańcuch, którym był poza sezonem pastwiskowym uwiązany do swojego stanowiska, zaczął go ranić. Niestety zwierzę nie pozwalało go sobie zdjąć. Młody i silny buchajek bardzo skutecznie bronił się przed jakąkolwiek

ingerencją. Teściowie zapytali mnie więc, czy mógłbym młodzika nieco uspokoić. Mogłem. Pytanie tylko, ile środka do premedykacji zastosować u zwierzęcia ważącego jakieś 300 kilogramów? Zajrzałem do ulotki i nieco się zdziwiłem. Przeczytałem raz jeszcze, przeliczyłem. Wyszło mi, że w przypadku tego konkretnego „cielaczka" dawka będzie mniejsza niż dla psa, który waży 10 kilogramów. A ja przygotowałem sobie dużą bydlęcą strzykawkę. Nie była potrzebna. Z lekkim niedowierzaniem podałem byczkowi lek. Nie wierzyłem, że zaśnie. Zasnął. Łańcuch usunięty.

Jesteśmy wszyscy z jednej gliny. Podobni pod względem biologicznym, jak i w sferze emocjonalnej. Jesteśmy z jednej gliny, jednak każdemu z nas przypadła inna forma i dodatki. Nie jesteśmy tacy sami. Pamiętajmy o tym – w trosce o dobre życie, w komforcie i zdrowiu.

[20] N-acetylo-p-benzochinonoimina – chemicy lubią długie nazwy z dużą liczbą dywizów.

[21] Jakimże morderczym połączeniem byłaby czekolada z rodzynkami!

[22] Antybiotyk to naturalna substancja o działaniu bakteriobójczym lub bakteriostatycznym. Gdy używam tego słowa w tej książce, mam na myśli również syntetyczne chemioterapeutyki o takim działaniu jak antybiotyki.

[23] Jak tak się teraz zastanawiam, to większość „ciekawych" przypadków dzieje się tuż przed zamknięciem. Przypadek?

[24] Sulfonamidy to organiczne substancje o działaniu bakteriostatycznym, tzn. hamującym namnażanie się bakterii. Nie są antybiotykami w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Rozdział VI
Nocki, niedziele i święta

Gdybym złowił złotą rybkę i mógł wypowiedzieć jedno życzenie, nie zastanawiałbym się długo. Pokój na świecie? Nieśmiertelność? Lek na raka? Nie! Ja jestem prosty człowiek i mam proste marzenia. Chciałbym, aby zwierzęta chorowały tylko od poniedziałku do piątku w godzinach pracy przychodni. Niestety nie jeżdżę na ryby, więc raczej nie będę miał okazji złowić magicznej rybki i wciąż będę musiał stawiać czoła tak zwanym dyżurom. Chociaż nie ukrywam, że wierzę w to, iż proste marzenia mają szansę na realizację.

Przychodnia, w której pracuję, NIE JEST PLACÓWKĄ CAŁODOBOWĄ. Całodobowy zakład leczniczy dla zwierząt to taki, w którym przez całą dobę ktoś siedzi i możecie przyjść do niego, kiedy wam się zachce. U nas nikt nie siedzi, ale… My Polacy zawsze mamy „ale". „Nie jestem rasistą, ale…" „Nie mam nic do gejów, ale…" A w przypadku naszej przychodni? Nie jesteśmy całodobowi, ale w razie czego ktoś ma dyżurną komórkę. Po zakończeniu pracy jedno z nas zostaje obdarowane dyżurem i włącza automatyczną sekretarkę, która informuje wszem wobec, że: „Po godzinach przyjęć, w nagłych przypadkach zagrażających życiu zwierzęcia, można dzwonić (tu odczytywany jest numer komórki)". I myślicie, że komórka dzwoni tylko w nagłych przypadkach? Przekonajmy się.

Są takie sytuacje, które zdarzają się tylko lub prawie zawsze po godzinach. Pierwszą z nich jest skręt żołądka. To nie jest podręcznik do weterynarii, dlatego nie będę wdawał się w szczegóły. W skrócie problem wygląda tak: u dużych psów krezka, czyli łącznotkankowa błona mocująca narządy w jamie brzusznej (bo nie wyobrażacie sobie chyba, że one tam leżą luzem?), jest długa i daje żołądkowi pewną swobodę w przemieszczaniu się w obrębie jamy brzusznej. Po obfitym posiłku, zwykle wieczornym, poprzedzającym spoczynek, znajdujące się wewnątrz jedzenie zaczyna fermentować. Gromadzące się gazy pompują żołądek jak balon. Jako że krezka pozostawia temu narządowi możliwość przemieszczenia się, ten zaczyna się powoli skręcać. W efekcie tych procesów otrzymujemy sapiącego jak lokomotywa psa z wielkim brzuchem, często intensywnie wymiotującego. Ponieważ częściej skręcają się zwierzęta wieczorami, nie dziwi, że zwykle trafiają do lecznic na dyżur nocny. Istnieje również inny ważny powód takiego stanu – „Myśleliśmy, że przejdzie". Bo to nie jest powiedziane, że pies czekał ze skręceniem żołądka do zamknięcia gabinetu weterynaryjnego. Nie dopatrujmy

się tu jakichś złośliwości. Niekiedy to sami właściciele litują się dopiero po wielu godzinach. Co rodzi kolejne problemy. Skręt żołądka jest stanem bezpośredniego zagrożenia życia i wymaga interwencji chirurgicznej. Im szybciej przeprowadzony zabieg, tym większa szansa na powrót do zdrowia. Teoria mówi, że powyżej siedmiu godzin od rozpoczęcia się procesu szanse pacjenta na przeżycie drastycznie spadają. W wyniku skrętu tego narządu może dojść również do skrętu śledziony (czasem, złośliwa, pęka albo ulega martwicy, tak przy okazji), do martwicy ściany żołądka, wstrząsu, DIC[25], śmierci. Większość zgonów w wyniku skrętu żołądka ma miejsce z powodu opóźnień w podjęciu zabiegu chirurgicznego. Jeśli wasz owczarek niemiecki zaczyna nagle wymiotować i wydyma się jak balon na odpuście, nie czekajcie, aż przejdzie. W przypadku tego schorzenia można odejść do krainy wiecznych łowów tak czy siak, po co jeszcze zmniejszać szanse pupila na przeżycie.

Następne w kolejce są porody, które trzeba zakończyć przez cesarskie cięcie. Nie będzie nadużyciem, jeśli napiszę, że 90% z nich wykonywałem do tej pory po godzinach pracy tudzież w niedziele i święta. Jeden taki zabieg szczególnie zapadł mi w pamięć.

To był jeden z najgorszych weekendów w mojej karierze. Sobota, godzina 22.00, sierpień. 60 minut wcześniej skończyłem przyjmować ostatniego, miałem nadzieję, pacjenta. Usiedliśmy z żoną na balkonie, żeby spróbować ukraść trochę czasu dla siebie. Było pięknie, ciepło i gwiaździście. Wyciągnąłem nogi na podnóżku, sięgnąłem po szklankę z colą i… zadzwoniła ta przebrzydła, znienawidzona dyżurna komórka. Kotka urodziła jednego kociaka dwie godziny temu, a teraz wisi jej TAM kolejny i nie potrafi go wyprzeć. Przełknąłem cisnące się na usta przekleństwo. Gdyby zadzwonili godzinkę… ba!, 40 minut wcześniej, po prostu nie wracałbym do domu. Spakowałem się do auta i pojechałem do przychodni. Kocica wydawała się strasznie umęczona, ale próbowała

karmić swoje młode. Z dróg rodnych zwisała mała łapka, głębiej znajdowała się głowa. Sina, niereagująca, martwa. Żeby nie było, że opieram osąd na przypuszczeniach. Wykonałem badanie USG. Serducho malucha nie biło. Próbowałem delikatnie wyciągnąć. Nic. Wysmarowałem cały płód czymś, co możemy nazwać „poślizgiem". Wcisnąłem go również cewnikiem w głąb kanału rodnego. Gdy wszystko było już odpowiednio śliskie, spróbowałem ponownie. Nic. Chcąc nie chcąc, musiałem „otworzyć" kotkę. Oczywiście kotka nie ma zamka błyskawicznego. „Otwieranie" to takie slangowe określenie rozcięcia powłok brzusznych. W tym przypadku mam na myśli cesarskie cięcie.

Jeszcze zanim rozciąłem macicę, odkryłem, dlaczego kociak nie miał szans się urodzić. Był znacznie większy od pierwszego. W jamie miednicy zmieściły się łapka i głowa. Tyle. Korpus nie był w stanie się przecisnąć. Nie pozostało mi nic innego, jak wyciągnąć malucha od strony jamy brzusznej. Proste, prawda? Nie było takie. Płód zaklinował się na amen. Nie dało się go ruszyć do tyłu ani wypchnąć do przodu. Musiałem zrobić coś, do czego nigdy wcześniej nie byłem zmuszony. Fetotomię. Pod tą nazwą ukrywa się cięcie płodu. Nie jest to zabieg, który wykonuje się często u domowych czworonogów, raczej u zwierząt gospodarskich, zwłaszcza krów. Jeżeli nie istnieje inny sposób na wydobycie z macicy martwego płodu (To ważne! Fetotomię przeprowadza się TYLKO na martwym płodzie!), na przykład gdy jest zbyt duży, dzieli się go na mniejsze fragmenty. U dużych zwierząt używa się do tego celu specjalnej piły zwanej fetotomem. Wiem, że brzmi to strasznie. Mimo to niekiedy nie ma innego wyjścia, a wykonanie tej czynności pozwala na uratowanie życia matki. Osobiście z fetotomią spotkałem się wcześniej tylko na studiach, i to w teorii. Tamtej nocy nie miałem jednak innego wyboru, jak zrobić to, co trzeba. W tym przypadku musiałem odciąć głowę, żeby wydobyć ciało na zewnątrz. Po tym niezbyt estetycznym

posunięciu dała się ona wypchnąć przez kanał rodny. Dodatkowo odkryłem, że macica była rozerwana w kilku miejscach – pewnie efekt próby urodzenia tego olbrzyma. Uszkodzenia były na tyle rozległe, że jedynym logicznym krokiem stało się usunięcie całego narządu, oczywiście razem z jajnikami. I tak poród zamienił się w cesarkę, a ta w fetotomię i interwencyjną kastrację. Dotarłem do domu o 3.30. A ten zabieg był tylko fragmentem nader intensywnego weekendu…

Żeby przybliżyć wam, jak fajnie być dyżurującym lekarzem, opowiem o weekendzie, który lubię nazywać najgorszym w moim życiu. Był sierpień, jak już wspomniałem, i nic nie wskazywało na to, że spędzę w pracy prawie całe dwa dni, choć za pewien omen można uznać to, że o 7.50 w sobotę przed drzwiami przychodni stało już pięciu pacjentów. Była to jedna z tych sobót, gdy nie ma czasu wypić kawy. Tym razem nawet nie kłopotałem się jej parzeniem. I tak bym jej nie wypił. Zapewne zanim wyszedłbym z pracy o 15.00, napój wylądowałby nietknięty w kanalizacji. Muszę tu podkreślić, że w soboty pracujemy do 13.00. Skąd więc ta obsuwa? Po pierwsze przeżyłem powódź pacjentów. Co gorsza, każdy z nich wymagał głębokiego namysłu. Jak na złość nikt nie przyszedł się szczepić. Sami chorzy! Dodatkową niedogodność stanowił fakt, że drugi lekarz, który miał ze mną pracować tego dnia, od rana męczył się z pacjentami w terenie. W rezultacie przez większość czasu cała przychodnia była na mojej głowie i ogarnięcie wszystkiego wydłużyło mój czas pracy o dwie godziny. W końcu jednak udało mi się zamknąć drzwi za ostatnim opiekunem, włączyć automatyczną sekretarkę i wyruszyć w drogę do domu. Do 17.00 miałem spokój. Ciszę leniwego sierpniowego popołudnia zmącił jazgot telefonu. Pies zakrztusił się makaronem i się dusi. Normalnie dojazd do pracy zajmuje mi 30 minut, ale wiadomo, że jak bardzo na czymś człowiekowi zależy, to złośliwy los rzuca kłody pod nogi. Po drodze

trafiłem na korek spowodowany wypadkiem samochodowym. Musiałem wybrać okrężną drogę i w rezultacie jechałem przeszło godzinę. Pies był w niezłym stanie, ale faktycznie było mu duszno. Z nosa wyciągnąłem mu kawałek makaronu spaghetti, założyłem maskę na twarz, żeby podać tlen, podałem też dożylnie leki. W międzyczasie znów rozwrzeszczała się komórka. Pani zmierzyła psu temperaturę (o dziwo, rektalnie!) i termometr pokazał 40 stopni Celsjusza. Podziękowałem opatrzności, że akurat jestem w przychodni, i poprosiłem o niezwłoczny przyjazd do gabinetu. Piękne, książkowe zapalenie gruczołu mlekowego wskutek ciąży urojonej[26]. Biedna suczka. Gdyby była wykastrowana, uniknęłaby ropnego wycieku z sutków.

Gdy mama z urojoną ciążą pojechała do domu, pies z dusznością wyraźnie się ożywił. Rytm oddechowy wrócił prawie do normy. W czułych objęciach właścicielki wyszedł z przychodni. Ja jednak jeszcze nie wyszedłem. Przyjąłem natomiast kota po wypadku z pękniętym spojeniem żuchwy. Gdy się upewniłem, że jego życiu nic nie zagraża, umówiłem się nazajutrz po zamknięciu przychodni na składanie tejże żuchwy. W końcu wróciłem do domu. Jak już wiecie, nie na długo.

Ta sobota wystarczyłaby mi za cały weekend. Niestety po całych czterech godzinach snu znów byłem zmuszony odebrać telefon. Mojemu popołudniowemu pacjentowi wróciła duszność. Spędziliśmy poranek pod tlenem. Brak poprawy. Leki. Brak poprawy. RTG nie wykazało widocznych zmian w obrębie struktur klatki piersiowej. A duszność się pogłębiała. Byłem bezsilny. Zaproponowałem, żeby właścicielka zabrała swojego podopiecznego do kliniki, w której możliwe będzie leczenie szpitalne. Tak też zrobiła. Nie myślcie jednak, że to trwało chwilę. W międzyczasie wybiła 10.00, o której w niedzielę otwieramy. Pies starał się nie udusić pod tlenem, a ja przyjmowałem pacjentów. Pacjent z dusznością wyruszył do kliniki

koło południa. Trochę czasu zajęło również ustalenie szczegółów z samym szpitalem. O 12.00 przyjechał kot z urazem żuchwy. Zabieg poszedł wyjątkowo sprawnie i już o 14.00 wyglądałem przez okno, czekając na właścicieli, którzy mieli wkrótce odebrać pacjenta, żebym mógł w końcu coś zjeść. Wreszcie wskoczyłem do auta. Przejechałem może jakieś 5 kilometrów. Musiałem się zatrzymać, żeby odebrać kolejny telefon. Uwierzcie, tę błahą z pozoru czynność poprzedził potok słów nienadających się do publikacji. A zgadnijcie, kto dzwonił? Krowa, która nie chce jeść. Pięknie! Wybrałem numer do doktora, któremu odsyłam zwierzęta gospodarskie. Jak na złość poza zasięgiem. Oddzwoniłem do krowy i próbowałem się wyłgać, że ja z tym bydłem to tak niekoniecznie po drodze. Zresztą to strasznie daleko i dojazd wyjdzie drogo… Niestety gospodarze obdzwonili wszystkich dookoła i tylko ja odebrałem telefon. Nie starczyło mi stanowczości, żeby powiedzieć: „Nie leczę krów!". Wrzuciłem wsteczny bieg i ruszyłem w drogę powrotną. Dojechałem do wioski, którą najlepiej opisze zwrot „dwie drogi na krzyż". Ale nie myślcie, że to kres mojej wędrówki! Co to, to nie. Chatka, przy której w obórce mieszkała krowa, znajdowała się w lesie, na końcu drogi składającej się w większości z dziur. Dotarłszy na miejsce, zastałem coś na kształt leśniczówki. Wokół chodziło ptactwo wszelkiej maści, jakieś kozy obgryzały krzak malin, a sfora małych burków, szczekając, próbowała mnie przegonić. Przywitali mnie: jowialna, stale gadająca gospodyni i mrukliwy gospodarz. Pewnie zwyczajnie nie mógł dopchać się do słowa. Ale przejdźmy do krowy. Właścicielka przez telefon powiedziała: „Lekarz od was do niej jeździ, a ona dalej chora!". „Do niej jeździ" znaczy się, że był raz, MIESIĄC TEMU! Potem wizytowali ją doktorzy z czterech innych lecznic i nigdy nie było ciągu dalszego, bo właściciele:

1. Nie raczyli stosować się do zaleceń.
2. Na każdą kolejną wizytę wzywali kogoś innego.

To biedne, umęczone zwierzę było krową po pierwszym wycieleniu, w wieku niespełna trzech lat. Widok, który zastałem, bardzo temu przeczył. Dałbym jej kilkanaście wiosen. Chuda jak szkielet, pokryta zmianami sugerującymi grzyba i leżąca na boku z wyciągniętą głową i wybałuszonymi oczami. Z odbytu wyciekało coś, co tylko ze względu na lokalizację można nazwać kałem. Zwierzę jedną nogą po drugiej stronie. Patrzę to na krowę, to na ludzi, którzy mnie wezwali. Pytam, czego oni właściwie ode mnie chcą? „Bo ona nie chce jeść!" – pokrzykuje pani. No ja się nie dziwię, że nie je, skoro próbuje umrzeć. Jak długo tak leży? „A, będzie trzeci dzień". Aha, właśnie wzrosła wartość rachunku za „nagły przypadek". Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, pani zaczęła trajkotać o tym, co krowie jest i co było robione, i że to wszystko nie działa, i chyba coś można z krową zrobić, bo przecież właściciele dużych gospodarstw leczą krowy! A ja patrzę na to cierpiące zwierzę i słucham jednym uchem. „To zwierzę należy poddać eutanazji" – mówię w końcu. Zapadła głucha cisza. Po chwili mrukliwy pan wypowiedział sakramentalne „kurwa" i wyszedł z obórki, trzaskając drzwiami. Gdy minął szok, zalał mnie potok słów: „Ale jak to? Dlaczego? Przecież leczą w dużych gospodarstwach...". Musiałem wyjaśnić, że w chowie przemysłowym nie leczyliby takiej krowy, tylko już dawno by ją oddali do rzeźni. Udało mi się zyskać chwilę ciszy, ciągnąłem więc dalej, że to zwierzę strasznie cierpi i nie da się już pomóc. Trzeba pozwolić mu odejść… Moje słowa trafiły w mur. Nie i koniec. Machnąłem ręką, szkoda energii. Dałem biednej krowie kroplówkę, tyle mogłem zrobić. Poprosiłem, żeby przemyśleli eutanazję jako jedyne zagranie fair wobec zwierzęcia i dali znać jutro. Po dwóch tygodniach pani zadzwoniła, żeby jednak przyjechać ją uśpić. W tym czasie zaliczyła kolejnych lekarzy. Ileż cierpienia zwierzęcia może znieść właściciel!

Do domu wróciłem około godziny 21.00. Po wizycie u opisanej wyżej przedstawicielki rogacizny zaliczyłem szycie rozciętej psiej łapy, wizytę kota, który wymiotował (od rana!!!) i ratowanie byka, któremu łańcuch ciasno oplótł szyję, powodując wytworzenie się wielkiej ropiejącej rany. Najgorszy weekend w życiu zakończyłem informacją, że pies, który się dusił, odszedł. Problemem było neurologiczne porażenie krtani i tchawicy.

Miałem wiele takich cudownych weekendów. Na szczęście nie każdy jest podobny. Ten zapadł mi szczególnie w pamięć, ponieważ obyło się bez tak zwanych „nagłych przypadków". Musicie wiedzieć, że większość telefonów, które odbieram po godzinach, nie dotyczy sytuacji bezpośrednio zagrażającej życiu zwierzęcia. Zwykle jest dokładnie na odwrót.

W swojej książce *Jeśli tylko potrafiłyby mówić* James Herriot przytacza słowa swojego pierwszego pracodawcy, że właściciel nie ma wiedzy na temat tego, czy dany przypadek jest nagły, czy nie. Dlatego obowiązkiem weterynarza jest jechać i sprawdzić[27]. Ja się zupełnie nie zgadzam z tym stwierdzeniem. Jest różnica między, załóżmy, wypadkiem samochodowym a zapaleniem ucha. Poza tym, tak szczerze, zadzwonilibyście do pediatry o 3.00 w nocy, bo dziecko raz zwymiotowało? Pytam jako rodzic, bo jeśli tak, to jestem okropnym i wyrodnym ojcem. Wszyscy uważają się za ludzi światłych, oczytanych i wszechwiedzących, a tu naprawdę nie trzeba wysokiego IQ, żeby wiedzieć, że nie budzi się ludzi, aby spytać, o której następnego dnia jest otwarta przychodnia. Tak się nie powinno robić. A się robi!

Zasadniczo dzielę telefony po godzinach na cztery grupy:

1. Zawracanie dupy.
2. „Myśleliśmy, że przejdzie".
3. „Myśleliśmy, że jest otwarte dłużej".
4. Faktyczne przypadki nagłe.

Nie wiem, co myślą sobie przedstawiciele grupy pierwszej, dzwoniąc do weterynarzy w nocy i w święta. Właściwie mam wątpliwości, czy w ogóle myślą, nie posiadam jednak narzędzi diagnostycznych, aby zbadać istotę tego problemu. Żeby nie było, że jestem bezdusznym, czepiającym się typem, który minął się z powołaniem, przedstawię kilka przykładów.

Zacznijmy od tego, że pracujemy w sześcioosobowym zespole, każdy z nas dyżuruje i każdemu z nas zmienia się grafik. Połowa telefonów do przychodni to te z pytaniem, kto o której przyjmuje. Jest to irytujące, ale w godzinach urzędowania nie można się czepiać. Ale uwierzcie, że ludzie potrafią dzwonić pod numer dyżurny o 5.00 rano, żeby się dowiedzieć, czy moja koleżanka z pracy jest rano, czy po południu. Dla niektórych bardzo ważne jest, aby w dobie internetu, w którym można znaleźć każdą informację, dzwonić w nocy z pytaniem: „Macie jutro otwarte?". Mamy codziennie otwarte! Jeśli nie będzie trzęsienia ziemi albo globalnego kataklizmu, to ta sytuacja się nie zmieni. To miejsce istnieje pół wieku i już za czasów PRL-u jako lecznica powiatowa było otwarte cały czas. Co więcej, jeśli chcecie zdobyć numer dyżurnej komórki, musicie odsłuchać nagranie automatycznej sekretarki. Zanim padnie numer, podawane są godziny otwarcia. O co więc chodzi, pytam się? A już mistrzyni nad mistrzynie zadzwoniła pewnej niedzieli…

18.00. Dzwoni telefon dyżurny. Nie najgorzej, nawet jeśli będę musiał jechać, to może zdążę się wyspać. „Czy jest pani Basia?" – słyszę kobiecy głos. Odpowiadam, że nie ma pani Basi, bo pani Basia ma wolne. Jej też się to zdarza. „Bo ja chciałam z panią Basią porozmawiać o kocie!" Kobitka nie odpuszcza. Tłumaczę więc, że nawet jakbym chciał, to jej nie zawołam, gdyż jest w innym mieście. „Czyli nie poprosi jej pan?" Po wypowiedzeniu przeze mnie stanowczego „nie" rozłączyła się bez słowa. Tak że tego…

Zawracacze dupy dzwonią, ponieważ kot zwymiotował raz o 6.00 i teraz poszedł spać. Dzwonią, bo pies ma chore ucho od trzech tygodni i akurat w niedzielę po obiedzie jego właściciele mają czas. Żądają pełnej diagnostyki, TERAZ, w Boże Narodzenie, gdyż ich pies coś się im nie podoba, a jak nie, to: „Jestem przyjacielem twojego szefa!". W końcu dzwonią, żeby sobie pogadać, przykładowo: pan, który chciał wiedzieć, co jest jego psu, bo siedzi, patrzy w okno i robi „ech!". Dzwonią, żebym zdiagnozował i wyleczył przez telefon. Przecież nie będą jechali do lecznicy w nocy! Ale laur zwycięstwa należy się pewnej właścicielce kota.

Wyobraźcie sobie, że jesteście mną. Wtedy – młodym lekarzem weterynarii, który ma niską tolerancję na bezmyślność. Dyżur. Gdzieś w środku nocy z soboty na niedzielę dzwoni komórka. Odbieracie ją, bo macie poczucie obowiązku.

– Weterynarz?! Potrzebuję natychmiastowej pomocy! – Słyszycie w słuchawce kobiecy głos.

– Co się stało? – Tłumiąc ziewanie, próbujecie się dowiedzieć, co tak niepokoi rozmówczynię.

– Bo ja kleszcza znalazłam u mojego kota!

– I…? – pytacie z niedowierzaniem, zastanawiając się, czy to żart.

– I trzeba go wyjąć. Możemy przyjechać?

– Myślę, że kleszcz nie zagraża życiu kota i może poczekać do…

– Wykluczone, musi pan to zrobić teraz. Ile to będzie kosztowało?

– Pięćset złotych – odpowiadam spokojnie.

– Ile?!

– Pięćset złotych. Jest trzecia w nocy. Za pięćset złotych przyjadę o trzeciej w nocy wyciągnąć kleszcza pani kotu.

– Yyy… To ja przyjadę rano. Dobranoc.

Nie przyjechała. Ciekawe dlaczego? I owszem, może zachowałem się nieuprzejmie. Pewnie można było to rozegrać inaczej. Ale do diaska! Z kleszczem dzwoni? O 3.00 w nocy? Szanujmy się.

Istnieją też tacy, którzy się zastanawiają, czy już mają przyjechać, czy jeszcze nie. Potrafią dzwonić co pół godziny i relacjonować, co aktualnie się dzieje z czworonogiem. „I jak pan myśli, możemy czekać?" A ja przez telefon nie mogę ocenić stanu pacjenta. Finalnie o północy, po wykonaniu ośmiu telefonów, decydują się na wizytę. Kiedyś to cierpliwie znosiłem. Teraz się starzeję i cenię sobie wypoczynek. Z tego powodu, gdy ktoś mówi, że zadzwoni za pół godziny, oznajmiam, iż ma się zdecydować TERAZ, bo ja też chcę iść spać. Albo się spotykamy, albo proszę nie dzwonić. Działa.

Osoby kwalifikujące się do drugiej grupy dzwonią najczęściej. Obojętnie, czy to wymioty, czy biegunka, czy duszący kaszel. Zwierzę zachorowało rano. To taki standard. I właściciel obserwował bardzo pilnie przez cały dzień. Wieczorem wydaje osąd, że mimo oczekiwań i obserwacji nie przeszło. Dlatego dzwoni. No bo myślał, że przejdzie, a nie przeszło. Jest też podgatunek takiego właściciela, który nie dzwoni po godzinach, a tak dwie minuty przed zamknięciem. Żeby nie było, że nie zdążył. Już nie każę tym ludziom czekać dalej, bo w 8 przypadkach na 10 zadzwonią drugi raz w nocy. Z dwojga złego wolę poczekać 20 minut w przychodni albo umówić się na wizytę o normalnej porze. Oczywiście nie odpuszczę sobie zrobienia im solidnej porcji wyrzutów, że czekali, i następnym razem mają przyjść od razu.

„Myśleliśmy, że jest dłużej otwarte" potrafią przyjść 10 minut po zamknięciu i szarpać za klamkę, jednocześnie wybierając numer dyżurnej komórki. Zwykle łączą w sobie też cechy „Myśleliśmy, że przejdzie". Charakterystyczne dla tej grupy klientów jest to, że obojętnie, jak długo byłoby otwarte, im zawsze będzie za krótko. W 2014: „Tylko do 18.00? Czemu tak krótko?". Teraz rzucają: „Tylko do 20.00? Czemu tak krótko?". Wyobrażam sobie, że kiedyś powiedzą: „Tylko do 24.00? Czemu tak krótko?".

Z dyżurami i telefonami po godzinach jest jeszcze jeden poważny kłopot. Część dzwoniących oczekuje, że ich problemy rozwiążemy na wizycie domowej. Wiele nocnych interwencji nie dochodzi do skutku, ponieważ w 9 przypadkach na 10 odmawiam jazdy do domu klienta. Przyczyna jest prosta. Nie jestem w stanie spakować do bagażnika całego gabinetu. W przychodni mam potrzebny sprzęt, materiały i wszelkie preparaty lecznicze. Jazda do domu jest zwykle bez sensu, gdyż poza podstawowym badaniem ogólnym niewiele więcej mogę zdziałać. Dodatkowo muszę zaplanować przed wyjazdem, jakie leki mogą mi się przydać. Czy trafię, czy nie, jest loterią. Bywa też tak, że zajeżdżam na miejsce, oglądam zwierzę i mówię: „Musicie przyjechać do przychodni". A już o jakichkolwiek interwencjach chirurgicznych typu szycie rany w ogóle nie ma mowy. Dlatego wielu prośbom o wizytę domową odmawiam. Jedni rozumieją moje argumenty, inni nie.

Kiedyś późnym wieczorem odebrałem telefon. Jeszcze w przychodni. Właścicielka psa żądała mojego natychmiastowego przyjazdu do jej domu. Psisko rozcięło sobie łapę i cytując właścicielkę: „Krwawi jak zarzynana świnia". Porównanie niezbyt delikatne, ale bardzo obrazowe, muszę przyznać. Próbowałem wytłumaczyć, że nie wezmę do auta stołu i narzędzi, że psa trzeba znieczulić, a w domu to trochę ryzykowne. Mój wywód został skwitowany tym, iż pani nie ma zamiaru brudzić sobie samochodu. Po moim stwierdzeniu, że jednak będzie musiała, bo ja nie będę uprawiał chirurgii polowej, wyzwała mnie od konowałów i rzuciła słuchawką.

Zdarza się także, że muszę jechać. Choć „muszę" to chyba niewłaściwe słowo. Czasem po prostu sumienie nie dałoby mi spokoju, gdybym odmówił. Zwykle żałuję, bo jak to mówią starzy górale: „Kto ma miękkie serce, musi mieć twardą dupę". Mimo wszystko niekiedy po prostu jadę.

Było raz tak, że przysypiałem na kanapie, jednym okiem próbując oglądać serial. Nagle stało się coś, co za każdym razem sprawia, że przechodzę w tryb pełnej aktywności. Zadzwonił telefon dyżurny. Pies siedzi w kącie i szczeka na niewidzialnego nieprzyjaciela. W trakcie gdy właściciel relacjonował mi zajście, pies zaczął biegać dookoła i próbował gryźć domowników. Potem położył się i wpadł w atak drgawkowy. Jakaś nietypowa padaczka?[28] W końcu pan pyta, czy mogę przyjechać do domu. W pierwszym odruchu gorąco zaprzeczyłem. Przerywanie ataków neurologicznych to zwykle nie tylko kwestia podania jednego zastrzyku, ale dłuższa zabawa. Niech przyjadą do przychodni. Nie mają samochodu, pan na rencie, przemieszcza się skuterem. Sugeruję, żeby poprosili sąsiadów, zamówili taksówkę. Sąsiedzi się nie zgodzą, taryfa nie weźmie psa, który się miota. Patrzę na zegarek. 23.00. Nie mogę im powiedzieć, żeby czekali do rana, bo tu nie ma na co czekać. Mówię więc, że przyjadę, niech dają adres. I oczywiście to nie mogły być Tarnowskie Góry, w których pracuję, tylko jakaś wioska na drugim końcu powiatu. Ale słowo się rzekło. Pojechałem.

Nie spodziewałem się, że będzie aż tak źle. Piesek w typie jamnika był totalnie nieświadomy tego, co się dzieje. Kręcił się w kółko, gryzł nogi od stołu, wpadał w ataki padaczkowe co 10 minut. Nawet jeśli załatwiliby transport, zwierzę się do niego nie nadawało, gdyż stanowiło zagrożenie dla ludzi. Pierwsza moja myśl, gdy go zobaczyłem, to wścieklizna. Przy takim podejrzeniu nie powinienem psa dotykać. Było jednak już po północy, a w domu mieszkała jeszcze dwójka dzieci. Postanowiłem więc psa naszprycować niczym rasowego ćpuna, coby przetrwał jakoś do rana. Udało nam się włożyć mu kaganiec, jednocześnie nie dając się zagryźć. Potem przyszedł czas na zakładanie wenflonu na kuchennym stole, bo tylko tam było jako takie światło. Pies dostał leki i zasnął. Do rana miał być spokój…

I był. Za to zaraz po przebudzeniu pies podszedł do swojego pana i pogryzł mu stopę. Potem wbiegł na schody, z których spadł, i zginął. Zostaliśmy z pogryzionym właścicielem. Przez psa, który miał objawy sugerujące wściekliznę. Zgłosiłem zajście powiatowemu lekarzowi weterynarii, a poszkodowanemu opiekunowi kazałem przywieźć psie zwłoki. Musieliśmy wysłać je do badania, żeby rzekomą wściekliznę potwierdzić lub wykluczyć. Na szczęście pies nie był wściekły![29] Faktyczna przyczyna tych ataków neurologicznych pozostanie dla nas tajemnicą. Zwierzę umarło przed badaniami, które pozwoliłyby na postawienie diagnozy. Może był to guz mózgu, a może padaczka. Może. Nie dowiemy się tego nigdy.

Jak widzicie, zdarzają się nam przypadki nagłe i takie, których za takowe uznać nie można, nawet gdyby bardzo rozciągnąć definicję nagłego przypadku. Bywa tak, że po pierwszym zdaniu wiem, że trzeba jechać. Nie dyskutuję w tych sytuacjach i szybciutko mknę do pracy. Choć czasami przypadek jest tylko pozornie nagły…

Zima. O dziwo, spadł śnieg i drogę przykrywa śliska breja. Ciemno strasznie, czyli już po 16.00. Sobota, jadę na wezwanie. Kot ma dziwne ataki, które właścicielka nazwała „chyba padaczką". Nie mogłem zignorować takiej deklaracji. Przyjechałem do przychodni przed opiekunami kota. Przygotowałem rzeczy, które mogły mi się przydać. Wpada młoda para z transporterem. Rzucają go na stół, otwierają drzwiczki. Z wnętrza wychodzi przesympatyczna kotka, która z marszu przystąpiła do ocierania się o moje ręce. Patrzę na kota. Spoglądam na właścicieli, którzy mieli bardzo zakłopotaną minę. „Przeszło jej, jak widzę" – rzucam. Zaczęli mnie zapewniać, że jeszcze 10 minut temu robiła dziwne rzeczy. Patrzę na kotkę, która kręci się po stole, pomiaukując i machając ogonem. Już wiem, co było „atakiem". Zaczynam drapać futrzaka po zadku i dalej rozmawiam z jego ludźmi. Mają nagrany ten atak! Pokazują. Kotka na filmie wypina tyłek, drze się wniebogłosy i tańczy taniec, który

wykonują wszystkie kotki od zarania dziejów. Bo to nie była padaczka, a pierwsza w życiu mojej pacjentki, i jak widać, jej opiekunów, RUJA.

[25] DIC (z ang. *disseminated intravascular coagulation*), rozsiane krzepnięcie wewnątrznaczyniowe – w małych naczyniach krwionośnych dochodzi do powstania mikroskrzepów. Te natomiast mogą prowadzić m.in. do uszkodzeń wielonarządowych.

[26] Ciąża urojona, ciąża rzekoma – może wystąpić u suk dwa do trzech miesięcy po zakończonej rui. Zwierzę zachowuje się tak, jakby miało za chwilę urodzić. Powiększają się gruczoły mlekowe, pojawia się mlekotok, suczka przygotowuje gniazdo. Zwykle taka „ciąża" pojawia się po każdej cieczce. Jedynie kastracja rozwiązuje problem permanentnie.

[27] Co ciekawe, w zdaniu wcześniej ten sam jegomość twierdzi, że jak czekali dwa dni, to do rana też poczekają, a jeśli zwierzę padnie, będzie to dobra nauczka na przyszłość. Jak widać, pierwszy szef
Herriota bywał zmienny w osądach.

[28] Możemy wyróżnić wszystkim znane duże ataki padaczkowe, czyli te z intensywnymi drgawkami i miotaniem się po podłodze. Występują również małe ataki padaczkowe – chory nie ma dreszczy, ale np. zasypia, niekontrolowanie oddaje mocz, kiwa głową, „łapie muchy" zębami.

[29] Wścieklizna jest chorobą w 100% śmiertelną. Nie można bagatelizować pogryzień przez zwierzęta i zawsze fakt ten należy zgłosić do lekarza. Tym bardziej, że objawy choroby rozwijają się po kilku miesiącach od zdarzenia. A gdy już wścieklizna manifestuje się klinicznie, nie ma ratunku.

Rozdział VII
No to w teren

Na studiach miałem jasno sprecyzowaną wizję swojej ścieżki zawodowej. Chciałem być wiejskim weterynarzem. Takim od krów, świń i reszty biegającej po obejściu bandy. Ale nie koni! Nigdy mnie nie pociągały. Życie jednak rzuciło mnie na inne tory. Zupełnie inne tory. Co nie zmienia faktu, że okazjonalnie jadę w teren. Planowałem napisać, że z przyjemnością. Że z utęsknieniem wyglądam chwili, gdy będę mógł wdziać śnieżnobiałe gumowce i zanurzyć się w ciepłe i aromatyczne wnętrze obory. Nie napiszę jednak tego, bo to nieprawda. W rzeczywistości jadę w teren tylko i włącznie wtedy, gdy nie mam na kogo zrzucić tej roboty. Od lat siedzę w ambulatorium. Nie byłem, nie jestem i raczej nigdy już nie będę terenowcem. Mimo to czasem w teren ruszam i przygód kilka przeżyłem…

Zanim zagłębimy się w świat pachnący sianem i parującymi krowimi plackami, chciałbym uświadomić was w kwestii ekonomii. Pieniądze w weterynarii są ważne, gdyż za leczenie zawsze płaci posiadacz zwierzęcia, a zasobność portfela niekiedy ogranicza możliwości postępowania. Nie ma NFZ czy innego płatnika zastępczego. W przypadku zwierząt hodowlanych forsa gra szczególną rolę. Rolnicy utrzymujący się z hodowli czy chowu zwierząt[30] muszą kalkulować, co im się opłaca, a co nie. Także w przypadku leczenia. Gospodarstwo rolne jest firmą jak każda

i niestety zwykle ekonomia bierze górę nad sentymentami. Jeżeli zachoruje pojedyncza sztuka czy nawet całe stado, rolnik musi policzyć, co przyniesie większe straty. Leczenie czy utrata zwierząt. Bo może się okazać, że poniesione koszty przekroczą wartość pacjentów. Wtedy zwykle kończą oni w rzeźni, póki jeszcze jest taka możliwość. Smutne to. Niestety tak właśnie jest. Co więcej, lekarz weterynarii obsługujący dany obiekt hodowlany nie powinien prowadzić terapii, która jest nierentowna. Narażanie hodowcy na straty może się skończyć w sądzie. Należy się z tym liczyć. Może się to wydać brutalne, ale takie są fakty. Czy nam się to podoba, czy nie, leczenie przez nas wprowadzone musi być rentowne dla hodowcy.

W jaki sposób lekarz może doprowadzić do tego, że leczenie zwierzęcia przestaje się kalkulować? Prosty przykład. Istnieje coś takiego jak okres karencji. Jest informacją o tym, jak długo od podania leku nie można pozyskiwać od leczonego zwierzęcia produktów przeznaczonych do spożycia przez ludzi. Każdy preparat ma własną karencję. Jedne mają ją zerową, dla innych wyniesie kilka dni, a nawet kilka tygodni. Żeby było „łatwiej", bywa i tak, że mimo tej samej substancji czynnej dwa sprzedawane przez różnych producentów preparaty mają bardzo odmienną karencję. Weźmy taką amoksycylinę, która jest jednym z półsyntetycznych antybiotyków. W leku A karencja na tkanki jadalne bydła wynosi 48 godzin, a w leku B 21 dni. W obu jest to samo, a jednak okresy karencji drastycznie się różnią. Nie jestem w stanie wyjaśnić, dlaczego tak jest. To producent, na podstawie przeprowadzonych przez siebie badań, ustala długość karencji dla swojego preparatu. Lekarz opiekujący się zwierzętami gospodarskimi musi o tym pamiętać. Jeśli zwierzę jest bardzo chore i lekarz poda mu lek o długim okresie karencji, a pacjent nie będzie wracał do zdrowia, rolnik będzie miał dwa rozwiązania:

1. Poczekać, aż okres ten minie, i oddać zwierzę do uboju.

2. Poddać zwierzę eutanazji.

W obu przypadkach będzie stratny. I będzie miał pretensje (poniekąd słuszne) do weterynarza prowadzącego terapię. Dlatego też w przypadku zwierząt hodowanych, gdy celem jest pozyskanie z nich określonych produktów, jeśli leczenie i jego konsekwencje (na przykład konieczność utrzymywania zwierzęcia w trakcie trwania okresu karencji) przekraczają ich wartość, zwykle odstępuje się od czynności. Takie są fakty. Mam ten fart, że osobiście nigdy nie musiałem zmierzyć się z wydaniem takiego wyroku.

Na szczęście leczy się zwierzęta gospodarskie. Gdyby każde zwierzę, które ma problem, trafiało do ubojni, to ten rozdział nigdy by nie powstał. Lecznictwo zwierząt gospodarskich to potężna gałąź weterynarii. Poza leczeniem obejmująca diagnostykę, położnictwo i chirurgię. Nie można także zapomnieć o zwierzętach gospodarskich przebywających na tak zwanych „dożywociach". Znajdują się one pod opieką ludzi, którzy zapewniają im wikt i opierunek aż do późnej starości. Nie traktują ich jak zwierzęta gospodarskie. Co nie zmienia faktu, że krowa pełniąca funkcję zwierzęcia towarzyszącego choruje tak samo jak ta w olbrzymiej oborze. Mimo nieoficjalnego statusu „pupila" one również wymagają wizyt. Trudno włożyć krowę do transportera. A nawet jeślibyście znaleźli odpowiednio duży, to w jaki sposób upchniecie go na tylnej kanapie samochodu?

Od każdej reguły istnieją wyjątki, prawda? Czasem całkiem spory pacjent przyjeżdża do gabinetu. Pewnego razu, słysząc otwierane drzwi, wszedłem do ambulatorium. Staję jak wryty. Przecieram szkła okularów. W gabinecie stoi świnia. Z szelkami i na smyczy. I nie, nie wietnamska. Klasyczna, polska biała zwisłoucha, znaczy się różowa i wielgachna! Później się okazało, że mieszka z właścicielką w domu, śpi na kanapie (zajmując, jak się domyślacie, znaczą jej część), chodzi na spacery i robi wszystko to, co każdy inny zwierzak. Można? Jak się chce, to można. Koło mojego liceum pewien pan

wyprowadzał kurę na smyczy. Każde zwierzę może być naszym domowym ulubieńcem.

Teren dopadł mnie znienacka. Zaraz po studiach odbyłem staż, w którego trakcie kilka razy z moimi starszymi kolegami odwiedzałem rolników. Mimo to prawda jest taka, że 99,9% czasu z tych ośmiu miesięcy spędziłem w ambulatorium, walcząc o zdrowie psów, kotów i reszty puchatego towarzystwa. Nie zapowiadało się, abym miał zostać terenowym wyjadaczem. O dziwo, mimo moich studenckich deklaracji, wcale mi to nie przeszkadzało. Chodziło mi po głowie, że chcę leczyć krowy, jednak z domowymi pupilami też było fajnie. I bez konieczności wychodzenia z przychodni. Aż nastał luty roku 2014, gdy stałem się pełnoprawnym pracownikiem przychodni. Z dyżurami w pakiecie. Nie musisz dziękować.

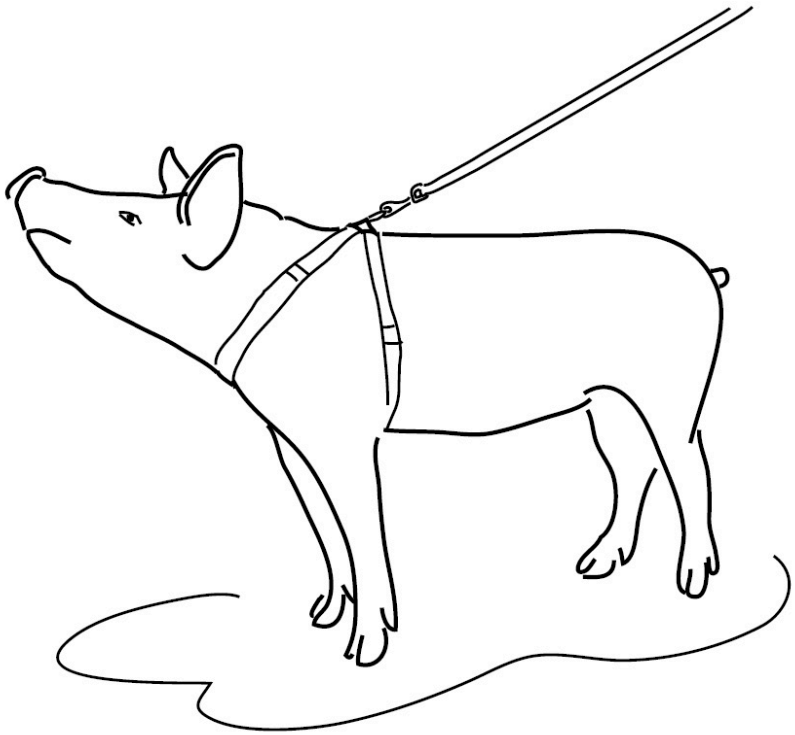

Ironia losu. „Terenem się nie przejmuj, dzwonią rzadko, a jak już, to bezpośrednio do Andrzeja” – mówi mi doktor Janusz, jeden ze współwłaścicieli przychodni. Doktor Andrzej, jego starszy brat, zdecydowanie lepiej czuje się w pracy z dużymi zwierzętami i faktycznie, większość okolicznych rolników zwykle dzwoni do niego, omijając telefon przychodni. „Zwykle” nie równa się „zawsze”…

Jeden z pierwszych moich samodzielnych dyżurów wypadł w brzydki, deszczowy, lutowy piątek. Przyjechałem po pracy do domu, zjadłem kolację, a nawet położyłem się spać. Nic nie zapowiadało, że będę pamiętał tę noc do końca życia.

Zegar wybił właśnie wpół do pierwszej, gdy przez zasłonę snu przebiła się natrętna melodyjka. Otworzyłem oczy i próbowałem ustalić, gdzie jestem i co się dzieje. W końcu dotarło do mnie, że na nocnym stoliku dźwięczy i wibruje dyżurna komórka. Pierwszy raz ktoś dzwonił do mnie w nocy. Złapałem ją i wyskoczyłem z pokoju. Bałem się, że obudzi mi córkę, która miała straszne problemy z zasypianiem. Odbieram, słucham, jakiż to przypadek miał zyskać miano mej pierwszej w życiu nocnej interwencji. Zrobiło mi się słabo. Krowa się wycieliła i wypadła jej macica. W dodatku w jakieś miejscowości, której nazwa nic mi nie mówiła. Na szczęście Google wiedział, gdzie mam jechać.

Dotarcie na miejsce zajęło mi chwilę. Nie wożę w bagażniku zestawu małego weterynarza, dlatego najpierw zahaczyłem o przychodnię. Zabrałem, co trzeba (jak się później okazało, nie wszystko), i z duszą na ramieniu wyruszyłem na spotkanie mojego pierwszego samodzielnego przypadku w terenie.

Kiedy dotarłem na miejsce, już w bramie spotkałem zniecierpliwionego gospodarza. Ta niecierpliwość nie miała uzasadnienia, gdyż jak się okazało, macica wypadła o 21.00, tylko rolnik z synem próbowali sami ją włożyć na miejsce. Na początku musiałem znieść rytuał nieufności. „Robiłeś pan to już kiedyś?” –

pyta gospodarz. I co mu miałem powiedzieć? „Nie, ale widziałem dobry obrazek w podręczniku”? Skoro już przyjechałem, to brnijmy w rolę starego wygi. Zanim zdążyłem pomyśleć, rzuciłem: „Zęby zjadłem na wypadniętych macicach” i ruszyłem do obórki, dzierżąc w dłoniach narzędzia pracy. Mimo pozornego spokoju, który gościł na mojej twarzy, walczyłem z drżeniem dłoni. Co tam dłoni! Miałem wrażenie, że cały dygoczę. Powtarzałem sobie w duchu: „Uspokój się!” na zmianę z: „Żebyś czegoś nie spartolił!”. Dzięki, mózgu, za dodawanie otuchy w sytuacji stresowej.

W pomieszczeniu gospodarskim, które strasznie mi przypominało stajenkę betlejemską, na grubej warstwie słomy leżała moja pacjentka. Muszę się wam przyznać, że od razu cieplej myślę o gospodarzu, gdy w oborze zwierzęta mają dobrze naścielone słomą. Jakoś tak jest znacznie przytulniej i zawsze lepiej wylegiwać się na słomie miast we własnych odchodach. Mimo mizernego wyglądu stajenka, dzięki tej słomie, wydawała się przytulniejsza. Obok umęczonej krowy stało nieco zdezorientowane cielę. Chyba właśnie do niego dotarło, że gdy matka leży, nie dostanie się do cycka. Krowa była skierowana zadem w moją stronę, dlatego mój wzrok od razu napotkał źródło problemu. Macica to solidny narząd. Jest workiem mięśniowym, który musi pomieścić i utrzymać cielę ważące ładnych parę(dziesiąt) kilogramów. I powinna być w jamie brzusznej. A nie zwisać pod krowim ogonem. Ta jeszcze dodatkowo była powalana krwią, resztkami łożyska, słomą i (jakżeby inaczej) gnojem. Była też porządnie obrzęknięta, bo znajdowała się poza swoim właściwym miejscem bytowania od dobrych pięciu godzin. Nie wyglądało to tak, jak w książce, gdzie wszystko jest czyste, wręcz sterylne, a zadowolony lekarz z lekkością umieszcza narząd w jamie brzusznej nie mniej zadowolonej krowy. Nie widząc innej możliwości, wziąłem się do pracy. Poprosiłem o czyste prześcieradło czy inny kawał materiału i wiadro z ciepłą wodą. Tymczasem zabrałem się do

znieczulenia nadoponowego pacjentki… A raczej próbowałem wziąć się do tego, bo zapomniałem środka do znieczulenia. Wyzwałem się w myślach od najgłupszych! Ten zabieg miał wyłączyć odruch parcia ze strony krowy. W międzyczasie otrzymałem to, o co prosiłem. Oczyściłem macicę z łożyska, umyłem się, jak się dało najdokładniej, i ułożyliśmy krowę na prześcieradle. Białym, jakby to kogoś interesowało. Próbowaliśmy nakłonić zwierzę do wstania, bo w pozycji, którą przyjęła, czyli z tyłkiem wpuszczonym w kanał odprowadzający nieczystości, ciężko byłoby umieścić narząd, który wypadł, w odpowiednim miejscu. Pod górkę tak jakby się nie da. Jak się pewnie domyślacie, nie wstała. Padłem więc na kolana, następnie położyłem się na brzuchu. Tak, dokładnie tak. W oborze, na krowich plackach i tym, co wypłynęło w trakcie porodu. Zacząłem wprowadzać macicę delikatnie do środka. Upychając pięścią, żeby nie narobić dziur paluchami. Bez rękawiczek. Tych także nie wziąłem.

Nie muszę chyba wspominać, że krowia macica jest znacznie większa niż otwór, przez który wypadła. Dodatkowo zapomniałem tego cholernego środka do znieczulenia, który to miał znieść[31] parcia zwierzęcia. Więc oprócz grawitacji, która ciągnęła macicę w dół, miałem utrudnienie w formie zwierzęcia, które wypychało to, co ja chwilę wcześniej wepchnąłem. Mimo tych trudności narząd udało się wprowadzić tam, gdzie jego miejsce. Szczęście nowicjusza najwidoczniej. Jak już zmęczyłem repozycję macicy, krowa jak gdyby nigdy nic wstała i zaczęła przeć, postawiwszy sobie najwyraźniej za punkt honoru zniweczenie moich wysiłków. Chwyciłem narzędzia i doskoczyłem do niej. Szybko założyłem na wargi sromowe szew kapciuchowy[32] uniemożliwiający ponowne wypadnięcie macicy. Odetchnąłem z ulgą. Dałem świeżo upieczonej matce kroplówkę, a następnie poprosiłem o wodę, żebym mógł się umyć. Dostałem. Lodowato zimną…

Kiedy wróciłem do domu nad ranem, nie mogłem zasnąć. Cały czas się zastanawiałem, czy macica jakimś cudem nie wypadnie ponownie. Albo czy aby na pewno nie zrobiłem w niej dziury, skazując biedną krowę na wykrwawienie. Mózg podsuwał mi różne apokaliptyczno-
-krowie wizje. Jak już wspominałem, całkiem miły ten mój mózg. Miałem jednak szczęście. Nie wypadła. Krowa miała się dobrze. Zadowolony gospodarz chciał dostać mój prywatny numer telefonu. Wyznał, że z początku nie wierzył w moje umiejętności. Czyli mimo wszystko opłacało się trudzić. Przygoda bardzo podbudowała moją wiarę w siebie. Pomogła pokonać podświadomy lęk przed samodzielnym dyżurowaniem. A pozytywny finał miło połechtał moje ego.

A wiecie, co było najlepsze? Miny moich starszych kolegów dnia następnego… Przyjechałem do przychodni szybciej niż inni. Nie mogłem zasnąć, a i tak musiałem posprzątać po nocnych wycieczkach. Gdy moi współpracownicy zaczęli ściągać na miejsce, ja akurat próbowałem doczyścić gumowce pod prysznicem. Kiedy zdziwieni spytali, co robię, z pełną nonszalancją powiedziałem: „Macicę robiłem w nocy". „Jak to?" „Czemu to?" „Ty?" No ja. Wziąłem zrobiłem. Bo przecież na macicach zęby zjadłem.

Do gospodarza wspomnianego w powyższej historii pojechałem raz jeszcze. Znowu jako „nowicjusz", choć trochę już pracowałem. W dodatku miałem pomóc zwierzęciu, do którego gatunku czuję niechęć…

Spytacie: „Jak weterynarz może czuć niechęć do zwierząt?". A ja się spytam: czy lubicie każdego? Nie? Tak też myślałem. Ja osobiście nie przepadam za końmi. Znaczy się, podoba mi się ich gracja w biegu, niesamowity jest widok pracy mięśni tych zwierząt podczas ruchu. Są to niewątpliwie piękne istoty. Ale na odległość. To ich panikarskie i czasem histeryczne usposobienie sprawia, że im nie

ufam. Obora pełna krów? Proszę bardzo. Boksy po brzegi wypełnione świniami? Nie ma problemu. Kurnik? Mówcie kiedy i gdzie. Jednak do koni mnie nigdy nie ciągnęło. I jakiś taki dystans się wytworzył między nami. I one to czują. One doskonale wiedzą, że ja z końmi to nie bardzo. Gdy wchodzę do boksu, nawet łagodna kobyła podnosi nogę, żeby mnie kopnąć. A gdy się odwracam, zęby kłapią mi nad uchem. Tak że tego…

Mimo swoich osobistych uprzedzeń musiałem jechać na wizytę do konia. Zacznijmy jednak od początku. Pech chciał, że jedenastego listopada przypadł mi dyżur. Wszystkich pacjentów w przychodni udało mi się ogarnąć sprawnie i w godzinach otwarcia. Wróciłem do domu. Wysiadłem z samochodu, włożyłem klucz do drzwi i… zadzwonił telefon służbowy. Koń. Z kolką. Miałem za sobą jakieś trzy lata pracy, a na koncie ZERO kolek. Wykonałem dwa telefony do moich terenowych zwierzchników. Oczywiście nikt nie odbierał. „Jakbyś miał jakiś problem w terenie, to dzwoń" tego dnia nie obowiązywało. Wróciłem więc do Tarnowskich Gór po zabawki i pojechałem do konia. Byłem solidnie przygotowany. Miałem płyny, sondę nosowo-żołądkową, rękawice do badania rektalnego i całą torbę leków. W szybkim wybieraniu telefonu zdążyłem także umieścić numer do końskiego szpitala, gdyby kolka miała się okazać jedną z TYCH kolek.

Bo nie wszystkie końskie kolki… Wiecie, co to w ogóle kolka? Bynajmniej nie chodzi w niej o to, że koń, który dawno nie biegał, przesadził i teraz ma zadyszkę. Choć wcale się nie zdziwię, jeśli tak pomyślicie. Zanim zacząłem studiować, kolka kojarzyła mi się jedynie z lekcjami wuefu. Jednakże ta końska to coś zupełnie innego. W telegraficznym skrócie: jest to upośledzenie perystaltyki końskiego przewodu pokarmowego, któremu towarzyszą objawy bólowe. Bywa tak, że u jej podłoża leży na przykład skręt któregoś odcinka jelit.

W takim przypadku konieczna jest interwencja chirurgiczna, gdyż inaczej koń w krótkim czasie przeniesie się na niebiański padok.

Tak więc idę na pastwisko, bo oczywiście konia wzięli i pogonili na zewnątrz, żebym mógł za nim pobiegać. Tak dla sportu. Stanąłem przy płocie i obserwuję pacjenta. Ten przechadza się spokojnie, skubiąc trawę. Nagle podniósł ogon i ozdobił świat kupką parującego nawozu. Spojrzałem na gospodarza wzrokiem, który miał go zamienić w sopel lodu. „No co?!" Ten cofnął się o krok. „Myśleliśmy, że to kolka". Przełknąłem przekleństwo i myśląc o obiedzie, wlazłem na padok. Nie miałem zamiaru tu wracać za dwie godziny, gdyby jednak koń zdecydował się mieć to, do czego zostałem wezwany. Obejrzałem go od przodu do tyłu i od tyłu do przodu. Osłuchałem, opukałem, zmierzyłem tętno. Koń zdrowy jak koń. Miałem ochotę splunąć jegomościowi rolnikowi pod nogi, ale zamiast tego wystawiłem rachunek.

Do koni mam generalnie pecha. Zawsze muszę do nich jechać w weekend albo po godzinach. Albo w weekend po godzinach. Przerobiłem kucyka ze świerzbem, konika polskiego ze sraczką i zołzy. Wspomnę tylko, że nie chodzi mi tu o klacze z wrednym charakterem, ale o zakaźną i bardzo zaraźliwą chorobę koni, której jednym z objawów jest tworzenie się ropni w węzłach chłonnych żuchwowych. Jednak moją ulubioną końską historią do snucia przy ognisku jest ta, w której poza koniem istotną rolę odgrywają: grupka podchmielonych gentlemanów, kulig i śnieżyca. Posłuchajcie…

Jechałem właśnie do yorka, który zeskoczył z kanapy i przestał chodzić. A po co skakał? Pani otworzyła lodówkę, co było wystarczającym bodźcem, aby pies wykonał skok na szczupaka. Niestety mimo dobrego stylu lotu lądowanie okazało się pozbawione gracji. Wszystko to zaowocowało nagłym urazem i koniecznością szybkiej wizyty w gabinecie weterynaryjnym. Był styczeń, o dziwo, mroźny dzień, a do tego sypał śnieg. Zima zaskoczyła drogowców.

Jakby nie wystarczyło atrakcji, gdy ja próbowałem nie wjechać do rowu, spiesząc do biednego yorka, ponownie tego popołudnia zaczęła wrzeszczeć dyżurna komórka. Życie mi miłe, więc ją olałem. Tak po prostu. Dzwoniła drugi i trzeci raz, ale ja nie odbieram, gdy prowadzę. Zwłaszcza jeśli śnieg sypie w szybę, a odbijające się od niego światło reflektorów sprawia, że w zasadzie nic nie widzę. Oddzwoniłem pod lecznicą. Koń rozwalił sobie głowę i leje się krew. Obiecałem, że przyjadę zerknąć, gdy uporam się z wcześniej umówioną wizytą. Ta na szczęście przebiegła sprawnie i bez zgrzytów. Wypuściwszy psa do domu, spakowałem, co uznałem za potrzebne (niezbyt dokładnie), i pojechałem do konia.

Na podwórzu zastałem kilku jegomościów w szampańskich nastrojach. Tu muszę nakreślić wam bieg wydarzeń, który doprowadził do mojej wizyty. Spadł śnieg, było niedzielne popołudnie, a w „stajni" stał koń. Panowie, którzy od obiadu raczyli się kapką tego czy owego, zaproponowali swym niewiastom i potomstwu, że zorganizują kulig. Taki prawdziwy. Z koniem! Gniada klacz rasy śląskiej stała sobie spokojnie w boksie, przeżuwając siano, gdy napadł na nią właściciel. Zwrócę uwagę na specyfikę pomieszczenia. Otóż „stajnia" była zaadaptowanym garażem. Dość niskim. Kobyłka praktycznie dotykała uszami sufitu. Jakby tego było mało, w połowie długości owego pomieszczenia z sufitu wystawał kawał żelastwa. Dźwigar, legar, szyna? Nie wiem. Długie, masywne i sterczało na około 15 centymetrów. W normalnych warunkach koń był wyprowadzany tyłem, a właściciel dbał o to, aby zwierzę opuściło głowę. Ale tamtego popołudnia krew wrzała w żyłach! Bo kulig! Inicjatorzy z niewiadomych przyczyn postanowili to masywne, bądź co bądź, konisko obrócić i wyprowadzić przodem. W trakcie obracania klacz przyładowała czołem w opisany wcześniej element konstrukcyjny. W wyniku zderzenia skóra została zdarta z czoła. Nigdy nie widziałem wcześniej skalpu, ale właśnie tym słowem

należało określić płat skóry unoszący się między końskimi uszami. Obejrzałem ranę i nie pozostało mi nic innego, jak przyszyć skórę na miejsce. Kłopotliwy był wzrost konia. Mogłem dotknąć zranionego miejsca, gdy wyciągnąłem ramiona w górę, ale tak się szyć nie da. Miałem jednak do pomocy czterech facetów, co budziło we mnie pewną nadzieję. A panowie mieli świetny humor i sypali żartami, co po jakichś 5 minutach stało się męczące, a po 10 wkurzające. Podałem dożylnie preparat do znieczulenia. Odczekałem kilka minut, koń zaczął chrapać. Poszedłem po narzędzia i… powrócił koszmar mojego zapominalstwa. Nie wziąłem igłotrzymacza. Jest to narzędzie, którym trzyma się igłę, szyjąc ranę. Nie, chirurg na pewno nie trzyma jej w palcach. Poważnie. A ja miałem do przyszycia jakieś 20 centymetrów skóry. Kopię w pojemniku, ale zamiast wspomnianego igłotrzymacza znalazłem jedynie pean – kleszcze naczyniowe. Zaciskając je na krwawiącym naczyniu, zatrzymujecie wypływ krwi. No cóż. Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Musiało wystarczyć. Stanąłem na korycie, które znajdowało się w stajni. Dwóch z mężczyzn złapało konia za kantar, żeby zapobiec ewentualnym ruchom głowy. Umyłem i wygoliłem okolice rany, usunąłem włosy z jej wnętrza. Po tej toalecie wziąłem się do szycia. Wszystko szło jak z płatka, aż mniej więcej w połowie cerowania czterej muszkieterowie się ożywili. Zaczęli żywo komentować zajście, głośno się śmiać i robić generalne zamieszanie. W wyniku wybuchu ich entuzjazmu koń zaczął się budzić. Przyspieszyłem szycie, ale ostatnie kilka szwów założyłem w towarzystwie podrzucanej przy każdym ukłuciu końskiej głowy. Nie wiem, co sprawiło, że nie spadłem z tego koryta. Za to panowie trzymający kantar byli podrywani w górę w rytm podskoków łba zwierzęcia. Na szczęście udało się dokończyć tę stajenną chirurgię. Jeśli chcecie wiedzieć, to tak, klacz się wygoiła. Po dwóch tygodniach wyciągnąłem szwy. Bez znieczulenia, na spokojnie. Bez tej kuligowej otoczki.

Jeśli ktoś lubi jeździć w teren, nie znaczy to wcale, że jest skazany na nudę i przewidywalność. Jeszcze do niedawna czekała tam monotonia w postaci krów, świń i koni. A teraz? Strusie, osły, wielbłądy… Lista jest długa i otwarta. Wśród zwierząt gospodarskich znaleźć można również alpaki. Jeśli ktoś takiej nie widział, to można ją opisać jako małą lamę. Albo dużą kozę, bez rogów, za to z fikuśną grzywką i długą szyją. Mój kontakt z tymi zwierzętami był jednorazowym epizodem. Miałem przyjemność kontynuować leczenie przeciwpasożytnicze zaordynowane przez mojego kolegę po fachu. I tyle. Do czasu.

W pewne sierpniowe południe odebrałem telefon. Dzwonił jeden z moich przełożonych. Z powodu nawału zajęć w terenie nie mógł jechać do pacjentki. „Pojedziesz?" „Nooo… Tylko do czego?" „Alpaka się nie potrafi okocić"[33]. Walnąłem czołem o blat biurka. Ale pojechałem. Licząc na to, że tylko pociągnę za łapki i wyciągnę.

Alpaki, które odwiedziłem, mają świetne warunki. Zalesiony wybieg i dostęp do czegoś na kształt doliny, gdzie mogą się wspinać na zbocze. Dojeżdżam na miejsce i pytam, gdzie pacjentka. Pani się rozgląda po obejściu. Nie ma. Przeczuwając, że zbliża się lekarz, zwiała w największe pokrzywy porastające wspomnianą dolinę. Jakoś udało się właścicielce nakłonić ją do powrotu. Nie chciała jednak wejść do swojej szopki, więc musiałem zabrać się do pracy na zewnątrz. Było gorąco. I to dosłownie, bo sierpień upalny, i w przenośni, bo sprawa okazała się niełatwa. Wkładam rękę przez pochwę do środka macicy. Spokojnie, użyłem lubrykantu, nie jestem sadystą. Czuję łapki, delikatnie pociągam. Niby idzie, ale coś jest nie tak. Wkładam rękę głębiej i odkrywam precla. Żeby wam to zobrazować: szyja młodej alpaki, długa jak u żyrafy, owinęła się wokół przednich łap i zagięła pod brzuchem w stronę zadu. Łapki tylne natomiast były wplątane gdzieś w to wszystko. Węzeł gordyjski. Obracałem, wyciągałem łapy, generalnie starałem się

odplątać młode prawie godzinę. Ręce mi mdlały, byłem mokry od potu, bolały mnie uda, bo cały czas w kuckach. I ta uporczywa myśl: „Nie dasz rady. Młode umrze". Prawie odpuściłem. Dodatkowo przejęta opiekunka mniej więcej co trzy minuty pytała: „I jak?". Po piątym razie chciałem krzyczeć: „CHU**WO!". W końcu zrobiłem coś, co uznałem za rzut na taśmę. Jedna próba i pasuję, niech przyjedzie jakiś specjalista, ja idę spać. Pamiętałem co nieco z wykładów o rozrodzie bydła. Jak próbujesz wyciągnąć, a ułożenie jest nie takie, jak byś chciał, to wepchnij z powrotem całego cielaka i obracaj całość w macicy. No dobra. Wszystkie części malucha, które miałem na zewnątrz, wepchnąłem delikatnie do macicy. I nie wiem jak, ale nagle głowa weszła do kanału rodnego, za nią przednie kończyny i po chwili w drżących ze zmęczenia ramionach trzymałem cud narodzin. Dziwne uczucie. Czuć się jednocześnie piekielnie zmęczonym i szczęśliwym. Czuć każdy mięsień, nawet taki, o którego istnieniu nie miało się pojęcia, a mimo to wiedzieć, że ten wysiłek się opłacał. Zresztą gdy trzyma się w ramionach nowo narodzone zwierzę, nie sposób mieć zły humor. W końcu otrząsnąłem się z szoku i oddałem malucha meczącej na mnie z irytacją matce. Umyłem ręce i wspólnie z właścicielką zwierząt usiedliśmy na ławeczce, obserwując, jak świeżo upieczona matka bierze się do wylizywania swojego dziecka. Siedzieliśmy, gawędziliśmy o alpakach, pszczołach i o edukacji ekologicznej. Ja – ojciec i ona – pedagog. Oboje pragnący, aby młodzi ludzie szanowali każde życie. Nawiązała się między nami nić porozumienia. Wciąż jesteśmy w kontakcie. Gdy odsapnąłem nieco, wreszcie nadeszła pora, by wracać do domu. Spojrzałem jeszcze raz na małą alpakę. Wszystkie dzieciaki są fajne. Bez względu na gatunek. A mój alpaczy chrześniak nazywa się Lucky. Ponoć po mnie. Gdy będzie okazja, spakuję rodzinę i pojedziemy odwiedzić alpaki.

Wszystko, co małe, jest słodkie. Weźmy takie cielęta. Chodząca słodycz. Zdarzało mi się jeździć do cieląt wielokrotnie. Mam szczęście do wezwań z powodu biegunek. Kiedyś otrzymałem takie do, jak to określił gospodarz, cielika. Podobno miał biegunkę od kilku dni. Wyobrażałem sobie małe łaciate cudo. Powiedzmy, tak do 100 kilogramów. I na taką masę byłem przygotowany „lekowo". Wchodzę do obory i mina mi zrzedła. „Cielik" okazał się półtonowym buhajem. Gospodarz poklepywał go po wielkimi łbie, mówiąc pieszczotliwie: „Bo to taka wielka pierdoła. Taki cielik". Musiałem wrócić do

przychodni po więcej leków. Cielik! Muszę zapamiętać, żeby następnym razem poprosić o doprecyzowanie.

Nie jest prawdą, że z dużym zwierzęciem nie da się przyjechać do lekarza. Wspomniałem wyżej o końskim szpitalu. Sam osobiście również miewałem pacjentów terenowych na stole w ambulatorium przychodni. Opowiadałem wcześniej o świni na szelkach. Innym razem przyjmowałem kozę z zapaleniem wymienia, która przyjeżdżała do nas w bagażniku dużego fiata. Była też młoda alpaka, która tak niefortunnie połknęła kawałek marchewki, że ten utknął w połowie długości szyi w przełyku. Innym razem miałem nieprzyjemną rozmowę z właścicielką gęsi…

Wchodzę do poczekalni, a tam siedzi sobie pani. Na kolanach ma wielką białą gęś. Dodam, że żywą. Na mój widok kobieta zerwała się i kroczy wprost do gabinetu. Hola, hola! Ale o co chodzi? Oczywiście nie formułuję pytania w ten sposób, jednak zatrzymuję panią i pytam, co ją właściwie sprowadza. Ta patrzy na mnie jak na wariata i mówi, że gęś jest chora. „Nie znam się na ptakach" – mówię. „Proszę przyjść po południu, będzie lekarz, który się zna". Pani pobladła, następnie poczerwieniała i stwierdziła, że ona żąda badania teraz, bo gęś od dwóch tygodni jest chora. Mam się nie wygłupiać, tylko ją przyjąć. Dopiero spytana, czy mam eksperymentować na jej zwierzęciu, odpuściła.

Nie wstydzę się tego, że nie znam się na wszystkim. Jak już wspominałem, nie leczę ptaków, gadów i rybek, gdyż moje leczenie może im tylko i wyłącznie zaszkodzić. Niektórym jednak trudno to zrozumieć.

Praca w terenie ma swoją specyfikę. Lekarze, dla których jest ona głównym zajęciem, zamieniają swoje samochody w przenośne apteki. Wszak cały sprzęt i medykamenty muszą mieć zawsze przy sobie. Dodatkowo jest to także praca świątek, piątek i niedziela, w nocy i po godzinach pracy. Kilometry za kółkiem. Trzeba być także

świadomym zagrożeń. Pacjenci w terenie są wielcy i ciężcy. Nieostrożność można przypłacić poważnym urazem. Kopnięcia, pogryzienia, przygniecenia. Gdy taki wspomniany wyżej „cielik" przygniecie do ściany, to połamie żebra. No i tu także warto mieć refleks. Pamiętam, jak będąc na wolontariacie, pojechałem z technikiem do gospodarza, aby wykastrować prosięta. W jednym boksie znajdowały się małe świnki i technik, obok szalała maciora. W końcu rozjuszona matka przeskoczyła mur odgradzający boksy i zaatakowała technika. Ten wykazał się, mimo sporej tuszy, znaczną skocznością. I ustanowił pewnie rekord w szybkiej ewakuacji z boksu.

Zanim opuścimy świat obór, stajni i wybiegów, chciałbym podzielić się z wami pewnymi przemyśleniami. Osobiście uważam, że lekarz od małych zwierząt nie powinien jeździć w teren. Przyczyn jest kilka. Po pierwsze praktyki mieszane, takie jak ta, w której pracuję, powoli odchodzą w niepamięć. Weterynaria przeżywa bum specjalizacyjny. Już nie tylko zajmujemy się zwierzętami towarzyszącymi lub gospodarskimi. W obrębie tych grup dochodzi do podziału na coraz to węższe specjalizacje. Każda z nich prężnie się rozwija i nie sposób nadążyć za wszystkimi. Ja od wielu lat leczę zwierzęta towarzyszące, a przygody w terenie zmieściły się w jednym rozdziale tej książki. Terenowcem nigdy już się nie stanę, gdyż nie śledzę nowinek z zakresu weterynarii terenowej, nie dokształcam się w tym kierunku, a wręcz zapominam tego, czego nauczyłem się na studiach. Tak jest z wiedzą nieużywaną. Dlatego w tym momencie właściwie odmawiam wizyt u zwierząt gospodarskich. Nie jest to podyktowane niechęcią, a tym, że nie jestem w stanie świadczyć usług w terenie na takim poziomie, na jakim bym chciał.

Jest jeszcze jedna kwestia. W mojej pracy ważniejsze od ekonomii bywają emocje i uczucia. Przy doborze terapii w leczeniu małych zwierząt nie bierze się pod uwagę ich wartości rynkowej. Nie muszę

się zastanawiać, czy mogę podać leki, czy mam wystawić bilet do rzeźni. Walczę tak długo, jak jest to możliwe. A gdy nie jest, pozwalam odejść. W pracy terenowej muszę się przestawiać na myślenie, w którym moi pacjenci są zrównani z rzeczą o określonej wartości. Nie zazdroszczę tego tym z moich kolegów, dla których działania w terenie są chlebem powszednim. Znam ich wielu i wiem, że darzą swoich pacjentów taką samą sympatią, jak ja swoich. Nie chcę sobie nawet wyobrażać, co czują, gdy muszą życie zwierzęcia zestawiać z kolumnami liczb w rachunku zysków i strat. Taka jest jednak ich droga. W taki sposób dbają o zdrowie nasze i zwierząt. Każda ścieżka w zawodzie lekarza weterynarii wymaga innego myślenia. Mój świat funkcjonuje inaczej niż ten w terenie. Przeskakując między nimi, muszę przestroić się na inne fale. A ja nie chcę tego robić. Mam wybór i z niego korzystam. Z tego powodu pewnie więcej przygód z kolkami i macicami nie doświadczę.

[30] Hodowla i chów – wyjaśnienie tych pojęć mogłoby zająć całą książkę, tu mamy tylko przypis. W skrócie: hodowla to wszystkie zabiegi, które finalnie prowadzą do rozmnożenia zwierząt; chów natomiast to zapewnienie zwierzętom odpowiednich warunków do wzrostu i rozwoju, rozmnażanie nie jest tu warunkiem koniecznym.

[31] Pisząc „znieść”, mam na myśli „zatrzymać”, a nie „znosić”. Gdy w wyniku podaniu leku zanika przewodnictwo nerwowe (jak w przypadku znieczulenia nadoponowego), mówimy, że doszło do jego zniesienia. Podobnie gdy w przypadku urazu zanika jakiś odruch, mówimy o jego zniesieniu.

[32] Kapciuch to skórzany worek na tytoń zaciągany rzemieniem. Szew kapciuchowy działa na takiej samej zasadzie jak rzemień we wspomnianym mieszku. Zaciska wiązane nim struktury, utrzymując ich zawartość w środku.

[33] Ciekawostka: krowa się cieli, świnia się prosi, klacz się źrebi. A alpaka się koci. Nie alpaczy. Koci się jak owca, koza, kotka czy żyworodne ryby typu gupik pawie oczko.

Rozdział VIII
Pacjenci w pudełku

Gdyby w trakcie moich studiów zaczepił mnie tajemniczy nieznajomy i powiedział: „Łukaszu, przybywam z przyszłości, gdzie leczysz nie dość, że psy i koty, to jeszcze inne małe puchate stworzenia”, zapewne początkowo wywołałby moje szczere zdumienie. Potem prawdopodobnie bym go wyśmiał, aby następnie polecić mu wycieczkę na najbliższy oddział neuropsychiatryczny. Przez 11 semestrów cel był jasny – TEREN! Tymczasem po drodze coś poszło bardzo nie tak.

Nie nazwałbym się specjalistą od królików i gryzoni. Co więcej, z uporem maniaka nie pozwalam się określać tym mianem. Cały czas się uczę o chomikach i im podobnych i jeszcze wiele przede mną do odkrycia. Tytułu specjalisty w tej dziedzinie pewnie nigdy nie zdobędę. Jednak poniekąd właśnie taką funkcję pełnię w przychodni. Lekarza od małych stworzeń. Tak się jakoś złożyło. I to nie była moja inicjatywa. Pierwotnie nie chciałem leczyć takiego drobiazgu. Nawet przez myśl mi to nie przeszło! Właściwie to zostałem do tego zmuszony przez moich starszych kolegów po fachu. Jak tylko zacząłem staż, jakoś tak dziwnym trafem wszystkie stwory mieszczące się w pudełku po butach zaczęły trafiać do mnie. Początkowo niczego nie podejrzewałem. Aż tu razu pewnego zauważyłem, że nagle wszyscy uciekli do biura. Otworzyłem

poczekalnię, a tam młoda parka z chomikiem w klatce. Wtedy właśnie dotarło do mnie, że pozostali lekarze, jak tylko zauważali przez okno pacjenta typu „pudełko po butach", dyskretnie się ewakuowali. Poruszyłem ten temat. Dowiedziałem się, że muszę się nimi zajmować z trzech powodów:

1. Bo oni nie chcą.
2. Bo jestem najmłodszy.
3. Bo oni nie chcą.

Poradzono mi również, abym „zachował otwarty umysł". Filozofowie z tych moich współpracowników, nie ma co. Próbowałem stawać okoniem, ale w ogólnym rozrachunku przegrałem.

Moja przegrana poskutkowała tym, że poszły w miasto wieść i opinia. Przez dłuższy czas byłem jedynym lekarzem w okolicy, który chciał się zająć gryzoniami. Często słyszę, jak nasza pani sekretarka mówi do słuchawki: „To ja poproszę lekarza od gryzoni". Staram się dementować. Nie jestem lekarzem od gryzoni. Nie aspiruję do rangi specjalisty w tym temacie. Owszem, szukam informacji i poszerzam swoją wiedzę, bo tak jakoś wyszło, że wśród moich pacjentów zdarzają się także gryzonie i króliki, a ja chcę im pomóc. Jeśli jednak mogę, to odsyłam je do prawdziwych specjalistów. Znam swoje ograniczenia i wiem, z czym sobie nie jestem w stanie poradzić. Weźmy na przykład stomatologię.

Możecie spytać, jaki jest związek między stomatologią a gryzoniami? Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy zastanowić się nad nazwą gryzoń. Gryzoń jest znany z tego, że w jego naturze leży gryzienie. Skrobie namiętnie zębami wszystko, co mu się napatoczy. Od gryzonia wręcz się tego oczekuje. Że gryzł będzie, znaczy się. Od królika też się oczekuje, chociaż ten gryzoniem nie jest. Mimo to jedzie z tymi ostatnimi na jednym wózku. Króliki, świnki morskie, które jakiś czas temu zaczęto określać mianem „kawie domowe"[34], szynszyle, koszatniczki i cała reszta małych

roślinożerców mają tak zwane zęby hypselodontyczne czyli długokoronowe[35]. Cechą charakterystyczną takich zębów jest to, że rosną przez całe życie. I dobrze! Bo zwierzęta te posilają się twardym lub włóknistym roślinnym pokarmem, który stale im te zęby ściera. Jakby nie rosły, to zwierzę szybko byłoby pozbawione możliwości pobierania pokarmu. Działa to również w drugą stronę. Zła dieta doprowadza do przerostu koron, ich deformacji, uszkodzenia kości szczęki i żuchwy czy do wytworzenia ropni. Masa problemów wynikających z tego, że zęby, które rosną całe życie, są źle ścierane. Daje to olbrzymie pole do popisu dla króliczo-
-gryzoniowego stomatologa.

„Łukasz!" – woła od progu kolega. „Mam dla ciebie coś, co lubisz! Królik, który nie je!" Moi współpracownicy są bezlitośni i każdego takiego pacjenta odsyłają do mnie. Z przekąsem odpowiadam wtedy pytaniem: „Żeby mi umarł?". Anoreksja, czyli stan niepobierania pokarmu, jest wielkim problemem u drobnych ssaków. Problemem, który często mimo leczenia doprowadza do śmierci zwierzęcia, a nieleczony – zawsze. Zwykle taki pacjent trafia do mnie po kilku dniach głodówki, co już na starcie komplikuje leczenie i zdecydowanie pogarsza rokowania (wszystko przez bardzo prawdopodobne uszkodzenie wątroby). Ale o niejedzeniu trochę niżej, teraz ma być o zębach. W przypadku pacjentów „z pudełka po butach" kontrola uzębienia w sytuacji odmowy spożywania posiłków jest w zasadzie czynnością rutynową. Szczególnie gdy pracujemy z królikiem, świnką morską, szynszylą czy koszatniczką. Jeśli stan zwierzęcia na to pozwala, od razu wprowadzam je w znieczulenie ogólne, aby móc dokładnie obejrzeć zęby i ewentualnie wykonać milion zdjęć czaszki. Dziwicie się, dlaczego znieczulam do oglądania zębów? Jeśli rozchylicie małemu ssakowi wargi, zobaczycie zęby sieczne. Duże, ostre, niekiedy sprawiające kłopoty. Jednak to, co zwykle jest kluczem do rozwiązania problemu, leży głębiej.

Większość pacjentów pozwala jedynie na pobieżne rzucenie okiem na zęby przedtrzonowe i trzonowe. Zwierzęta wiercą się, walczą z narzędziem, zaciskają szczęki. Dlatego je znieczulamy. Raz, żeby nie denerwować tych, bądź co bądź, bardzo wrażliwych stworzeń, dwa, żeby znieść odruchy przeszkadzające w badaniu, trzy, żeby nie uszkodzić pacjenta, który nie chce się poddać naszym manipulacjom. Wcale zresztą się nie dziwię tym oporom. Nic przyjemnego, gdy wbrew woli grzebie się komuś w jamie ustnej.

Przeróżne rzeczy można znaleźć w jamie ustnej świnki morskiej czy królika. Taki klasyczny przypadek to wytworzenie się tak zwanego mostu zębowego. Jest to strasznie niefortunna sytuacja, gdyż zwierzę nie je nie dlatego, że nie ma apetytu, ale fizycznie nie jest w stanie przełknąć pokarmu. Dlaczego? Wyobraźcie sobie, że zęby waszej żuchwy rosną w taki sposób, że te po prawej stronie zaczynają się stykać z tymi po lewej i dociskają wasz język do dna jamy ustnej. Teraz weźcie do ust kawałek jedzenia, na przykład małą kulkę chleba, i spróbujcie ją połknąć, nie ruszając językiem. Ciężko, prawda? Małe ssaki będące w takim położeniu mają poza przełykaniem kłopot z rozcieraniem pokarmu, który często jest długi i włóknisty (siano).

Most zębowy to niejedyna patologia uzębienia u tych zwierząt. Niektórym zaczyna „wyrastać” z zębów kostna igła raniąca język lub policzek. Pamiętam świnkę morską, której taka szpila przebiła język na wylot. Pewien królik natomiast wytworzył sobie na zębach nierówności przypominające ząbki piły, które przecięły język wzdłuż. Była też koszatniczka, której ostatni ząb trzonowy rósł do tyłu i wbił się w tylną ścianę gardła.

Z takimi przypadkami sobie radzę. Nawet z sukcesem. Jednak czasem staję przed problemem, który wymaga wiedzy tajemnej z dziedziny chirurgii szczękowej. Ekstrakcje zębów (czyli ich wyrywanie) w tym mikroświatku są dużym wyzwaniem. Często nie

wystarczy złapać chory ząb kleszczami, podważyć dźwignią i wyciągnąć. W 99% przypadków nie wystarcza! Gryzoniowi stomatolodzy nierzadko muszą korzystać z osteotomii, czyli cięcia kości, żeby dostać się do kłopotliwego miejsca. Podobnie w przypadku ropni, które uwielbiają się tworzyć w okolicy wierzchołków zębów. Mnie to przerasta. Zarówno w zakresie moich umiejętności, jak i zaplecza sprzętowego. Dlatego korzystam z pomocy specjalistów.

Wspomniałem wyżej o niejedzącym króliku. Możecie, jeśli macie ochotę, wpisać w to miejsce również kawię domową, znaną szerzej jako świnka morska. Te dwa gatunki są dla mnie królami anoreksji. W 9 przypadkach na 10 jedyne, co właściciel widzi, to to, że jego zwierzę przestało jeść. I niech wam się nie wydaje, że wszystkich tych gryzoni dotyka problem z zębami. Nie ma tak łatwo! Przyczyn może być wiele, a jako że nie jest to poradnik i nie mamy miejsca na rozwodzenie się nad poszczególnymi jednostkami chorobowymi, skupimy się na samym fakcie niejedzenia. Dlaczego zaprzątać sobie tym głowę? Głodówka przecież jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Jeśli jesteście człowiekiem albo psem, to zapewne gdy nie zjecie nic przez dwa dni, wyjdzie wam to tylko na zdrowie. Jednak jeżeli macie długie uszy, długie zęby i puchaty ogonek, to post skończy się dla was podróżą w jedną stronę, na niebiański zagon marchewki.

Chciałbym móc napisać, że przyczyna dużej śmiertelności u małych roślinożerców, które przestały jeść, jest prosta do wyjaśnienia. Nie mogę. Nic nie jest proste. Przede wszystkim (może się to wydać nielogiczne, ale jest to najszczersza prawda) im mniejszy organizm, tym więcej energii musi dostarczać, żeby utrzymać wszystkie układy w stanie równowagi. W praktyce wychodzi na to, że im mniejsze zwierzę, tym więcej i częściej musi jeść. Jak popatrzycie na zdrowego królika czy świnkę morską, to jeśli nie odpoczywa albo nie zajmuje się prokreacją, to cały czas coś je. Przeżuwa, chrupie,

generalnie rusza paszczą. Gdy właściciele pytają, jak często ma jeść ich gryzoń, mówię, że cały czas. Gdy te zwierzęta nie dojadają, to przerastają im zęby[36]. Czyli kończymy z problemami opisanymi trochę wyżej. Im dalej w przewód pokarmowy, tym wcale nie robi się lepiej. Żołądek małego trawojada powinien być stale wypełniony treścią. Gdy pracuje „na pusto", jest podatny na owrzodzenia. Pamiętam (niestety) sekcję zwłok królika, który nie jadł trzy dni. Jego żołądek miał dziurę w ścianie po perforującym wrzodzie o średnicy pięciozłotówki. Odwrotna sytuacja, czyli przeładowanie żołądka treścią, również się zdarza. I także stanowi zagrożenie dla życia zwierzęcia.

Z klinicznego punktu widzenia w leczeniu małych roślinożerców bardzo istotne są jelito ślepe i okrężnica. To tu żyje cała rzesza drobnoustrojów tworzących florę jelitową. Są one dla królików i gryzoni niezwykle istotne. Pomagają trawić celulozę, która jest podstawowym budulcem ich pokarmu, produkują witaminy i stanowią naturalną ochronę przed drobnoustrojami chorobotwórczymi. Zdrowa flora jelit to zdrowe zwierzę. A gdy ono przestaje jeść, to flora umiera. W rezultacie zaburzone jest trawienie. Apetyt spada jeszcze bardziej. I tak w kółko.

Piszę o tym z jednego powodu. Właściciele małych ssaków muszą wbić sobie do głowy, że w przypadku zaprzestania pobierania pokarmu przez ich pupili nie ma czasu na obserwacje i czekanie. Gryzoń nie je, to jedziecie na sygnale do weta. Nie możecie dotrzeć z królikiem do weta, zmuszacie zwierzę do jedzenia. Internet jest pełen przepisów na doraźne, wymuszone karmienie małych puchatych stworzeń. Waszym zadaniem jest zrobić wszystko, aby w brzuchu cały czas coś było, żeby lekarz wam potem nie powiedział, że jest za późno. Wiedzcie jednocześnie, że jeśli przeczekacie, a potem zwierzę odejdzie mimo prób pomocy ze strony weterynarza, to będzie to tylko i wyłącznie wasza wina.

Świetnie pamiętam swojego pierwszego niejedzącego królika. Tuptuś mu było, tak klasycznie. Tuptuś był królikiem barankiem – takim z klapniętymi uszami. Gruby jak bela. Został przyniesiony razu pewnego w koszu piknikowym – z informacją, że nie je. Szczerze, wtedy jeszcze wiedziałem bardzo niewiele na temat królików, ale właściciel odmówił jazdy na konsultację. Zrobiłem więc wszystko, co mi przyszło do głowy: dokładne badanie ogólne, badanie krwi, RTG, USG, badanie kału, obejrzałem jamę ustną. W oparciu o wyniki badań musiałem stwierdzić, że pacjent jest zdrowy, poza tym, że ma lekkie zaparcie. Wprowadziłem więc leczenie objawowe, aby rozruszać apetyt i ruszyć kupę. Bobki się pojawiły, ale Tuptuś dalej nie jadł. Przez tydzień. Według właściciela nic. Odmawiał przyjmowania wszelkich papek doustnych i znacząco schudł. W końcu w rozmowie telefonicznej uzgodniliśmy z właścicielem, że

dla królika siedzenie w klatce, patrzenie w ścianę i niejedzenie to nie jest życie. Przyznałem, że czuję się bezsilny i ze swojej strony nie jestem w stanie nic więcej zaoferować. Jedyne, co można zrobić, to skonsultować się ze specjalistą. Znam kilku, których mogę polecić. Opiekun nie wyraził zbytniego entuzjazmu i powiedział, że się zastanowi. Następnego dnia zadzwonił ponownie. Wyjaśnił, że z konsultacji nie skorzysta. Nie ma samochodu i skończyły mu się pieniądze – jest rencistą. „Postanowiłem wczoraj, że nie będę go dalej leczył, i chciałem prosić o uśpienie". Poczułem się postawiony pod ścianą, jednocześnie byłem zły, że nie wiem, jak pomóc królikowi. „To było jednak wczoraj" – ciągnął mój rozmówca. Powiedziałem Tuptusiowi: „Zacznij jeść albo umrzesz, i zdarzył się, doktorze, cud!". Królik wziął sobie słowa swojego człowieka do serca i zaczął jeść. Żył jeszcze cztery lata i zmarł ze starości. A ja dalej nie wiem, dlaczego wtedy nie jadł. Wracam myślami do niego co jakiś czas i nie widzę luk w swoim ówczesnym postępowaniu. Co nie zmienia faktu, że zwierzę nie było zdrowe, a mnie po prostu nie udało się go zdiagnozować. Najważniejsze, że pacjent ozdrowiał. Cieszę się, nawet jeśli nie moja w tym zasługa. Historia ta jest dla mnie przykładem tego, że weterynaria stale zaskakuje!

A wiecie, co jest najlepszym stymulatorem apetytu u świnek morskich w sytuacjach, gdy właściwie są zdrowe, ale wyraźnie apetyt im spada bez widocznej przyczyny? Powiem wam. Apetyt u świnki morskiej najlepiej pobudza druga świnka morska. Kawie to stworzenia stadne. W samotności czują się źle. Żyją w ciągłym stresie, co udowodniono naukowo. Stają się mało ruchliwe i jedzą coraz mniej. Prosta droga do nieszczęścia. Wystarczy dostarczyć im świnkowego towarzysza, a szybko odzyskują zarówno apetyt, jak i chęć do życia. Sprawdziło mi się to wielokrotnie. Trzeba tylko pamiętać, żeby łączyć świnki tej samej płci. Chyba że chcemy mieć szybko całe stado małych świnek.

Gdy leczymy małe puchate stworzenia i opiekujemy się nimi, w końcu uświadamiamy sobie, jak kruche są te istoty. Jak naprawdę niewiele potrzeba, aby stała się im wielka krzywda. Są chociażby bardzo podatne na urazy, które mogą się okazać tragiczne w skutkach. Przykładem drastycznym, ale wcale nie tak rzadkim, będzie królik, który trafił do mnie z porażeniem[37] kończyn miednicznych. Prostym językiem: od pasa w dół nie działał. Jakby był zabawką z gałganków. Co się stało? Królik wychodził z klatki. W trakcie tej czynności podszedł do niego mieszkający z nim pies. Zwykle świetnie się dogadywali. Tym razem jednak zbliżenie się czworonoga sprawiło, że królik szarpnął się gwałtownie w tył. Gdy właściciele podbiegli do zwierzęcia, to leżało na boku, bezradnie przebierając przednimi łapkami, z jedną nogą tkwiącą między prętami drzwiczek klatki. Badanie neurologiczne wykazało całkowite zniesienie odruchów i czucia w tylnej połowie ciała. Zdecydowaliśmy się na wykonanie kilku zdjęć RTG. To, co ujrzeliśmy, zjeżyło nam włosy na karku. Zwichnięcie między ostatnim kręgiem piersiowym a pierwszym lędźwiowym, złamanie kości udowej prawej kończyny miednicznej i zwichnięcie w stawie biodrowym lewym. Właściciele nie zgodzili się na konsultację ortopedyczną i podjęli decyzję o eutanazji królika. Szczerze mówiąc, uważam, że słusznie.

Dość często trafiają nam się połamane gryzonie. Czasem jest to rezultat nieuwagi właścicieli. Pewien szynszyl złamał kości tworzące przedramię: promieniową i łokciową, ponieważ został przygnieciony kanapą. Poważnie. Też mi się to w głowie nie mieściło, ale to prawda. Uznajmy jednak, że to był wypadek. Załóżmy, że właściciele są niewinni. Złamanie było dość proste, bez przemieszczeń. Takie w sam raz w gips. Szynszyle mają jednak ultrakrótkie przednie łapki (przypominają mi łapki tyranozaura) i zakładanie gipsu jest dość trudne. Dodatkowo frustruje fakt, że pacjent zjada opatrunek, jak tylko się obudzi. Oczywiście gips nie jest tym, co powinno się

znajdować w diecie szynszyli. Wspomnianemu pacjentowi jednak nie zdawał się szkodzić. Temu konkretnemu zakładałem go trzykrotnie. Nawet kołnierz dostał. Za czwartym razem wsadziliśmy łapę w opatrunek z żywicy epoksydowej. Ten także zeżarł. W końcu po dwóch tygodniach machnąłem ręką. Zwierzak na lekach przeciwbólowych wygoił się bez opatrunku. Łapa działa jak należy.

Kiedy patrzę na tę historię z perspektywy czasu i doświadczenia (zdarzyła się w pierwszym roku mojej pracy), dochodzę do wniosku, że teraz podszedłbym do niej inaczej. Starałbym się znaleźć chirurga, który rozwiązałby problem operacyjnie, przy użyciu zewnętrznego stabilizatora. Wtedy daremne zakładanie opatrunków nie byłoby konieczne.

Niekiedy uraz jest z pozoru błahy. Wasza świnka owija sobie łapę kocykiem i tkwi tak kilka godzin. Gdy się orientujecie, że zwierzę wrzeszczy już dłuższy czas i tak jakby nie rusza się za bardzo, reagujecie. Oglądacie kończynę i nic złego nie widzicie, więc oddychacie z ulgą. Za dwa, może trzy dni, a może już nazajutrz noga zaczyna sinieć i puchnąć. Idziecie do weterynarza, a tam wam mówią, że kończynę trzeba amputować. Tak, moi drodzy czytelnicy, amputować. Kawie są bardzo wrażliwe na niedokrwienie kończyn. Nawet krótkotrwały ucisk może finalnie doprowadzić do martwicy. A jak trwa to dłużej, to już na 100%.

Kiedyś na dyżur wparowała do gabinetu cała rodzina, to znaczy mama, tata i dwójka dzieci. Jedno z nich trzymało kocykowe burrito, z którego wyciągnięto świnkę morską. Powodem wizyty był fakt, że zwierzę zaczęło brzydko pachnieć. Przyczyną zapachu była noga, do której najlepiej pasuje słowo „gnijąca”. Świnka nie czuła już bólu, bo kończyna była kompletnie martwa. Nie, nie zauważyli wcześniej. W trakcie zabiegu amputacji okazało się, że na łapkę są założone dwie gumki recepturki. To one zaburzyły przepływ krwi. Po fakcie

okazało się, że córka bawiła się w taki sposób z biednym zwierzęciem.

Lubię małe ssaki. Nie wszyscy darzą je jednak sympatią. Podobno myszy u niektórych wywołują paniczny strach. A szczur jest uosobieniem zarazy. W trakcie praktyk studenckich poznałem lekarza, który ze względu na to, że w zawodzie spędził z 50 lat, przez wszystkich był nazywany Starzykiem. Starzyk, jak każdy starszy pan, miał swoje zwyczaje, rytuały i dziwactwa. Nie był jednak zmęczony pracą, choć z jego zachowania wynikało, że zarówno klienci, jak i pacjenci strasznie go wkurzają. Niektórzy wręcz wpędzają w panikę. Bo Starzyk bał się szczurów i był dowodem na to, że adrenalina potrafi nawet stare ciało zmobilizować do poważnego wyczynu. Zdarzyło się bowiem tak, że do gabinetu weszła nieświadoma niczego dziewczyna ściskająca w ramionach szczura. Gdy stary lekarz ujrzał gryzonia, wskoczył na krzesło niczym młody koziołek i stojąc na nim, zaczął krzyczeć na klientkę: „Nie po to zwalczałem przez całe życie choroby zakaźne, żeby teraz szczury leczyć! Zabieraj się stąd z tym szkodnikiem!”. Nie muszę tłumaczyć, że pani oczywiście uciekła. Nie ma się co dziwić. Choć na usprawiedliwienie Starzyka muszę powiedzieć, że jak się człowiek zbliża do osiemdziesiątki, to ciężko zmienić nastawienie do pewnych kwestii.

Spośród wszystkich pacjentów z „pudełka po butach” właśnie ze szczurami mam najwięcej przygód. Osobiście uważam je za świetne zwierzęta. Moja sympatia nie zmieni jednak faktu, że niestety są chorowite i żyją strasznie krótko. Średnia mówi, że około dwa i pół roku, choć większość z tych, które poznałem, miała kłopot z dożyciem dwóch lat. Znałem również takiego, który przeżył cztery zimy. Ale ten tylko zawyża średnią, gdyż zwykle szczury przenoszą się za tęczowy most znacznie szybciej. Walczą z nowotworami, niewydolnością krążenia, z infekcjami układu oddechowego

i mnóstwem innych chorób. Najczęstsze są chyba przeróżne guzy. Czasem niezłośliwe, związane ze skórą, zwykle jednak nowotwory u tych przesympatycznych stworzeń cechuje duża złośliwość. Bardzo często trafiają do mnie szczury ze zmianami nowotworowymi w gruczole mlekowym, płucach czy w obrębie kości. Prawdziwą zmorą jest guz przysadki, który staje się przyczyną cierpienia i śmierci wielu stworzeń.

Podobnie jak w przypadku innych zwierząt i ludzi, część nowotworów można leczyć lub dzięki preparatom przedłużyć życie pupili w komforcie. Czasem diagnozujemy takie zmiany, które jesteśmy w stanie usunąć chirurgicznie. Mam pacjentkę, którą operowałem już pięć razy! Bywa i tak, że choroba postępuje w błyskawicznym tempie, a jakiekolwiek z podjętych działań nie przynoszą rezultatu.

Właściciele szczurów to specyficzna grupa. Zwykle szczur trafia do nich przypadkiem i nagle się okazuje, że mają ich siedem. Są to ludzie bardzo zaangażowani w sprawę swoich podopiecznych. I tak po prostu lubię z nimi pracować. To tacy pozytywni ludzie.

Miałem pod opieką kilka sporych stad. Przy takiej liczbie szczurów widujecie się z właścicielami dość często i przerabiacie większość szczurzych chorób. Czasem są to jedynie pasożyty skóry, jak wszy lub wszoły, innym razem walczycie z zapaleniem płuc. Aż w końcu waszym problemem staje się niewydolność któregoś z narządów wewnętrznych czy właśnie wspominana wyżej choroba nowotworowa.

Kiedy obserwuję u tych zwierząt częste kumulowanie się problemów, nie dziwię się, że szczury były chętnie wykorzystywane jako zwierzęta laboratoryjne. Ubolewam nad tym faktem, bo badania na zwierzętach to straszny proceder. Trzeba zdecydowanie mówić NIE takim działaniom. Nie zaskakuje mnie jednak, że naukowcy chętnie pracowali na szczurach. Szybkie tempo ich życia

i błyskawiczny rozwój chorób czyni je świetnym materiałem do obserwacji dynamiki procesów chorobowych. Dodatkowo rozmnażanie zwierząt z predyspozycjami do danej jednostki chorobowej, a tu szybko można uzyskać kolejne pokolenia, sprawiło, że łatwo było przyglądać się całemu stadu osobników chorych na konkretną przypadłość. Moi pacjenci są potomkami szczurów laboratoryjnych, stąd prawdopodobnie bierze się ich skłonność do pewnych chorób. Myśmy to im uczynili. Powinno być nam wstyd. Mnie jest.

Zanim podjąłem pracę, szczury były mi obojętne. W ogóle nie zaprzątały moich myśli. Szybko się jednak okazało, że stanowią pokaźną siłę wśród domowych pupili. Mają duże grono miłośników. Poznawszy bliżej te stworzenia, przestałem się dziwić. Są bardzo mądre, dodatkowo niesamowicie towarzyskie. Mogą spokojnie iść w konkury z psem czy kotem. Zresztą moje podejście w ogóle się zmieniło, bo króliki, świnki morskie i resztę towarzystwa uważam za równie fajne, jak psy i koty. Nie można jednak zapominać o tym, co je dzieli. A często dzieli je nawet przedział wiekowy właścicieli.

Wiecie, jaki jest największy problem z małymi ssakami? Najbardziej kłopotliwe jest to, że są często zwierzątkami małych dzieci. Oczywiście odpowiedzialność za pupila zawsze spoczywa na rodzicach, a ci zwykle jako pierwsze zwierzątko dla swojego dziecka wybierają właśnie chomika. Zajmuje mało miejsca, je mało, potrzebuje mało uwagi i mało kosztuje. Idealny kandydat do bycia trenerem odpowiedzialności. Pomijając fakt, że on też ma swoje ściśle chomicze potrzeby, odczuwa ból i może chorować, to dodatkowo dziecko obarcza go więzią emocjonalną. Albo większość dzieci, bo znam takie, których niezbyt obchodzi los ich pupili. To, że chomik jest kiepskim kandydatem na pierwsze zwierzę, okazuje się, gdy taki się poważnie pochoruje i w wyniku choroby odejdzie w zaświaty. Wtedy dziecko zderza się z faktem, że wszystko jest

śmiertelne. A w przypadku małych gryzoni koniec przychodzi szybciej niż później, bo te niestety nie żyją zbyt długo. Tłumaczenie tego, że nic nie trwa wiecznie, spada na mnie, a jakże! A jak wytłumaczyć pięcioletniemu dziecku problem śmierci? Nie jest to łatwe. Ale o tym w innym miejscu tej książki.

Chomik to mało kłopotliwy domownik, ale jednocześnie bardzo skryty. Ta cecha sprawia, że tylko naprawdę spostrzegawczy opiekun zauważy wczesne objawy choroby. Najczęściej niestety trafiają do nas takie w stanie bardzo złym. Kiedyś pewna pani zadzwoniła z pytaniem, czy to normalne, że chomik nie rusza się przez trzy dni i oczy mu się zapadają. Kiedy została nakłoniona do wizyty, okazało się, że martwe chomiki tak się właśnie zachowują. Innym razem wpadł do gabinetu pan z chomikiem w pudełku, aby dowiedzieć się, czy jego pupil jeszcze żyje. Gdy oznajmiłem, że nie, ten złapał zwierzę i biegnąc w stronę drzwi, krzyczał, że musi kupić identycznego, zanim córka wróci ze szkoły.

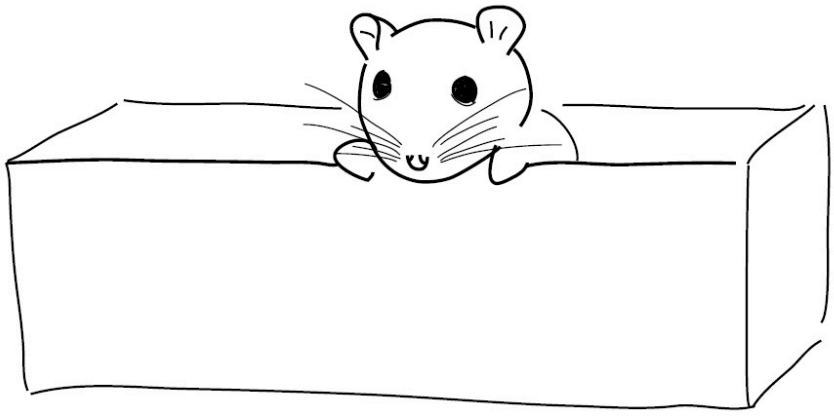

Na szczęście nie wszystkie chomiki trafiają do mnie martwe. Wiele z nich można z sukcesem leczyć, jeśli macie szczęście spotkać się

z nimi odpowiednio szybko. Ale muszę przyznać, że są one w ścisłej czołówce kłopotliwych pacjentów, tuż za niejedzącymi królikami. Zdanie to bynajmniej nie wynika z tego, że nie ma czym ich leczyć czy z faktu chorowania przez chomiki na jakieś kosmiczne przypadłości. Nie! Pierwszy wśród kłopotów to rozmiar pacjenta. Każdy lek muszę przeliczyć na mikroskopijną masę ciała, a następnie rozcieńczać, żeby móc zaaplikować. I mam szczęście, jeśli pacjentem jest ważący 100 gramów chomik syryjski. Bo gdy zła karma wraca, to w pudełku znajduje się niespełna trzydziestogramowy chomik dżungarski[38]. Ale spokojne, i takie się leczy. A nawet operuje. I tu napotykamy problem numer dwa. Operowanie zwykle polega na wycinaniu jednych rzeczy i/lub zaszywaniu innych. Jest bardzo prawdopodobnie, że po takich ingerencjach zostaną szwy. U zwierząt zawsze staramy się je tak zabezpieczyć, żeby nie mogły się one do nich dobrać i ich wygryźć. Jednak w przypadku pacjentów, którzy mają rozmiar xxxs, jest to prawie niemożliwe. Być albo nie być szwów zależy zwykle od dobrej woli chomika. Której często brakuje!

Miałem kiedyś okazję usuwać guza, a właściwie guzeczka z chomiczego ucha. Udało się go porządnie podwiązać i bez zbędnego ubytku krwi wywalić. Bardzo dumny z siebie włożyłem pacjenta do ogrzewanego pojemnika, gdzie miał dochodzić do siebie. Gdy tylko się ocknął, przystąpił do toalety. Kiedy po dziesięciu minutach do niego zajrzałem, moje serce doznało nagłego zatrzymania akcji. Cały gryzoń był umazany krwią. Okazało się, że jakimś cudem wsadził łapkę do kanału słuchowego i wyrwał szew. Jakby był psem lub kotem, czy nawet świnką morską, dostałby kołnierz elżbietański. Jednak tak małych nie mam. Nawet gdybym miał, to w jaki sposób miałbym go przymocować do chomika? Na szczęście udało się zatamować krwawienie bez konieczności kolejnego znieczulania.

Chomik kojarzy mi się z dużym stresem. Moim osobistym. Moja córka Antosia miała chomika o imieniu Bubuś. Była to mała krwiopijna bestia, na którą nie można było spojrzeć, nie mówiąc o dotykaniu. Tosia jednak go kochała i była jedyną osobą, której gryzoń pozwalał się od czasu do czasu pogłaskać. Niestety, ku wielkiej rozpaczy córki, Bubuś pewnego dnia uciekł. Znaczy się, moja pierworodna nie zamknęła klatki i zwierzę skorzystało z okazji. Przeszukaliśmy cały dom, ale go nie znaleźliśmy. Tosia chomika opłakała. Prawdopodobnie zginął w paszczy jednego z naszych kotów… Nic bardziej mylnego. Po trzech dniach, leżąc na kanapie i oglądając wieczorkiem Netflixa, znieruchomiałem, gdy nagle dobiegło moich uszu skrobanie. Pierwsza moja myśl: „mysz!", jednak szybko doszedłem do wniosku, że to uciekinier. Okazało się, że nie sprawdziliśmy całego domu, nie zajrzeliśmy za regał z książkami. Solidnie przykręcony i ściśle przylegający, mogłoby się wydawać, do ściany. Jak widać, niezbyt ściśle. Gdy go odsunąłem, zastałem siedzącego na kupie karmy, niczym smok na złocie, Bubusia. Mój widok chyba go zaskoczył. Gdy go złapałem, ugryzł mnie w palec. Przy okazji wymacałem dużego guza na boku jego ciała. Jak grom z jasnego nieba spadła na mnie myśl: będę musiał go zoperować. A jak umrze, to będę musiał okłamać córkę… znaczy się, wytłumaczyć wszystko.

Przyznam szczerze, odwlekałem ten zabieg, jak długo mogłem. W końcu moja żona wyzwała mnie od hipokrytów – tysiące razy narzekałem na takich właścicieli i chcąc nie chcąc, musiałem wziąć się do pracy. Finalnie mogłem odtrąbić wielki sukces. Chomik przeżył i nie zeżarł szwów. Hurra! Tylko że po pewnym czasie znalazłem kolejnego guza, którego nie zdążyłem usunąć…

…stan zdrowia Bubusia zaczął się pogarszać. Częściowo należało obarczyć winą wiek – chomik skończył już trzy lata, co w chomiczym świecie jest bardzo dobrym wynikiem. Jednak starość to nie choroba.

Pojawiły się duszności, drastyczny spadek masy ciała i objawy neurologiczne – m.in. napady drgawek i utrata równowagi. Walczyliśmy o niego tak długo, jak się dało. Jednak pewnego dnia stało się jasne, że nie można mu pomóc. Razem z córką podjęliśmy decyzję, że nie pozwolimy Bubusiowi cierpieć. Rodzina pożegnała najmniejszego członka, a do mnie należało wykonanie tej ostatniej posługi. Chomik odszedł w spokoju na moich dłoniach. Pierwszy raz od bardzo długiego czasu płakałem.

Kiedyś bardzo sceptycznie podchodziłem do posiadania gryzoni. Jednak praca z nimi sprawiła, że całkowicie zmieniłem sposób myślenia o nich. Mają wiele do zaoferowania. W końcu razem z moją żoną Weroniką postanowiliśmy, że zamieszka z nami świnka morska. Wyznam wam, że zawsze obiecywałem sobie, że moje zwierzęta nie będą nosić ludzkich imion. Dlaczego? Moja córka ma na imię Antonina, ale wołamy na nią Tosia. Okazało się, że obecnie co druga suczka nazywa się Tosia. Mam też pacjenta Tadeusza, imiennika mojego syna. Jakoś tak wewnętrznie nie zgadzam się z tym trendem do nadawania takich imion zwierzętom. Tymczasem nasz świnek morski został przez córkę ochrzczony Kubusiem Puchatkiem. Nikt jednak go tak nie nazywał i dla wszystkich był Kubusiem. O ironio!

A jeśli o imionach mowa, to wielu właścicieli wyniosło nazywanie zwierząt do rangi sztuki. Spora grupa pupili nosi oczywiście te klasyczne, jak Azor, Ciapek, Micia czy wspomniany w tym rozdziale Tuptuś. Są także imiona niestandardowe. Jeden z poznanych przeze mnie psów nazywa się Pan Piksel. Kiedyś, rozmawiając z jego opiekunką, nazwałem go po prostu Pikselem. Moja rozmówczyni, uprzejmie lecz stanowczo, zwróciła mi uwagę, że on nie nazywa się Piksel, ale Pan Piksel. Zrobiło mi się głupio.

Przypomniało mi się także, że przecież już kot Behemot w *Mistrzu i Małgorzacie* Bułhakowa narzekał: „Przeważnie mówi się do nich, nie

wiem czemu, „ty”, chociaż żaden kot nigdy nie pił z nikim bruderszaftu”[39]. Było mi podwójnie głupio.

A skoro już jesteśmy przy kotach. Innym razem odwiedził mnie kot o imieniu Gilbert. Zagajając rozmowę z właścicielami, zapytałem, czy imię zaczerpnęli z *Ani z Zielonego Wzgórza*. Okazało się, że nic z tych rzeczy. Chłopak klientki ma alergię na koty, która wyszła na jaw przy okazji adopcji. Przyczyną wyboru miana Gilbert było to, że mężczyźnie „leciały gile” (cytat dosłowny). Odwiedził mnie także kot Puszki, którego właściciel nie był bynajmniej miłośnikiem rosyjskiej poezji. Imię swe kocisko wzięło od wielkiej miłości do jedzenia typu konserwa.

Trochę odbiegłem od tematu moich minipacjentów. Wróćmy do naszej świnki morskiej…

Kubuś pokazał nam, że świnka morska to fajne zwierzę. Towarzyskie, wesołe, chętnie wchodzące w interakcję z otoczeniem. Dodatkowo uważam, że wydawane przez nie dźwięki należą do najbardziej uroczych w świecie zwierząt. Te wszystkie świsty, chrząkania i gwizdy są po prostu super. Kubuś pokazał nam również, że zwierzę należące do dziecka to obowiązek rodziców. Bo sprzątanie, karmienie, obcinanie pazurów i robienie wszystkiego dookoła stało się moim obowiązkiem. Poza tym gryzoń w domu to także: wszędzie bobki, zasikane panele i wszystko pogryzione. Wszystko! Kable, meble, książki, buty… Długa lista szkód. No ale gryzonie mają przecież to do siebie, że gryzą.

Kubuś był okazem zdrowia. Aż tu nagle zmniejszył mu się apetyt, stał się mało ruchliwy i smutny. Z punktu widzenia medycyny nic mu nie dolegało, sprawdzałem kilka razy. Przebadałem go z góry na dół i od głowy po zadek. Wszystko wskazywało na to, że nasza świnka cierpiała na depresję! Przecież to zwierzęta stadne, a my najwyraźniej nie potrafiliśmy zaspokoić jego potrzeb społecznych. Nie byliśmy w stanie mu zastąpić towarzystwa drugiego zwierzęcia.

Wcześniej pisałem już, że te zwierzęta źle znoszą brak kompana. Kubuś także czuł się samotny. I winny byłem ja. Biorąc pod swój dach jedną świnkę, popełniłem błąd wielu opiekunów zwierząt. Klatka, odpowiednie żywienie, opieka lekarska to nie wszystko. Niektórych gatunków po prostu nie wolno trzymać samotnie. Uderzyłem się więc w pierś, pogadałem z żoną i w ten oto sposób pojawił się w naszym domu Boczek. Takie imię wybrały nasze dzieci dla świnki morskiej numer dwa… No dobra, może je troszeczkę podpuściłem.

Towarzystwo początkowo nie przypadło Kubusiowi do gustu. Uciekał przed maluchem i zjadał na wyścigi wszystko, co znalazło się w jego zasięgu. Rodzina nam się powiększyła, a ja wpadłem w kłopoty…

Kłopoty natury zdrowotnej. Na początku tej książki znajdziecie informację, że jestem alergikiem. To prawda. Uczulają mnie pyłki roślin i roztocza kurzu domowego. Żadne badania nie wykazały u mnie alergii związanej z jakimkolwiek zwierzęciem. Mimo to moja pani doktor utrzymywała, że nie mogę wykonywać takiego zawodu, na jaki się zdecydowałem. Zwierzęta nie były tu bezpośrednim powodem tego „zakazu". Główny argument to kurz. W oborach, w kurnikach i na ciałach zwierząt. Argument według mnie kaleki, bo kurz jest tak powszechny, że musiałbym się zamknąć w szczelnym kokonie. Fakt pozostaje faktem, zwierzęta mnie nigdy nie uczulały. Do czasu. Pracy zawdzięczam uczulenie na świnkę morską. Dokładnie wiem, w którym momencie pierwszy raz wystąpiły u mnie objawy.

Czerwiec 2015, siedzę w sali zabiegowej i staram się dostać do zębów kawii domowej. Jest to drobna samiczka z ciasną jamą ustną. Niestety zęby wytworzyły słynny most. Nagle czuję, że cieknie mi z nosa. Opróżniłem go i wracam do pracy. Znów nachylam się nad zwierzęciem. Z nosa zaczyna lecieć mi raźnym strumieniem coś,

czego nie da się ładnie nazwać. Co gorsza, z oczu też mi cieknie. Poszedłem obmyć twarz i jakoś udało mi się dokończyć zabieg. Nie obyło się bez pomocy kropli do oczu, psich kropli do oczu. Na swoją obronę mam tylko tyle, że oczy piekły, jakbym wtarł sobie w spojówki sok z papryczek chili[40], i to, że takie same krople, od tego samego producenta, pod praktycznie tą samą nazwą są dostępne dla ludzi. Te dla psów mają jedynie dopisek „vet". Nie należy jednak stosować leków dla zwierząt u ludzi. Nie bierzcie ze mnie przykładu. Później, gdy oddawałem zwierzę właścicielom, trzymałem je na rękach. Tam, gdzie goła skóra stykała się z ciałem zwierzęcia, pojawiła się pokrzywka. Swędziało jak diabli.

Tak oto uczuliłem się na świnki morskie. Mając dwie u siebie w domu. Początkowo nie zauważałem problemu z Kubusiem i Boczkiem. Stopniowo jednak objawy alergii się nasilały. W końcu nie potrzebowałem bezpośredniego kontaktu, aby cierpieć z powodu nieustającego kataru. Później pojawiły się silne duszności. Nie mogłem funkcjonować we własnym domu, a żadne leki nie pomagały. Stanąłem przed wyborem: albo chłopaki zmienią lokum, albo ja się uduszę. Z pomocą przyszedł mi popularny portal społecznościowy, na którym bardzo szybko znalazłem odpowiednią rodzinę zastępczą dla naszych zwierzaków. Kubuś i Boczek trafili do fajnego domu, gdzie żyją w towarzystwie innych świnek. Pewnie wiele osób powie, że alergia to nie powód, żeby oddawać zwierzęta do adopcji. Ja jednak przechodziłem katusze przez długie miesiące. A zdrowie mam tylko jedno. Poza tym nie wyrzuciłem ich na śmietnik, tylko znalazłem im kochający dom. Jest mi przykro, że nie ma ich już z nami, brakuje mi powitalnych gwizdów i szaleńczych gonitw po mieszkaniu. Wiem jednak, że maluchy mają się dobrze.

Gdy się tak dobrze zastanowić, króliki i gryzonie dały mi bardzo wiele. Przede wszystkim, kiedy stawiałem pierwsze samodzielne kroki w weterynarii, dały mi lekcję tego, jak różnorodna jest biologia.

Z pozoru podobne stworzenia wymagają zupełnie odmiennego podejścia. Ważne okazało się uświadomienie sobie, że nie można przenosić na nie wiedzy medycznej dotyczącej psa czy kota. Nauczyły mnie również, że nawet najmniejsze stworzenie zasługuje na miłość, troskę i w razie konieczności opiekę lekarską. Stały się bodźcem do szukania i poszerzania wiedzy, której nie miałem zamiaru zgłębiać. Bo przecież nie chciałem leczyć małych, puchatych stworzeń. Minęły lata i coś, co wywoływało u mnie dreszcz na plecach, teraz sprawia mi przyjemność. Rodzi nowe wyzwania. Raz wygrywam, innym razem muszę odpuścić, ale z małymi roślinożercami na pewno nie można się nudzić.

[34] Biolodzy twierdzą, że to zwierzę nie ma nic wspólnego ze świnką, a już na pewno nie morską, bo pochodzi z niebotycznych Andów. Nie mnie się kłócić z naukowcami, jednak stara nazwa, moim zdaniem, jest lepsza dla ucha.

[35] Gdy myślimy o zębach, umysł podsuwa nam obraz zęba ludzkiego, który składa się z korony (tego, co widzimy, gdy otworzymy usta), korzenia tkwiącego w zębodole i szyjki pomiędzy nimi. Zęby królików i gryzoni składają się z długiej korony i znajdującego się na dnie zębodołu wierzchołka, który odpowiada za stały wzrost zęba.

[36] Oczywiście problem „przerastania" zębów jest znacznie bardziej złożony. Zła dieta nie wyczerpuje tematu, a zaledwie jest jego znikomą częścią. Jeśli jesteście ciekawi i chcecie dowiedzieć się więcej, musicie sięgnąć po literaturę fachową.

[37] Porażenie to zniesienie funkcji nerwowych. W wyniku np. urazu dochodzi do przerwania przewodnictwa w nerwach odpowiedzialnych za ruch danego odcinka ciała – w tym wypadku kończyn.

[38] Syryjski? Dżungarski? Chomik to chomik! Nie, nieprawda. To tak, jakby powiedzieć, że żółw to żółw. Jest wiele gatunków chomików. Ok. 300! Kilka z nich hoduje się jako zwierzęta domowe. Dwa, które tu wymieniłem, są moimi najczęstszymi pacjentami.

[39] M. Bułhakow, *Mistrz i Małgorzata*, tłum. A. Drawicz, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2020, s. 377.

[40] Lubię ostre potrawy. Kiedyś kroiłem papryczki habanero, trzymając je gołymi dłońmi. Umyłem ręce po tej czynności. Niestety okazuje się, że to niewiele pomaga. Upłynęła jakaś godzina, a ja poczułem chęć potarcia oka, co też zrobiłem. Następna godzina upłynęła mi pod znakiem płaczu i nic niedających prób

przemywania spojówek wodą. Pamiętajcie! Ostre papryczki kroi się w rękawiczkach!

Rozdział IX
Koty – koty są miłe?

W biblioteczce moich dzieci znajduje się książka Lotty Olsson pod tytułem *Dziwne zwierzęta*. Mrówkojad – jeden z głównych bohaterów – martwi się swoją innością i organizuje konkurs mający wyłonić najdziwniejsze zwierzę. Co ciekawe, wśród zgłoszeń nie znalazł się kot. Żuk gnojarz, mrównik, świnka morska. Zgłoszeń było wiele. Kot jednak nie wyraził chęci udziału w konkursie. A moim zdaniem są one wśród pacjentów największymi bzikami. I proszę się na mnie nie obrażać. Ja bardzo lubię koty. Są puchate, mruczą i niekiedy są miłe. Co nie zmienia faktu, że są dziwne. Czasem bardzo. Choć może to określenie nie oddaje do końca tego, co chcę powiedzieć. Mam na myśli to, że taki kot chodzi swoimi drogami i niby jest naszym kotem, ale całym swoim ja pokazuje, że właściwie to wyświadcza nam przysługę, że z nami przebywa. Jak żadne inne zwierzę potrafi manifestować swoje niezadowolenie, kiedy „uchybimy" jego czci. W końcu kot wydaje się dziwny w porównaniu na przykład z psem. Mimo że żyje obok ludzi już przeszło 9000 lat[41], nie udało nam się go zdominować. Wszystko wskazuje na to, że jest dokładnie odwrotnie. Dla mnie osobiście koty są dziwne. I ta dziwność to nie obelga! Raczej wyraz zdumienia nad kocią naturą. Koty, jak mało kto, zasługują na cały rozdział dla siebie.

Nie jestem kociarzem. Ale psiarzem też nie. Takie podziały do mnie nie trafiają. Nie mogę być tym i tym? Mimo że nie lubię pająków (którym nigdy nie robię krzywdy!), widzę się w roli zwierzoluba. Nie będę się przecież ograniczał do jednego gatunku. O Klusce wspominam w tej książce kilka razy. Teraz pora, aby przedstawić mieszkające z nami koty. Dlaczego nie piszę „moje”? Mówią, że pies ma właścicieli, a kot służących. Kryje się w tym ziarnko prawdy. Koty mieszkające w moim domu najbardziej są swoje, a nie czyjeś. Są dwa. Oba płci żeńskiej i oba czarno-
-białe. Niestety, z jakiegoś powodu nie pałają do mnie miłością, mimo że jednemu z nich uratowałem życie…

Mała, czarno-biała kotka jest jedynym zwierzęciem, które przyniosłem z pracy. Było to jeszcze za czasów studiów. Jej historia zaczyna się smutno. Kicia (która miała być Amareną, co się jednak nie przyjęło, bo i tak ma ksywę Kuternoga), kiedy miała cztery miesiące, złamała przednią lewą kończynę. Lekarz założył opatrunek gipsowy i kazał się pokazać za dwa dni, aby ocenić, czy coś nie puchnie albo się nie zsuwa. Jej ówcześni właściciele zamiast otoczyć ją opieką, zamknęli ją w garażu na dwa tygodnie i pojechali na wakacje. Gdy wrócili, opatrunku już nie było, a kocia łapa przypominała pomidora, który poleżał przez tydzień na słońcu. Czerwona, cuchnąca i cieknąca. Polecieli do weterynarza, a ten im mówi, że łapę trzeba amputować. Ci w krzyk, że leczyć nie będą, tylko chcą poddać kota eutanazji. I tu na scenie pojawiam się ja: znacznie młodszy, ze znacznie gęstszym i dłuższym kucykiem oraz z liczniejszymi pryszczami. „Po moim trupie!” – wołam. „Ja zapłacę za amputacje i znajdę jej dom”. Zabieg się udał. Kot stopniowo odzyskiwał sprawność. Jakiś miesiąc po zdarzeniu spotkałem ekswłaściciela Kici. Pyta, jak jego kot. Gdy dowiedział się, że świetnie, oznajmił, że chce go z powrotem. Wybuchnąłem śmiechem i pokazałem mu… ten, no… obelżywy gest. Nie było to ani

konieczne, ani dojrzałe, ale pomyślcie tylko: doprowadzili do wielkiego cierpienia zwierzęcia, a następnie po prostu chcieli się go pozbyć. Jak jakiegoś niepotrzebnego grata. A kiedy kot został naprawiony, chcieliby go odzyskać. Nie ma mowy! Ja znajdę mu nowy dom…

Wiecie co? Nie znalazłem. Kot zadomowił się u nas na dobre. W dodatku zapałał wielką miłością do mojej babci. Ona już tak miała, że wszystkie zwierzęta do niej lgnęły. Pewnie przez zwyczaj dogadzania im smakołykami. Babcia szczególnie kochała koty. Z wzajemnością. Nawet największy agresor pozwalał jej się brać na kolana i głaskać. Zresztą szczekające psy także uspokajały się, gdy się do nich odezwała. Niektórzy ludzie mają w sobie to coś. Myślę, że ciepłe uczucia, jakimi darzę czworonogi, zawdzięczam w znacznej mierze także jej. I tak, przez mój poryw serca, mamy w domu jednego i trzy czwarte kota. Dowiedziałem się również, co znaczy kocia wdzięczność. Znaczy się, że jej nie ma, bo Kicia, która w tej chwili ma już 10 lat, boi się mnie jak ognia. Mimo że nigdy nie wyrządziłem jej krzywdy. A drugi kot?

Drugi kot przyjechał do Polski na osi wielkiej ciężarówki, nie wiadomo skąd. Micia mieszkała przez jakiś czas z moim kuzynem, aż w końcu trafiła w opiekuńcze ramiona wspomnianej wyżej babci.

Micia jest bardzo sprawiedliwym zwierzęciem. Nie lubi wszystkich tak samo. Nie daje się głaskać, ba, nawet patrzeć na siebie nie pozwala. Wyjątek robiła dla babci, którą także potrafiła od czasu do czasu podrapać. Człowiek musi znać swoje miejsce.

Micia ma trudny charakter i nikt nigdy nie powiedziałby, że kiedyś złagodnieje. Tymczasem po śmierci babci coś się zmieniło. Gdy zabrakło jedynej osoby, z którą kotka żyła w dobrej komitywie, zwierzę wyraźnie poczuło pustkę. I nie, nie powiedziała nam tego. Wyraźnie jednak zaczęła szukać towarzystwa. Przez kilka dni co rusz wbiegała do pokoju babci, sprawdzając, czy kobieta wróciła. Po

jakimś tygodniu stwierdziła, że chyba trzeba zacząć zabiegać o względy kogoś innego. Padło na moją mamę. Nadmienię, że wcześniej, przez jakieś 14 lat, nikt poza babcią nie dostąpił zaszczytu głaskania Mici. Obecnie kotka chodzi za moją mamą, przesiaduje pod drzwiami łazienki, kiedy ta jest w środku, ociera się o jej nogi i wskakuje na kolana. Ostatnio pozwala się nawet głaskać moim dzieciom!

Można spotkać się z opinią, że koty traktują nas przedmiotowo i nas nie lubią. Obserwując jednak przemianę Mici, skłaniam się ku temu, że to błędne twierdzenie. Koty może bywają humorzaste, mimo to cenią sobie towarzystwo ludzi.

Pracując z kotami czy po prostu z nimi żyjąc, człowiek szybko sobie uświadamia, jak nerwowe są te zwierzęta. Jak łatwo je przestraszyć i jak bardzo są wrażliwe na stres. Nie odpowiem tu na pytanie, dlaczego tak się dzieje. Zatrzymajmy się chwilę przy temacie kociego stresu. Z mojego punktu widzenia jest on niezwykle istotny. Jeśli macie kota, wiedza na jego temat również wam się przyda.

Kot ma wybujałe ego, dlatego wszystko, co w niego godzi, wywołuje u niego stres. Wydaje się także, iż żyje w przekonaniu, że połowa rzeczy istniejących na świecie chce kociej krzywdy, dlatego też odczuwa stałe napięcie. Niewiele mu potrzeba, żeby się piekielnie zestresować. A właściciel się cały czas stresuje, że się mu kot będzie stresował. A jeśli się do tej pory nie stresował, to prędzej czy później zacznie. Można by powiedzieć, że nadużyłem w tym akapicie słowa „stres”, ale uczyniłem to po to, żebyście sobie uświadomili, że kot jest na niego bardzo podatny. Jak bardzo? Bardzo.

Nerwowość Mruczków sprawia masę problemów. Może na przykład doprowadzić do tego, że kota nie uda się zbadać…

W szczycie sezonu ogórkowego pewien jegomość przyniósł do gabinetu transporter. A w nim kota. Ale nie jakiegoś tam domowego i potulnego. Pan odłowił go z działki i przyniósł, jak to ujął, na przegląd. Zanim zdążyłem zadać jakiekolwiek pytanie, totalnie bezrefleksyjnie otworzył pojemnik… Naukowcy mówią, że teleportacja z punktu widzenia fizyki jest niemożliwa. A tu proszę. W jednej chwili mieliśmy kota na stole, aby w następnej znalazł się na klimatyzatorze. Jakieś trzy i pół metra nad ziemią. Nie wiem, jak to zrobił! To był moment. Usadowiwszy się pod sufitem, nie miał zamiaru zejść. Parskał i atakował wszystko dookoła. Był wyraźnie zirytowany. W rezultacie pan stał na krześle pod klimatyzatorem z otwartą klatką, a ja próbowałem strącić kota miotłą do środka. Zajęło nam to trochę czasu.

Innym razem na stół trafiła skulona czarna kotka, która miała rzekomo chore uszy. Pozwoliła się pogłaskać i pooglądać z zewnątrz. Gdy jednak spróbowałem zajrzeć otoskopem, zamieniła się we wspominaną już „maszynkę do mielenia mięsa". Atakowała wszystko, co zbliżyło się do niej na odległość jednego metra. W międzyczasie posikała się na stół i zrobiła wielką, cuchnącą stres kupę. Finalnie wczołgała się pod leżącą na stole ligninę i zajęła się warczeniem na wszechświat. Warczała niczym obudzony niedźwiedź w środku zimy! Jak zbadać takiego pacjenta? Właściciel nie miał zamiaru go dotykać, za to cały czas ponaglał mnie, żebym go zbadał. Jakoś nie mogliśmy dojść do porozumienia. Bo ja bym zbadał, ale ktoś tego małego demona musi trzymać. A właściciel nie chciał. Czas płynął. Była 18.30, a ja bardzo chciałem wyjść o 20.00 do domu. Postanowiłem wprowadzić kota w stan sedacji, czyli zastosować tak zwanego głupiego jasia. Podałem go więc i zawinąłem kota w ręcznikowe burrito razem z ligniną, pod którą siedział. Kot znów się posikał i zdefekował na stół. Jak to możliwe, że tyle się mieści w jednej małej kotce?! Ale zastrzyk udało się zrobić. W teorii miałem 15 minut, aż zacznie działać. Upłynął kwadrans, minął kolejny. W temacie ewentualnych możliwości zbadania kota nic się nie zmieniło. Wykonałem więc kolejny zastrzyk. Kotka zasnęła o 19.55. W pełnym znieczuleniu ogólnym mogłem finalnie stwierdzić, że uszy są tylko brudne. Po to ta cała afera.

Niektóre koty mają kłopoty z zaśnięciem po podaniu preparatów znieczulających i przodują w tym te zdziczałe, łapane w swoim „naturalnym"[42] środowisku i przynoszone do lecznic. Nie oznacza to jednak, że tylko one będą się opornie poddawały narkozie. Problem może dotyczyć każdego kota. Opisywana pacjentka jest w 100% domowym kotem, a na zewnątrz wychodzi tylko do lekarza, i to w transporterze. Mimo to zachowała się niczym urodzony na swobodzie, zdziczały kot.

Silny stres u tego gatunku sprawia, że koty mogą być oporne na znieczulanie. Bez względu na to, gdzie żyją. Pamiętam jednego takiego, który (wiem to z relacji właściciela) zasnął narkotycznym snem trzy godziny po powrocie z przychodni. A w gabinecie musieliśmy odstąpić od czynności i wydać pacjenta w naszej klatce, gdyż nie było możliwości podjęcia jakichkolwiek działań.

Nie raz, nie dwa zdarzało mi się po prostu rezygnować z badania, gdyż pacjent tak silnie się denerwował, że dalsze prowadzenie czynności lekarskich skończyłoby się tragicznie. Kot wzburzony emocjonalnie może zacząć się dusić lub stracić przytomność. Albo umrzeć na stole. W przypadku tych zwierząt lekarz musi wiedzieć, kiedy odpuścić. To nie pies, do niczego go nie zmusicie. I wcale nie trzeba kota obdzierać ze skóry, żeby się zdenerwował.

Miałem taką pacjentkę, która zmagała się z przewlekłą niewydolnością nerek. Po długiej walce było stabilnie. Parametry nerkowe utrzymywały się na niezłym poziomie. Jednak aby mieć dobre samopoczucie, wymagała cotygodniowego wlewu podskórnego[43]. Właściwie była to już dla niej rutyna. Odwiedzała nas regularnie od ponad pół roku. Jednak na jednej z wizyt wydarzyło się coś niespodziewanego. Gawędziliśmy z właścicielką, czekając, aż odpowiednia ilość płynu zejdzie z butelki. Jak zawsze. Nagle kot zaczął się szarpać, dyszeć, zrobił się siny i zemdlał. Musiałem przerwać zabieg, a zwierzę wylądowało pod tlenem. Po kilkunastu minutach wszystko wróciło do normy. Za tydzień sytuacja się powtórzyła, z tą różnicą, że kotka odjechała już w poczekalni. Pomiędzy wizytami zachowywała się normalnie. Okazało się, że wizyty przestały jej odpowiadać, a stres wpędzał ją w stan wstrząsu. Wlewy były jednak wciąż konieczne. Na szczęście dla kota właściciele byli bardzo pojętni i dzięki moim wskazówkom zaczęli wykonywać tę czynność samodzielnie w domu, a sytuacja więcej się nie powtórzyła.

Często jest tak, że zwierzęta cierpią z powodu całego zespołu chorób. Koty „nerkowe” miewają nierzadko wtórne problemy kardiologiczne. Dlatego warto takie zwierzę kontrolować również pod tym kątem. Echo serca wskaże nam ewentualne problemy z tym narządem. Należy rozważyć to badanie zwłaszcza w takiej sytuacji, jaką opisałem wyżej. Omdlenia mogą być bowiem objawem niewydolności układu krążenia.

Tak zwane nerwy wpływają także na wyniki badań. Załóżmy, że wasz kot jest całkiem zdrowy. Robicie okresowe, kontrolne badanie krwi. Dostajecie wyniki, a tam glukoza przekroczona dwukrotnie! Pierwsza myśl to zwykle: „O nie! Ma cukrzycę!”. Spokojnie, bez paniki, prawdopodobnie nie ma. Myślę, że ustaliliśmy już, że kot jest podatny na stres. Ten nie jest natomiast bolączką tylko i wyłącznie natury duchowej. Stan określany mianem zdenerwowania jest regulowany przez organizm i ma swoje biochemiczne podłoże. Oczywiście gdy jesteśmy zdenerwowani, działa adrenalina, czyli hormon ucieczki. Oprócz niej jednak nadnercza wyrzucają w sytuacji stresowej duże ilości kortyzolu. Kortyzol wzmaga glukoneogenezę, - czyli tworzenie węglowodanów (cukrów) z substancji nie-cukrowcowych, takich jak na przykład aminokwasy. Podejrzewa się, że w sytuacji nagłego stresu u kotów to właśnie on jest odpowiedzialny za wzrost stężenia glukozy we krwi. Z tego powodu, by potwierdzić cukrzycę u tego gatunku, wykorzystuje się inną substancję – fruktozaminę. Jej stężenie nie zmienia się w sytuacjach trudnych dla kota.

Stres może być także bezpośrednią przyczyną dolegliwości. Jedną z nich stanowi choroba dolnych dróg moczowych kotów (FLUTD od ang. *feline lower urinary tract disease*), która jest prawdziwą zmorą tych zwierząt. Powstały setki, jeśli nie tysiące publikacji na ten temat. Naukowcy spierają się co do jednej podstawowej przyczyny rozwoju tej przypadłości. Wydaje się jednak, że to właśnie stres

bywa najczęściej inicjatorem schorzenia. Najpierw krótko wyjaśnijmy, co to takiego FLUTD. Jest to zaburzenie będące zespołem objawów, takich jak krwiomocz, bolesne oddawanie moczu, trudności w jego oddawaniu, częstomocz, oddawanie moczu poza kuwetą oraz całkowita bądź częściowa niedrożność cewki moczowej. Mogą one występować w różnych kombinacjach i w różnym nasileniu. Chory kot nie musi mieć ich wszystkich. Przyczyn FLUTD może być wiele, dlatego taka diagnoza jest bardzo ogólnikowa. To tak, jakby powiedzieć, że kot wymiotuje. Nie jest to rozpoznanie, ale stwierdzenie objawów[44]. Nie ulega jednak wątpliwości, że w przypadku wielu pacjentów chorobę zainicjowało silne wzburzenie emocjonalne.

Silne wzburzenie emocjonalne jest określeniem bardzo subiektywnym. W kocim świecie wystarczy to, że na ulicy odbywają się roboty drogowe albo pies sąsiada zaszczekał na klatce. Lub urodziło się właścicielom dziecko. Nam się wydaje, że to drobnostka. Kot może mieć zupełnie odmienne zdanie. Nawet kwestia porządków domowych bywa sporna…

Pewna pani miała kota. Kot liczył sobie 16 wiosen i był takim zwierzakiem w typie kota perskiego, czytaj: kudłaty, z płaską twarzą i wyłupiastymi oczami. Gdy był mały kociakiem, bardzo bał się odkurzacza. Z tego powodu rodzina obywała się bez dywanów i bez tego jakże strasznego urządzenia. Gdy kotu strzeliła szesnastka, pani kupiła sobie mały dywanik. Do dywanika nabyła też mały odkurzacz. Odpalenie maszyny poskutkowało tym, że kot w popłochu uciekł pod komodę. Wyciągnięto go stamtąd po trzech dniach i w stanie, delikatnie to ujmując, złym przywieziono do przychodni. Okazało się, że koci brzuch był wypełniony pęcherzem wielkości grejpfruta – zwierzę przez trzy dni nie oddawało moczu. Rzeczony pęcherz moczowy był twardy jak kamień, strasznie bolesny i bez możliwości opróżnienia. Pacjent trafił do mnie w ciężkim stanie i nie nadawał się

do
jakiegokolwiek znieczulenia, co praktycznie uniemożliwiało założenie cewnika. Kot mimo złej kondycji bronił się przed tym, jak mógł. W sumie mu się nie dziwę. Dlatego trzeba było przeprowadzić punkcję pęcherza, czyli usunąć mocz igłą i strzykawką. To, co udało mi się pobrać z pęcherza, przypominało bardziej czerwony barszcz niż znane nam wszystkim siki.

Doprowadzanie kota do stanu, w którym swobodnie i samodzielnie oddawał mocz, zajęło dobrych kilka dni. Był intensywnie leczony przez kilka tygodni. Na szczęście wrócił do względnej formy, jednak z konsekwencjami incydentu walczył do końca swojego życia. A nic wielkiego się nie stało. Ot, kot się zdenerwował.

Koty są dziwne. Nawet katar mają dziwny. Bo dla nas sprawa jest oczywista. Nieleczony trwa tydzień, a leczony siedem dni. Proste. Gdy mówię właścicielom moich pacjentów: „Wasz kot ma koci katar", u osób, które nie miały dotychczas do czynienia z tą chorobą, widzę ulgę na twarzy. Ich miny wołają: „Alleluja! To tylko katar". Niestety w kocim świecie to AŻ KATAR. Jest to choroba polietiologiczna, co oznacza tyle, że może wywoływać ją wiele patogenów. Zarówno wirusów, jak i bakterii. I nie musi się objawiać wyciekiem z nosa. Koci katar może powodować problemy w jamie ustnej i gardle czy też atakować spojówki i oczy. Wiele kociaków traci wzrok w wyniku przebycia tej choroby. U niektórych konieczne jest usunięcie gałki ocznej. Katar ten jest też strasznie zaraźliwy.

Przykład. Jedna z klientek miała 15 kotów. Miała również sąsiadkę, właścicielkę jednego kota, która nie posiadała transportera. Właścicielka dużego stada była miłą osobą, dlatego pożyczyła swój sąsiadce w potrzebie. Problem w tym, że kot tej ostatniej miał katar. Pojechał do przychodni, dojście do zdrowia nie zajęło mu wiele czasu, ale… Przez transporter sprzedał koci katar wszystkim 15 kotom. Zaznaczam, że nigdy się z nimi nie spotkał. Niestety choroba

ta nie szerzy się tylko przy okazji bezpośrednich kontaktów. Wystarczy, że pójdziecie pogłaskać chorego kota i wrócicie do domu, a już macie szansę na choróbsko. Nawet jeśli wasz kot żyje w sterylnych warunkach i nigdy nie opuścił mieszkania. To zjawisko często budzi konsternację u moich klientów. Bo jak to tak? Kot nie wychodzi, a chorobę zakaźną złapał? Ano złapał. Można przynieść do domu nawet na butach.

Kociego kataru nie leczy się tak łatwo, jak tego ludzkiego. Właściwie to może się on skończyć na pięć sposobów:

1. Można przechorować i być zdrowym.
2. Można przechorować, ale zostać bezobjawowym nosicielem, który będzie zarażał inne koty.
3. Można przechorować, a wirusy wejdą w tak zwaną latencję = pochowają się po komórkach i będą wracać przy każdym spadku odporności.
4. Można chorować przewlekle i w wyniku zmian w obrębie małżowin nosowych mieć problem z nosem przez całe życie.
5. Można zejść z tego świata w wyniku ciężkiego przebiegu choroby.

A to „tylko katar”!

Kot na stałe zadomowił się w naszych mieszkaniach, a nawet sercach. Są to zwierzęta bardzo inteligentne i sprytne. Mają zdecydowanie własne zdanie i chadzają swoimi drogami. Nadajemy im też przymioty charakterystyczne dla ludzi. Niestety mimo całej tej naszej sympatii najczęściej słyszę, że koty są złośliwe. Wysikał nam się na buty. Złośliwie. Zwymiotował na dywan. Złośliwie. Kupa na środku przedpokoju. Złośliwe zwierzę. Nie, moi drodzy. Koty nie bywają złośliwe. Według słownika PWN osobnik złośliwy to taki, który lubi sprawiać innym przykrość. Idąc tym torem, musielibyśmy uznać, że za tymi niepożądanymi przez nas kocimi zachowaniami kryje się czerpanie satysfakcji z ich popełniania. A zwierzęta nie

bywają złośliwe. One sygnalizują w ten sposób, że coś im nie pasuje. Mimo to wielu ludzi próbuje mi udowodnić, że jest inaczej…

Mój znajomy opowiadał mi kiedyś, że jego kot jest złośliwy. Gdy właściciel wraca do domu po pobycie w delegacji, zawsze poświęca czas na zabawę ze zwierzęciem. Co otrzymuje w zamian? Niewdzięczność. Gdy właściciel jest w domu, zwierzę sika poza kuwetą i wymiotuje, gdzie popadnie. Kiedy natomiast mija weekend i zbliża się pora na powrót do pracy, kot nagle zdrowieje. Dziwne, prawda? Przestaje być dziwne, kiedy przeanalizujemy cotygodniowy powrót właściciela marnotrawnego i tak zwaną „zabawę". Kot żyje przez cały tydzień nieniepokojony przez nikogo, pod czułą opieką właścicielki. W piątek wraca hałaśliwy właściciel, który żąda, aby wspomniany kot traktował go jak miłość swojego życia. Dodatkowo człowiek ten funduje mu zabawę polegającą na dzikim gonieniu się po całym mieszkaniu. Znaczy się właściciel gania, a biedne zwierzę ucieka w popłochu. Kot jest wrażliwy na zmiany. Ten cotygodniowy rytuał doprowadza do stresu, który manifestuje się sikaniem poza kuwetą i wymiotami. Kocisko nie jest złośliwe. Kocisko jest straszone przez człowieka, który winien był otoczyć je opieką i obdarzyć zrozumieniem.

Jeśli macie kota i go znacie (co wcale nie idzie w parze, uwierzcie mi), wiecie, że jego dzień wygląda zawsze tak samo. Oczywiście z niewielkimi odchyleniami, ale można dostrzec pewną rutynę. Koty ją sobie bardzo cenią. Jeśli w rutynie coś się zmienia, świadczy to o tym, że gdzieś mamy problem. Większość z przejawów kociej „złośliwości" ma podłoże zdrowotne bądź behawioralne. Jeżeli wasze zwierzę zaczyna brudzić w mieszkaniu, a wcześniej korzystało z kuwety, weźcie je do lekarza. Gdy zawsze was witało i żądało pieszczot, a teraz się chowa, weźcie je do lekarza. Każda zmiana w zachowaniu ma być dla was alarmem. Nie dopatrujcie się w niej abstrakcyjnego zachowania, jakim jest złośliwość. To po prostu

wołanie o pomoc. Niekiedy to opiekun jest problemem. „Złośliwy kot" z mojej historii przestał być złośliwy, gdy zmienił właścicieli.

Koty domowe można podzielić na koty niewychodzące, wychodzące i wolno żyjące. Koty niewychodzące to te, które całe życie spędzają w domu. Te, które mają wolierę, osiatkowany balkon lub wychodzą na smyczy, także można tu zakwalifikować. Bo kot niewychodzący to taki, który żyje w środowisku kontrolowanym przez właściciela i nie ma swobody w poruszaniu się na zewnątrz. Natomiast te wychodzące – jak nazwa wskazuje – bywają w świecie zewnętrznym. Na własną rękę. To znaczy łapę. Okresowo lub stale bytują poza domem i mają pełną swobodę działania. Poza tym mają także właściciela, który w większym lub mniejszym stopniu zaspokaja jego potrzeby. Bo można być kotem wychodzącym, ale stołować się, odpoczywać i korzystać z kuwety w domu. A można być takim, który w domu jest gościem, okazjonalnie oglądanym przez opiekuna przy okazji takich wizyt. Kot wolno żyjący od wychodzącego różni się tym, że człowiek ingeruje w jego życie w sposób niewielki lub wcale. Są to zwierzęta bezdomne, często zdziczałe. Niektóre mają szczęście i trafiają pod opiekę fundacji lub nawet osób prywatnych. Zyskują wtedy szansę na stałe posiłki, budkę do schronienia się przed deszczem i zimnem czy opiekę weterynaryjną. Część z nich jest łapana i trafia do nowych domów. Inne są poddawane kastracji i wypuszcza się je na wolność. Nie każdy ma jednak szczęście. Wiele kotów musi sobie jakoś radzić.

Czy z punktu widzenia lekarza weterynarii fakt wychodzenia czy niewychodzenia ma znaczenie? Oczywiście, że tak. To, w jaki sposób zwierzę jest utrzymywane, wpływa na jego zdrowie. To, że zwierzę nie ma możliwości wychodzenia na zewnątrz, nie oznacza, że nigdy nie zachoruje. Bycie domowym rezydentem sprzyja na przykład nadwadze, która może doprowadzić do otyłości. Większość niewychodzących kotów to zwierzęta kastrowane, które z jedzenia

uczyniły jedyny sens swojego życia. Zresztą co innego mają do roboty poza jedzeniem i byciem ozdobą mieszkania? Wielu właścicieli nie zdaje sobie sprawy, że ich zwierzęta się nudzą, a chwili biegania po mieszkaniu nie można określić mianem sportu. Kot zamknięty w czterech ścianach nie ma zbyt wielu powodów do ruchu. Stąd wśród nich panuje istna plaga otyłości. Wydaje się, że również wspomniany wyżej FLUTD częściej atakuje domatorów. Wysnuto teorię, że wpływają na to regularne, ale nie do końca bliskie naturze posiłki. Wielu właścicieli karmi kota dwa razy dziennie, za to porządnie, co należy uznać za błędne postępowanie. Natomiast koty polujące zapewniają sobie wiele małych posiłków. Jakie to ma znaczenie? Dla kondycji dróg moczowych nie bez znaczenia jest pH moczu. U kota ma ono odczyn bardzo kwaśny, i dobrze, bo w takim środowisku bakterie źle się czują i nie wytrąca się większość kryształów. Po posiłku dochodzi do zakwaszania moczu m.in. na skutek wchłaniania anionów chloru pochodzących z soku żołądkowego. Efekt zakwaszający nie utrzymuje się jednak wiecznie. Im częstsze posiłki, tym łatwiej organizmowi utrzymać kwaśne środowisko dróg moczowych. Stąd przewaga kotów polujących nad karmionymi obficie, ale rzadko. Oczywiście wielu opiekunów dba nie tylko o to, co kot je, ale także kiedy i w jakich ilościach. Nawet w domowych pieleszach można sprostać wymaganiom kociej fizjologii i to wcale nie znaczy, że kot musi polować!

Koty niewychodzące żyją w stałym, niezmieniającym się specjalnie środowisku. Wydaje się więc, że mogą być bardziej narażone na – wałkowany tu tak intensywnie – stres. Oczywiście nie musi to być regułą dla każdego kiciusia, jednak osobiście częściej mam do czynienia z konsekwencjami stresu właśnie u takich kotów. Nie bez znaczenia jest tu również kwestia terytorializmu u przedstawicieli gatunku *Felis catus*[45]. Bywa on niezłą zagwozdką dla właściciela, który stwierdza, że koniecznie musi mieć drugiego kota. Oczywiście

po to, żeby ten pierwszy nie czuł się samotny. Biegnie więc do schroniska albo do innego miejsca, skąd bierze się koty, i cały w skowronkach przygarnia kolejnego milusińskiego. A w domu spotyka się ze stanowczym „NIE!” ze strony rezydenta. Obraza, fukanie, ataki, sikanie do łóżka. Wszystko to może być wyrazem lęku związanego z pojawieniem się potencjalnie wrogiego kota. Niestety, moi drodzy, kot nie musi być szczęśliwy z powodu tego, że umieszczacie na jego terytorium kolejnego osobnika. Bywa tak, że po początkowych spięciach sytuacja się normuje, a nawet kończy obustronną sympatią. Czasem jednak jest wręcz odwrotnie. I nie jest prawdą, że koty w końcu się dogadają. Na pewno nie same, nie bez wysiłku opiekuna. Proces wprowadzania nowego kota do rodziny powinien być wdrażany stopniowo i w odpowiedni sposób. Jeśli ktoś nie potrafi tego zrobić, może skorzystać z pomocy bardziej doświadczonego opiekuna lub kociego behawiorysty. Nie należy jednak zakładać, że minie okres buntu i zwierzęta się pokochają. Nasze koty nie darzą się sympatią. Owszem, niekiedy śpią razem lub wspólnie próbują upolować psa, ale przez większość czasu traktują się z chłodnym dystansem. Niekiedy muszą sobie coś wyjaśnić za pomocą pazurów. Na szczęście w dużym domu mają się gdzie omijać.

Zdarza się również tak, że pojawienie się nowego kota prowadzi do potężnej eskalacji stresu u dotychczasowego rezydenta. Wiemy już, że stres to dla tych zwierząt nie tylko dyskomfort psychiczny, ale także realne zagrożenie dla zdrowia. Czasem, mimo wykorzystania wszelkich dostępnych możliwości, nie udaje się załagodzić sytuacji i stajemy przed wyborem: zdrowie pierwszego kota lub spełnienie naszych marzeń o powiększeniu kociego stada. Niekiedy trzeba się pogodzić z tym, że nasz kot jest jedynakiem, a kandydatowi na nowego członka stada musimy poszukać nowego domu. A czasem bywa tak, że koty dogadują się bez większej draki już na samym

początku. Wydaje się również, że kotom wychodzącym łatwiej jest znieść obecność innego przedstawiciela swojego gatunku. Na zewnątrz istnieje więcej możliwości omijania się niż w domu, zwłaszcza gdy zwierzęta nie darzą się ciepłym uczuciem.

Mimo że życie kota wychodzącego można bez wątpienia uznać za ciekawsze, moim zdaniem jest obarczone zbyt wielkim ryzykiem, żeby je rekomendować. Owszem, zwierzę udziela się towarzysko, cieszy się otwartą przestrzenią i nieskrępowaną wolnością, ale…

Kot wychodzący jest narażony na wiele niedogodności. Zdecydowanie częściej zapada na choroby zakaźne. Nie powinno to nikogo dziwić. Wiele z tych chorób łatwiej złapać, gdy dochodzi do spotkania z innymi kotami. W przypadku niektórych konieczny jest bezpośredni kontakt między zwierzętami. A kot, który opuszcza cztery ściany, nie robi tego po to, aby podziwiać widoki. Niekastrowane szukają partnera, walczą o partnerki. Bo miłość w kocim świecie to nie mizianie piórkiem, ale walka na kły i pazury. Często lecą kłaki, a nawet leje się krew. Stąd też i ryzyko zachorowania na jakąś paskudną chorobę jest większe. Wykastrowane koty też nie stronią od towarzystwa. Przecież terytorium należy bronić, nie będzie mi tu się jakiś obcy kot pałętał! A bijatyki, poza bardzo prawdopodobnym ropniem, mogą się na przykład skończyć zakażeniem białaczką albo FIV[46]. Uwierzcie mi, nie chcecie poznać bliżej tych chorób. Zresztą wspomnianego wyżej kataru także nie chcecie, a mimo iż nie wymaga on bezpośredniego kontaktu, koty wychodzące mają większe szanse na złapanie go.

Wypuszczając kota na dwór, musimy przede wszystkim liczyć się z ryzykiem wystąpienia poważnego urazu. Zwróćcie uwagę na fakt, że gdy siedzi się w domu, nie ma możliwości, aby uderzył w was samochód. To już jakiś plus, nieprawdaż? Koty biegające po świecie zewnętrznym nader często ulegają wypadkom komunikacyjnym. Wie to każdy kierowca. Smutne, ile z tych zwierząt kończy swój żywot

pod kołami samochodów. Inne, ciężko ranne, trafiają do lecznic. I nie zawsze można im pomóc. A gdyby siedziały w domu, nie miałyby szans na takie bliskie spotkania z pojazdami.

Wypadki komunikacyjne nie wyczerpują problemu urazów. W swojej karierze przerobiłem również takie wynikające z nikczemnej ludzkiej natury. Powszechne są postrzały kotów z wiatrówek. Przykro mi, że to piszę, bo kto by pomyślał, że w XXI wieku ktoś będzie się bawił w strzelanie do bezbronnych stworzeń. Niestety wciąż wielu ludzi uważa, że mają prawo do zabijania i kaleczenia innych istot w imię jakichś niezrozumiałych dla mnie powodów. Napawa mnie również smutkiem fakt, że często mogą czuć się bezkarni. Moja koleżanka po fachu została wezwana w sprawie złożenia zeznań na policji i przy tej okazji dowiedziała się od pani funkcjonariusz, że to przecież tylko kot. Może się mylę, uważam jednak, że między krzywdzeniem zwierząt i ludzi przebiega bardzo cienka granica. Boję się ludzi, którym łatwo przychodzi krzywdzenie zwierząt. Obawiam się, że jeśli osoba dziś strzela do kota, którego jedyną winą jest to, że znalazł się w zasięgu strzału, jutro może strzelać do dzieci, bo będą się bawić zbyt głośno. Może przesadzam, ale poza tym, że jestem lekarzem weterynarii, jestem też ojcem. Znam przypadki postrzelenia kotów (innych zwierząt również) z wiatrówki w parkach i w pobliżu placów zabaw. W miejscach, gdzie przebywa wielu ludzi, w tym dzieci. Zbłąkany pocisk może trafić w człowieka. Przede wszystkim jednak po prostu nie strzelajmy do zwierząt tylko dlatego, że ich nie lubimy lub nas denerwują. W ogóle nie strzelajmy.

Koty bywają też ofiarami sideł i innych pułapek. Spotkałem się już z sytuacją, że zakładano je właśnie na te zwierzęta. Pomysłowość ludzi w celowym wyrządzaniu krzywdy jest przerażająca.

Postawiono mi na stole kota z wbitą w łapę kotwiczką wędkarską. Wiecie, haczyk składający się z kilku haczyków, połączonych w taki

sposób, że przypomina kotwicę. Zażartowałem, może trochę głupio, żeby właściciele więcej nie brali kota na ryby. Jednak nie wędkarskie zapędy właścicieli były przyczyną nieszczęścia zwierzęcia. Kot wrócił z podwórka z żelastwem w łapie. Tak nietypowy przedmiot zastanowił opiekunów. Zanim zdążyli przygotować się do wyjazdu, zrobili obchód swojego podwórka. Znaleźli kilkanaście takich kotwiczek porozrzucanych w różnych miejscach. Ktoś zadał sobie trud, żeby wejść na cudzy teren i porozstawiać pułapki na kota. Co jest nie tak z ludźmi?

Niekiedy za kocie urazy trzeba winić właściciela. W przypadku kotów wychodzących pewnym przekleństwem są obroże. Ludzie zakładają je kotom namiętnie. A taka obroża nie dość, że niepotrzebna, to w dodatku niebezpieczna. Można się gdzieś powiesić na takiej, na przykład. Albo zaklinować, a przy próbach oswobodzenia zedrzeć sobie kawał skóry. Nie, kot i obroża to nie jest dobra para. Kot domowy z obrożą też może zrobić sobie krzywdę, nie opuszczając domowych pieleszy. Dlatego nie zakładajmy ich kotom!

Innymi urazami, za które należy obwiniać opiekunów zarówno kotów wychodzących, jak i tych zamkniętych, są uwięźnięcia w uchylonym oknie i wypadnięcia. Gdy jesteście opiekunem kota, obowiązują was dwie ważne zasady. Pierwsza – nie uchylacie okna. Nigdy. Kot może wpaść na pomysł przedostania się przez nie do świata zewnętrznego. Nie uda mu się to, jednak jest wielce prawdopodobne, że zaklinuje się, biedak, i szarpiąc się w czasie próby uwolnienia, zrobi sobie krzywdę. Na przykład złamie sobie kręgosłup. Albo nawet jeśli ten będzie cały, zaklinowanie się doprowadzi do trwałego porażenia części ciała (naukowcy nadali tej jednostce chorobowej nazwę: zespół uchylonego okna). Po co wam to? Druga zasada brzmi: okna i balkon trzeba zabezpieczyć siatką. I nie chcę tu słuchać, że wasz kot od dziesięciu lat śpi na parapecie

i nigdy nie spadł. Historia zna tysiące takich kotów. Prędzej czy później wypadnie i jak będzie miał szczęście, to sobie coś złamie. Jeśli to go opuści, to się zabije. Przez was. Nie bądźmy źródłem kłopotów dla własnych zwierząt.

Zagrożeń jest mnóstwo. Jednocześnie cała rzesza właścicieli kotów wychodzących uparcie utrzymuje, że ich kotów to nie dotyczy. „On nie wychodzi poza posesję" – mówią. „Ona nie ma kontaktu z innymi zwierzętami" – zapewniają. Czyżby? A ja wtedy pytam swoich rozmówców, czy chodzą cały czas za swoim kotem, gdy ten korzysta z wolności. No nie! To skąd to przekonanie, że ten ogranicza swoją aktywność jedynie do przypisanej rodzinie posesji? Jestem pewien, że jeśli nie wszystkie, to na pewno zdecydowana większość kiciusiów zapuszcza się daleko poza swoje podwórko. A co do kontaktów z innymi kotami… Nawet nie zdajecie sobie sprawy, ile obcych kotów przewija się przez wasze obejścia. Innych zwierząt również.

Na koniec chciałbym poruszyć jeszcze jedną bardzo istotną kwestię. Czy kot powinien w ogóle wychodzić na zewnątrz? Od razu odpowiadam: nie powinien. I kwestia zdrowia, mimo że istotna, nie jest tu najważniejsza. Przede wszystkim jesteście odpowiedzialni za swoje zwierzę. A jednocześnie pozwalacie mu chodzić, gdzie chce, i robić, co chce, narażając jego zdrowie na szwank. Nie jest to odpowiedzialne postępowanie, prawda? Przejdźmy jednak do najważniejszej kwestii w temacie kotów wychodzących. Wszyscy wiedzą, że koty polują. Tak zostały stworzone, są wszak drapieżnikami. A wy uwalniacie tego drapieżnika i pozwalacie mu siać spustoszenie w środowisku, które nie może się przed nim bronić. Koty wychodzące wyrządzają niesamowitą szkodę naturze. Przyczyniają się w znacznym stopniu do wymierania wielu gatunków. Mordują ptaki, drobne ssaki, a nawet gady i płazy. I wcale nie po to, żeby zaspokoić głód, bo większość z nich jest zawsze najedzona. Ciężko wyliczyć, ile dokładnie zwierząt rocznie zabijają koty. Jedni

mówią o setkach tysięcy, inni o milionach sztuk[47]! Nie ma jednak skutecznego narzędzia, aby jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Pewne jest jednak to, że w okolicach, gdzie jest dużo kotów, nie ma nic więcej. Nie słychać śpiewu ptaków, nie spotyka się wiewiórek czy ryjówek, o zającu już nie wspomnę. Mogę tu nawet przytoczyć przykład mojego ogrodu.

Mamy dość duży. Miejscami nieco zarośnięty, z małym oczkiem wodnym. Obfitość kryjówek i źródło wody sprawiły, że zawsze mieszkało w nim wiele ptaków. W sezonie wiosenno-letnim, gdy siedziało się na tarasie i popijało kawę, można było naliczyć 15 gatunków. Wiele z nich odchowywało u nas swoje potomstwo. Na stałe w naszych krzakach rezydowało stado wróbli. Uwielbiałem słuchać ich wrzaskliwych „kłótni" o jakiś smakowity okruch. Oczywiście pojawiały się także koty. Wszędzie są jakieś koty. Przez wiele lat nasz mały ogródkowy ekosystem radził sobie całkiem dobrze i mimo części odłowionych przez Mruczki ptaków nie działo się nic niepokojącego. Gdzieś w roku 2019 zauważyliśmy, że ptaków jest jakby mniej. Za to systematycznie zwiększała się liczba odwiedzających nasz ogród kotów. Latem 2020 roku stwierdziliśmy, że nie słyszymy porannych treli. Wróble także zniknęły. W zamian za to, za każdym razem, gdy wychodzę na zewnątrz, widzę jakiegoś kota.

Chciałbym postawić sprawę jasno. Ja bardzo lubię koty. Uważam, że są super. Ale lubię także wróble, sikorki, ryjówki, jaszczurki zwinki i ropuchy szare. One też są super, a często padają ofiarą naszych małych domowych drapieżników. Nie agituję za przemocą wobec kotów! Jednakże coraz częściej słyszy się o tym, że tu i ówdzie na świecie planuje się odstrzał zdziczałych kotów domowych. Mam szczerą nadzieję, że w Polsce nie będziemy świadkami takiej praktyki. Nie chciałbym jednak dożyć czasów, w których zamiast cieszyć się różnorodnością gatunków, będziemy oglądać na wolności tylko koty, bo tylko one pozostaną. Chętnie natomiast wezmę takiego kota na kolana, siedząc z książką w fotelu.

Często słyszę argument, że przecież dla kota to naturalne środowisko i przez wieki ono sobie z kotem radziło. Błąd, moi drodzy, nasze podwórka nie są dla kota środowiskiem naturalnym, bo *Felis catus* nie jest gatunkiem naturalnym dla ekosystemów Europy. Nie wziął się od rysia czy (najbliższemu mu) żbika, ale przywędrował do nas z Bliskiego Wschodu i Afryki. W Europie pojawił się dopiero w czasach rzymskich. Obecnie jest traktowany jako gatunek inwazyjny, czyli taki, który wskutek rozpowszechniania się w ekosystemie stanowi zagrożenie dla charakterystycznych dla niego gatunków. My doprowadziliśmy do tego, że kotów żyjących jest tak

dużo, iż przestaliśmy sobie radzić z wyrządzanymi przez nie szkodami. Weźmy na siebie choć część odpowiedzialności i trzymajmy nasze własne w domu.

No dobra, a co z kotami dzikimi, żyjącymi na ulicach? No właśnie problem w tym, że one nie są dzikie, a zdziczałe. To w całości potomkowie naszych udomowionych kotów, które los pchnął w ręce bezdomności. Nie stanowią jakiegoś odrębnego, „naturalnego" gatunku. Największym ich nieszczęściem jest to, że udzielana im pomoc często ogranicza się tylko do karmienia. A nie chodzi o to, żeby zapełniać brzuchy i pozwalać na rodzenie się kolejnych pokoleń bezdomnych kotów. Pomoc powinna obejmować szeroko zakrojone akcje odławiania i kastrowania. Oczywiście nie wszystkie będą mogły trafić do domów, ale dzięki takiemu działaniu ograniczymy chociaż wzrost ich populacji. Nie może być tak, że ślepo wierzymy w pomoc jednemu gatunkowi, ignorując to, jaki los spotka dziesiątki, a nawet setki innych.

Ale przede wszystkim zacznijmy od tego, aby ograniczyć zjawisko o nazwie „kot wychodzący". Skoro chcemy mieć kota, trzymajmy go w domu. On stanie się bezpieczniejszy, a przy okazji nie będzie odgrywał roli szkodnika.

A warto przecież mieć kota w domu. Mój ulubiony bohater ze Świata Dysku Terry'ego Pratchetta, Śmierć, zapytany o to, czy jest coś, dla czego warto żyć, po dłuższym zastanowieniu odpowiedział: „KOTY […]. KOTY SĄ MIŁE"[48]. Z kim jak z kim, ale przecież z samym Śmiercią nie będziemy się spierać.

[41] W zależności od źródła szacuje się, że kot został udomowiony 9000–10 000 lat temu.

[42] Cudzysłów jest celowy. Dla kota domowego zewnętrze to nie środowisko naturalne, ale o tym potem.

[43] Wlew podskórny to jedna z metod nawadniania zwierząt. Wykorzystuje się fakt, że tkanka podskórna u niektórych gatunków nie jest ściśle związana z głębiej leżącymi tkankami. Dzięki temu można wlać pod skórę płyn, który będzie się stopniowo wchłaniał. Można go wlać szybko, w przeciwieństwie do kroplówki dożylnej, gdzie podawanie płynu rozciąga się w czasie.

[44] Dawniej FLUTD nazywano syndromem urologicznym kotów (SUK).

[45] Wybaczcie łacinę, ale ileż można powtarzać słowo „kot"?

[46] FIV – *feline immunodeficiency virus*, koci wirus niedoboru immunologicznego, odpowiednik naszego wirusa HIV; podobnie jak w przypadku ludzi prowadzi do uogólnionego upośledzenia odporności chorego.

[47] D. Krauze-Gryz, J. Gryz, M. Żmihorski, *Cats kill millions of vertebrates in Polish farmland annually* [online], styczeń 2019, [dostęp: 20.12.2020]. Dostępny w internecie: <https://www.sciencedirect.com/science/article/pii/S2351989418303196?via%3Dihub>.

[48] T. Pratchett, *Czarodzicielstwo,* tłum. P.W. Cholewa, Prószyński i S-ka, Warszawa 2005, s. 14.

Rozdział X
On nie jest gruby, tylko ma grube kości

Otyłość i nadwaga nazywane są przez wielu plagą XXI wieku. Sporo osób boryka się z tymi przypadłościami. Mimo narzekania na ciężkie czasy większość naszego społeczeństwa je dobrze i regularnie przy niewystarczającej ilości ruchu, który pomógłby spalić to, czego dostarczamy naszym organizmom w nadmiarze. Otyłość zalicza się do chorób cywilizacyjnych. Dokładnie, CHORÓB. Światowa Organizacja Zdrowia określa otyłość jako zagrażające zdrowiu nieprawidłowe lub nadmierne nagromadzenie tłuszczu. Obfita tkanka tłuszczowa wpływa niekorzystnie na funkcjonowanie narządów. Jej nadmiar jest poważnym problemem, który potrafi narastać latami i nie zabija od razu. Konsekwencje wzrostu masy ciała możemy odczuwać dopiero po latach. Dotykają one osób dorosłych, coraz częściej też dzieci, a dla weterynarii są prawdziwą zmorą.

Tak, moi drodzy, zaraza, której imiona to otyłość i nadwaga, dopada coraz więcej zwierząt. Poczynając od kotów i psów, na królikach i szczurach kończąc. Jest to tak częsty problem, że wręcz wzdycham z zachwytu, gdy widzę zwierzę o prawidłowej wadze. Wśród niektórych ras problem jest tak powszechny, że społeczeństwo zaczyna w ich przypadku uważać bycie grubym za normalne. Weźmy na przykład takie labradory. Ja z racji zawodu spotykam się częściej z tymi problematycznymi i większość moich

pacjentów tej rasy ma chociaż nadwagę. A spora grupa jest otyła. Koszmarnie otyła! Zwykliśmy mówić na takie psy: kwadratowe. Kiedy patrzymy na nie z boku, właśnie ta figura idealnie pasuje. Mnóstwo jest wśród labradorowych właścicieli takich, którzy na wzmiankę o problemie machają ręką i mówią: „Przecież one tak mają". I faktycznie, jakby tak wziąć pod uwagę te labradory, które się widuje na ulicach, to one zwykle są grube. Można powiedzieć, że ta rasa jest ofiarą ludzi. Dawniej do hodowli wybierano te zwierzęta, które mają większy apetyt, ponieważ takie psy łatwiej szkolić. Obecnie zbieramy żniwo tego doboru i większość labradorów, które widujemy, ma nadwagę. Nie wszystkie, na szczęście!

Kiedyś przyjmowałem czarnego labradora, który był wprost idealny. Jakby go ktoś wyciął z żurnala. Umięśniona klatka piersiowa, pięknie podkasany brzuch i dobrze zarysowana talia. Zapamiętałem go chyba tylko dlatego, że rzadko widuję tę rasę o tak wzorcowym wyglądzie. Nie wiem, co robiliśmy. Może jakieś szczepienie? Utkwiła mi jednak w pamięci sytuacja, która wydarzyła się po wyjściu właściciela z poczekalni. Było letnie popołudnie. Przyjemna aura sprawiła, że postanowiliśmy otworzyć okno, aby wpuścić nieco świeżego powietrza do gabinetu. Labrador wyszedł przed przychodnię, a ja po chwili słyszę:

– Ty sadysto! – krzyczy starsza kobieta. – Taki młody człowiek, a taki bez serca! Pieska trzeba karmić, nie głodzić!

– Ale o co pani chodzi?! – zdziwił się właściciel.

– O co mi chodzi?! O co?! Jeszcze się pytasz? Ja chodzę na spacery, ludzi spotykam. I wszystkie labradory są takie ładne, tłuściutkie. A nie jak tu, Oświęcim! Ty sadysto…

Pan machnął ręką i sobie poszedł, natomiast do gabinetu wkroczyła rzeczona obrończyni psiej sytości. Z małym, tłustym kundelkiem.

Nie chcę nikomu przyklejać łatki, ale wiele starszych osób ma problem z przekarmianiem swoich zwierząt. Widok staruszki z okrągłym pieskiem to dla mnie norma. A najgorsze jest to, że zwykle do tych osób nie docierają jakiekolwiek argumenty dotyczące odchudzania. Próbuję za każdym razem. Siedzę, tłumaczę, proszę, straszę, uderzam w czułe struny. A naprzeciwko siebie widzę uśmiechniętą twarz osoby, która mi przytakuje. Z której ust wydobywają się potwierdzające zrozumienie: „aha", „dobrze" i „rozumiem". A ja i tak wiem, że ta rozmowa nic nie da. W oczach rozmówcy widzę łobuzerski błysk mówiący: „Gadaj, co chcesz, młodzieńcze, ale jestem stara i mi wolno". Mam wrażenie, że co najmniej 3 osoby na 4, które możemy wrzucić do kategorii „w wieku starszym", hołdują zasadzie: „Zwierzątko nie może być głodne". A zwierzątko to skrzętnie wykorzystuje i jest głodne przez cały dzień. Często każde nawiązanie kontaktu z opiekunem kończy się przysmakiem. Kiedyś jedna pani powiedziała mi: „Ja się go pytam, czy jest głodny, a on idzie pod lodówkę. Znaczy się, jest głodny, prawda?". No nie, nieprawda. Sami uczymy nasze zwierzęta, że karmienie to najpowszechniejsza forma nagrody. Właściciel cieszy się, że zrobił zwierzakowi przyjemność, a ten to bezczelnie wykorzystuje. I mamy to na własne życzenie. Nadinterpretujemy sygnały dawane nam przez zwierzę. Każde zerknięcie do miski, stawanie przy lodówce czy żebranie przy stole odbiera się jako przejaw głodu. Jednak spójrzmy prawdzie w oczy. Większość zwierząt utrzymywanych przez nas w domu nigdy nie jest głodna. Przepuszczamy przez nie takie ilości jedzenia, że nie mają okazji. Wiele z nich ma stale pełne miski i je, kiedy chce. Inne są nagradzane jedzeniem za wszystko, nawet za to, że siedzą i „tak słodko wyglądają". Poza tym nawet jak na opakowaniu karmy jest napisane:

100 gramów na dobę, co druga osoba interpretuje to jako 100

gramów na posiłek. A pies je trzy razy dziennie. No i oprócz tego jakieś smaczki. Zdradzę wam jednak, co jest najpowszechniejszą przyczyną nadwagi i otyłości. Winny jest wzrok…

Wzrok? Nie dziwcie się, tak, to prawda. Przeprowadziłem niezliczoną ilość rozmów na temat kłopotów z wagą u zwierząt. Wśród wielu pytań pada: „Dlaczego dajecie mu tyle jeść?". Może was zaskoczę, ale najczęstsza odpowiedź brzmi: „Bo się patrzy". Cóż, wiele zwierząt potrafi podejść swojego człowieka. Każdy z nas zna tę specjalną minę i wzrok mówiący: „Uwielbiam cię, ale daj mi to, co właśnie jesz, a stworzę twój pomnik w marmurze. Poza tym nie jadłem od pięciu minut i umieram z głodu". Zwierzę potrafi wpatrywać się we właściciela tak uporczywie, że ten nie przełknie niczego. Ludzie są słabi i muszą ulec. Gdy wzrok nie pomaga, dochodzą jęki, skowyty czy poszturchiwanie. Niektóre psy posuwają się wręcz do obszczekiwania właściciela, a koty bezczelnie ładują się łapami w talerz. Znam także jamnika, który łapie w pysk swoją metalową miskę i idzie do wyłożonego kafelkami przedpokoju, aby tłuc nią o podłogę. Tak długo, aż wymusi jedzenie. A bywa głodny o różnych porach, także o 3.00 w nocy. Przypuszczam, że sąsiedzi nie są zachwyceni nocnymi koncertami. Zwłaszcza że jamnik mieszka w bloku. Właściciele mają więc dwa wyjścia: albo posiłek, albo tłumaczyć się policji z zakłócania ciszy nocnej. Bywa również tak, że posiłek jest substytutem zabawy, spaceru czy innych interakcji ze zwierzęciem. Taka micha na odczep się.

Niekiedy zwierzęta jedzą zbyt wiele tylko dlatego, że mogą. Zmorą dzisiejszych czasów jest moda na karmienie za pomocą systemu stałego dostępu do karmy. Polega on na tym, że właściciel rezygnuje z wydzielanych zwierzęciu posiłków na rzecz pełnej miski. Stale pełnej, na bieżąco uzupełnianej miski. Można zadać sobie pytanie: „Co w tym złego?". Po pierwsze w wielu przypadkach właściciel przestaje się przejmować dzienną dawką pokarmową dla swojego

zwierzęcia. Traci kontrolę nad tym, ile właściwie ono zjada. Zapytany odpowiada z dumą: „On sam sobie reguluje”. Może nie jest to norma dla każdego żywionego w ten sposób zwierzęcia, mimo to wydaje mi się, że spora grupa moich otyłych pacjentów ma zawsze pełną miskę.

Bardzo wielu ludzi idzie o krok dalej. Miska z suchym jedzeniem stoi cały dzień, jednak właściciel traktuje to jako przekąskę. Posiłki podaje zwierzęciu dodatkowo. Często trzy razy dziennie. Przecież każdemu należą się śniadanie, obiad i kolacja. I tak oto mamy zwierzaka, który dostaje trzy porządne posiłki, plus zjada nieokreśloną ilość pełnoporcjowej karmy… A co oznacza karma pełnoporcjowa? Jest to pokarm, który może być podawany stale, zapewniający wszystkie potrzebne składniki odżywcze. Czyli gdy karmimy tylko nim, nasz podopieczny dostaje teoretycznie wszystko, czego mu potrzeba. Na opakowaniu jest zwykle napisane, ile karmy może dostać zwierzę o takiej a takiej wadze. Na dobę! Jeśli oprócz tej karmy dajemy do jedzenia jeszcze coś innego, to logiczne staje się zmniejszenie podawanej karmy pełnoporcjowej. Ale kto by się tym przejmował? Zazwyczaj gdy rozmawiam z właścicielami, okazuje się, że oni nigdy nie kłopotali się analizowaniem tego, co napisano na opakowaniu. Sypią do miski, a jeśli ta jest pusta, to uzupełniają. A oprócz tego mięsko takie, mięsko siakie, ryż, makaron, resztki z obiadu i tony przysmaków. Gdy proszę, aby jednego dnia policzyli, ile zjada ich zwierzę w ciągu doby, okazuje się, że pochłania ono dwa, trzy razy więcej, niż powinno. Niekiedy same tylko przysmaki potrafią zdublować to, co zwierzę ma sypane do miski. A my się dziwimy, że zwierzęta tyją.

Kuriozalne w tym wszystkim jest to, że część właścicieli jest święcie przekonana, że na przykład ich pies je niewiele. Przyjmowałem kiedyś panią, która przyszła bardzo zmartwiona tym, że jej york NIC NIE JE. Pies bardzo otyły, jednak poza wagą nie znalazłem innych

objawów chorobowych. W żadnym z badań również nie było odchyleń, a właścicielka uparcie utrzymywała, że on nic nie je. Po długiej rozmowie, pytaniu o to samo na różne sposoby, okazało się, że pies: „Nic nie je karmy", za to wcina kotlet, kawałek kiełbasy, żółty ser, jajecznicę. Zwierzę miało tak bogate menu, że przyznam sam, też bym karmy nie tknął. A kiedyś jadł także swoją karmę. A dlaczego przestał? Pewnego dnia nie zjadł całej porcji. Przerażona właścicielka usmażyła mu kotlet. Coby głodny nie chodził. Od tego momentu pies zaczynał zostawiać w misce coraz więcej swojego zwykłego pokarmu. Najwyraźniej odkrył, że gdy pogrymasi, kochająca pani da mu jakiś rarytas. Finalnie przestał zaglądać do miski, czekając na to, co przyrządzi kobieta. Nie utracił apetytu, lecz wykazał się mistrzowską znajomością sztuki manipulacji. Zaproponowałem pani rozwiązanie problemu. Nie wierzyłem, że kobieta zastosuje się do porady. Jakież było moje zdziwienie, gdy przyszła powiedzieć o skuteczności mojej sugestii. Poprosiłem ją, aby wyznaczyła trzy pory posiłków, kiedy to pies będzie miał dostęp do karmy. Jeśli nie zje, miała jedzenie zabierać i broń Boże nie dawać nic innego. Trzy razy pytała mnie, czy aby na pewno pies nie umrze z głodu. Okazuje się, że po trzech dniach reżimu, gdy pies nie dosyć, iż nie dostał nic innego, to jeszcze zabrali mu miskę w przypadku niedojedzenia porcji, zaczął pochłaniać karmę w try miga.

Ciężko jest zagłodzić zdrowego psa, udostępniając mu pokarm. Wspominałem, że wspólne życie z Kluską zacząłem na drugim roku studiów. Wtedy jeszcze nie byłem świadomy, jak wielką rolę w życiu zwierząt odgrywa prawidłowe żywienie. Początkowo próbowałem przygotowywać posiłki samodzielnie. Trzeba przyznać, że suczka zjadała je bardzo chętnie. Dodatkowo nie widziałem problemu w tym, że dzielę się z nią moim jedzeniem. Za co dość szybko musiałem odpokutować. Niestety Klucha zaczęła obrastać tłuszczem w zawrotnym tempie. Kał także zazwyczaj przypominał bardziej

krowi placek niż zdrową, uformowaną kupę. W końcu pogadałem ze znajomymi lekarzami weterynarii, spędziłem nieco czasu nad literaturą fachową i wnioski nasunęły się same. Karmiłem w sposób beznadziejny i przez swój brak wiedzy robiłem Klusce krzywdę. Trzeba było coś z tym zrobić, ku wielkiemu ubolewaniu mojej psicy, której bardzo odpowiadało to, co lądowało w jej misce. Gdy wziąłem się do normowania posiłków mojej Kluski, odmawiała przyjmowania pokarmu przez tydzień. W końcu jednak zaczęła pożerać to, co chciałem, żeby jadła. Gdybym się złamał, nic by nie wyszło z prostowania diety. Żałuję jedynie, że gdy adoptowałem psa, nie pomyślałem od razu o konieczności właściwego odżywiania go. Ale cóż, nikt nie uniknie popełniania błędów.

Pragnąłbym w tym miejscu zaznaczyć, że o ile w przypadku psa kilkudniowa głodówka nie jest niczym niepokojącym, o tyle dla kota może mieć tragiczne skutki. Zwłaszcza grubego. Często u niejedzących kotów pojawiają się problemy z wątrobą. Szczególnie groźne jest jej tłuszczowe zwyrodnienie. Nawet niezbyt długi post może mieć śmiertelny finał. Dlatego głodówki u kotów są bardzo niewskazane. Wręcz zakazane. Oczywiście nie mam tu na myśli kilkunastogodzinnej przerwy w jedzeniu przed badaniem krwi czy zabiegiem. Poza tym nie należy jednak kota głodzić.

Dla jednych karma to nie posiłek, inni nie rozumieją, że można jeść niewiele i tyć. Zacznijmy od tego, że większość naszych zwierząt jest mało aktywna i nie podejmuje w ciągu dnia szczególnie intensywnego wysiłku. Owszem, chodzimy na spacery, część naszych pupili ma możliwość swobodnego wyjścia na zewnątrz. Niekiedy może koty urządzą dziką gonitwę po mieszkaniu, a pies pobiega wzdłuż płotu, szczekając na sąsiadów, jednak to wszystko nie stanowi takiego wysiłku, który mobilizowałby tkankę tłuszczową do jej spalania. W toku studiów mieliśmy przedmiot *Fizjologia wysiłku*. Szczerze powiedziawszy, było to już dawno temu i nie pamiętam

wiele, jednak jeden fakt utkwił mi głęboko w pamięci. Mianowicie to, że aby zmobilizować organizm do pobierania energii z tkanki tłuszczowej, potrzebny jest wysiłek, który trwa w czasie. Oczywiście w biologii nic nie jest takie samo dla wszystkich. Jeden organizm potrzebuje 20 minut, inny 50. Zerwanie się z pozycji leżącej i pobiegnięcie do płotu to nie jest sport. Owszem, mięśnie, żeby pracować, potrzebują energii, ale sadełko nie jest jej jedynym źródłem. Mięśnie najpierw zużyją to, co mają w krwiobiegu, np. glukozę czy kwasy tłuszczowe, a te mogą pochodzić z poprzedniego posiłku, nie z tkanki tłuszczowej zwierzęcia. Tymczasem gdy tłumaczę, że owszem, może zwierzę je niewiele, ale i tak dostarcza więcej energii, niż zużywa, słyszę zdziwione: „Ale przecież on dużo biega po mieszkaniu, podwórku". No niestety, to nie wystarczy. Podobnie nie ma racji bytu argument: „On jest cały dzień na dworze". Przyglądaliście się kiedyś przez dłuższy czas psu, który jest sam na zewnątrz? Jeśli poświęcicie na to więcej niż chwilę, przekonacie się, że on przez większość dnia leży. Bo się nudzi. Po co ma bezcelowo biegać? Jeśli zadziała odpowiedni bodziec, to oczywiście pies pobiegnie, poszczeka, pogoni kota. Ale to tylko zryw, który pozostawi w spokoju tłuszcz. Aby ruch mógł pomóc, musi być regularny, odpowiednio długi i wytężony. Poczłapanie po osiedlu, z postojami przy każdej kępie trawy, nie jest tym, co mam na myśli. Ale już aktywna zabawa, owszem. Niestety wymaga to zaangażowania właściciela. Przynosi jednak efekty.

I tu właśnie leży, że się tak wyrażę, pies pogrzebany. Nasze zwierzęta żyją w dobrobycie, jedzą za trzech, a za jedyne zajęcie mają piastowanie funkcji ozdoby domu. Jeśli będziemy leżeć do góry brzuchem i tylko pachnieć, to do życia wystarczy nam łyżka strawy. Organizm musi mieć okazję do spożytkowania dostarczanej mu energii. Jeśli jej nie ma, odkłada ją na potem. Pod postacią słoninki.

Tycie to nie tylko kwestia dawki pokarmowej. Ważna jest też jakość pokarmu. Jedzenie jedzeniu przecież nierówne. Jeśli dostarczymy organizmowi łatwo dostępnej energii, on ją wykorzysta, a co zostanie, odłoży na chude czasy. Poza tym, jak będziemy karmić tłusto, to brzucho też będzie tłuste. Podobnie w przypadku węglowodanów, czyli cukrów. Wiecie, że można nie przyjmować wcale tłuszczów, a pokaźną tkankę tłuszczową wyhodować sobie z węglowodanów? Nie myślę tu tylko o słodyczach. Pieczywo, makarony, ziemniaki, kasze, ryż składają się głównie z węglowodanów. A tak jakoś jest to wszystko poukładane, że organizm przerabia węglowodany na materiał zapasowy w postaci tłuszczu. Nie tylko u nas, u zwierząt również. Czasami dostarczamy je w sposób nie całkiem świadomy. Weźmy na przykład kota. Kot to mięsożerca, tych węglowodanów za wiele nie potrzebuje. Tymczasem bardzo wiele kocich karm dostępnych na rynku to produkty bogate w te właśnie substancje pokarmowe. Koty posilające się takim jedzeniem mają większą szansę na otyłość niż te jedzące mięso lub chociaż pokarmy, które je zawierają w jakimś stopniu. Poczytajcie czasem skład karm, które dajecie zwierzętom. Psy i koty naprawdę nie potrzebują czegoś, co w zasadzie jest *purée* z groszku lub batatów z dodatkami. Macie jednak duży wybór, możecie znaleźć taką karmę, która będzie dobrej jakości. Wymaga to jednak nieco wysiłku.

Bywa też tak, że ludzie popełniają rażące błędy w żywieniu swych pupili. Błędy zakrawające o znęcanie się. Bo za takie uważam traktowanie psa jako urządzenia do przerabiania odpadków z naszego stołu. Są po prostu rzeczy, których zwierzęta nie powinny lub wręcz nie mogą jeść. A my posuwamy się w uczłowieczaniu tak daleko, że potrafimy z istoty nazywanej przez nas przyjacielem uczynić kalekę…

Nigdy nie zapomnę psa, którego poznałem na praktykach studenckich. Do przychodni, w której odbywałem zajęcia, przyszło małżeństwo z jamnikiem i skargą, że on nie chce za bardzo chodzić. Nic dziwnego! Był to jamnik szorstkowłosy, czyli większy niż inne. Powinien ważyć maksymalnie 12 kilogramów. A tu waga pokazała 30! U długiego psa na krótkich nóżkach! Jakże ten kręgosłup musiał cierpieć przy takim obciążeniu! A co spowodowało tak koszmarną otyłość? Dieta. Pani zapytana, co jada jej pies, odpowiedziała, że lubi pączki. Lekarz badający zwierzę chciał wiedzieć, jak często pies dostaje te pączki. Raz w tygodniu? Gdzie tam! Co najmniej dwa dziennie. Koszmar!

Jesteśmy mistrzami w wymyślaniu wymówek. Na drugim miejscu po: „Bo się patrzy" w kategorii „przyczyna wzrostu masy ciała" jest… zima! Jeśli zwierzę żyje na otwartej przestrzeni przez cały rok, to jest to prawda. Zwierzęta dzikie przygotowują się przecież do okresu, gdy o pokarm trudno, gromadząc tkankę tłuszczową. Możemy to także zaobserwować u psów podwórkowych i wolno żyjących kotów – jeśli mają szczęście mieć odpowiednie źródło pokarmu. Natomiast gdy mówimy o zwierzętach, które stale mieszkają pod dachem ze swoim właścicielem i cały rok dostają takie same posiłki, twierdzenie to nie ma racji bytu. Owszem, nawet u nich możemy zaobserwować niewielki przyrost tkanki tłuszczowej w tym okresie, jednak nie przesadzajmy z entuzjazmem. To nie jest tak, że kot przybiera jesienią o 25% tylko dlatego, iż jego organizm krzyczy: „Idzie zima! Szykuj się!". Jeśli rzeczony kot siedzi cały dzień w domu, to tyje przez to, co dostanie od właściciela. Nie z powietrza, nie z powodu kosmicznej energii czy fotosyntezy. Żarł jak świnia i utył! Kropka. Nie bez znaczenia jest fakt, że ten kot właśnie siedzi i nic nie robi. Ale komu by się tam chciało z kotem bawić?

Kiedy słyszę: „Ona zawsze tyje na zimę", zwykle łapię za książeczkę pacjenta. Często gdzieś tam przewijają się wpisane wartości

uzyskane przy okazji ważenia. Zazwyczaj okazuje się, iż waga ma tendencję tylko i wyłącznie zwyżkową. Rzadko zdarza się tycie na zimę i chudnięcie wiosną. Rzadko? Prawie nigdy! W praktyce wygląda to tak, że zwierzak faktycznie tyje przed zimą, tylko że okres „przed zimą" trwa od stycznia do grudnia. Właściciel częstokroć i tak idzie w zaparte. Czasem się zastanawiam, czy nie szkoda czasu na te tłumaczenia.

Przekarmiamy nasze zwierzęta. Może nie wszyscy, ale wielu z nas. Sama myśl, że zwierzę nie zje posiłku, spędza niejednemu sen z powiek. Problemem jest nawet bycie na czczo do badań czy zabiegów. Regularnie trafiają do nas zwierzęta po teoretycznej głodówce z brzuchami pełnymi jak Smok Wawelski przed pęknięciem. A nas nie oszukacie. Weźmy takie znieczulanie. W trakcie wprowadzania w stan narkozy większość moich pacjentów wymiotuje. Taki jest efekt niektórych wykorzystywanych w tym celu preparatów. I ja, do diaska, widzę, że pacjent nie był na czczo. Pomijając wrażenia zmysłowe towarzyszące wymiotom, ryzykujemy zachłyśnięcie (wspominałem już wcześniej, że przez parówki się nie da oddychać). Ostatnio postanowiłem, że będę te zwrócone posiłki pakował do torby i wręczał właścicielom przy odbiorze zwierzęcia po zabiegu. Zobaczymy, czy będzie im miło.

W kwestii bycia na czczo do badania krwi – jak nakarmicie kota czy psa przed pobraniem krwi, narażacie swojego przyjaciela na podwójny stres. Podobnie jak w przypadku ludzi, u zwierząt po posiłku może wystąpić tak zwana lipemia surowicy. Nie wnikając w biochemię, jest to stan, gdy w surowicy krwi[49] pojawia się zwiększona liczba lipidów. Taka surowica zamiast mieć ładną słomkową barwę i być przejrzysta, zaczyna przypominać śmietanę. Laboratorium odrzuci ją, ponieważ badanie takiej próby daje zafałszowane wyniki. Konsekwencją będzie konieczność kolejnego

pobrania krwi. Chcecie? Nie? To przed pobraniem krwi zwierzak ma nie jeść przez 12 godzin. Spokojnie, nie umrze z tego powodu.

Nie tyje się z powietrza, trzeba jeść, żeby zwiększać masę ciała. Istnieją jednak sytuacje, które tyciu sprzyjają. Rozważmy kilka z nich. Do najczęstszych przyczyn medycznych bycia grubym właściciele zwierząt zaliczają kastrację. Fakt, sprzyja ona nadwadze, ale tylko pośrednio. Hormony płciowe regulują nie tylko procesy związane z przedłużeniem gatunku. Uczestniczą też w różnych szlakach metabolicznych. Kastrując, pozbawiamy lub znacząco ograniczamy ich uczestnictwo w tych procesach. Organizm potrzebuje trochę czasu, aby przyzwyczaić się do nowej sytuacji. Krótko po kastracji obserwuje się wzrost apetytu zwierzęcia, jednocześnie w miarę spadku stężenia hormonów płciowych spada libido i związana z nią aktywność. W rezultacie zwykle zwierzęta najintensywniej tyją w pierwszych kilku miesiącach po kastracji. Jeśli jednak nie podejdziemy do tematu bezrefleksyjnie i zastanowimy się nad potrzebami zwierzęcia po zabiegu, możemy uniknąć przykrych konsekwencji. To zaburzenie równowagi organizmu związane z usunięciem gonad (czyli jajników lub jąder) ma charakter przejściowy i jeśli damy mu szansę, wróci w końcu do równowagi. Jeżeli uświadomimy sobie, że dla przyszłej wagi to pół roku po zabiegu jest niezwykle istotne, możemy podjąć odpowiednie kroki. Przede wszystkim ważna jest regularna kontrola masy ciała zwierzaka. Chociaż raz w miesiącu. Zwierzę nie przytyje nagle 10 kilogramów, ale jeśli waga powie wam: „Idę w górę", będziecie mogli zatrzymać ten proces. Czasem wystarczy niewielkie zmniejszenie dawki pokarmowej, w innym wypadku zmiana pokarmu na mniej kaloryczny. Warto też zadbać od samego początku o motywowanie podopiecznego do ruchu. A przede wszystkim nie wolno dać się złamać zwierzęcemu apetytowi. To, że pupil żąda więcej jedzenia, nie oznacza, że jest głodny. Pamiętajcie: to wy karmicie wasze

zwierzę, kastracja nie napełnia miski i nie modyfikuje przewodu pokarmowego.

Niekiedy to choroba sprzyja otyłości. Na prowadzenie w tej materii wysuwają się dwie choroby endokrynologiczne. Pierwsza to nadczynność kory nadnerczy, czyli choroba Cushinga, druga – niedoczynność tarczycy. W obu przypadkach zaburzona jest gospodarka hormonalna organizmu, z tą różnicą, że przy chorobie Cushinga mamy do czynienia ze zwiększoną produkcją kortyzolu, a w przypadku niedoczynności tarczycy stężenie tyroksyny jest niewystarczające. Nie chcę tu objaśniać patofizjologii tych chorób. Napisano o nich niejedną książkę. Wspominam o nich, gdyż zwierzęta nimi dotknięte często borykają się z nadwagą czy otyłością lub mają predyspozycję do takiego stanu. Doświadczenie uczy, że bez stabilizacji gospodarki hormonalnej organizmu często nasze próby walki z wagą nie przynoszą efektu. Dlatego tak istotne są badania dodatkowe. Nie da się zdiagnozować żadnej z tych chorób bez przeprowadzenia testów. A celowane leczenie może dać nam wymierne korzyści w kwestii wagi zwierzaka.

Fakt, że istnieją medyczne predyspozycje do tycia, nie daje nam prawa do zrzucania każdego kilograma na jakąś potencjalną chorobę. Większość otyłych zwierząt jest gruba, bo za dużo je. Także te ze stwierdzonym problemem wewnętrznym zwykle żrą, a nie jedzą. Wiedza na temat potencjalnej choroby ułatwi nam trudną walkę, jaką jest chudnięcie. Jednakże bez diety nic nie zdziałamy. Nic.

Gdy już przebrniemy przez ustalenie, czy nasze zwierzę jest faktycznie otyłe, dlaczego takie jest i co jest przyczyną takiego stanu, przychodzi pora na dietę i coś, czego osobiście nienawidzę, czyli odchudzanie. Przyznacie, że zdecydowanie przyjemniej się tyje niż chudnie. My mamy jednak ze sobą ten problem, że sami potrafimy otworzyć lodówkę, a zwierzęta są tej zdolności

pozbawione. W przypadku odchudzania czworonogów ważne jest więc nie ich samozaparcie, lecz silna wola domowników. Wszystkich domowników. Wystarczy tylko jeden niepoddający się argumentacji człowiek, żeby całą dietę szlag trafił. Jednak każdą walkę przy odrobinie chęci można wygrać.

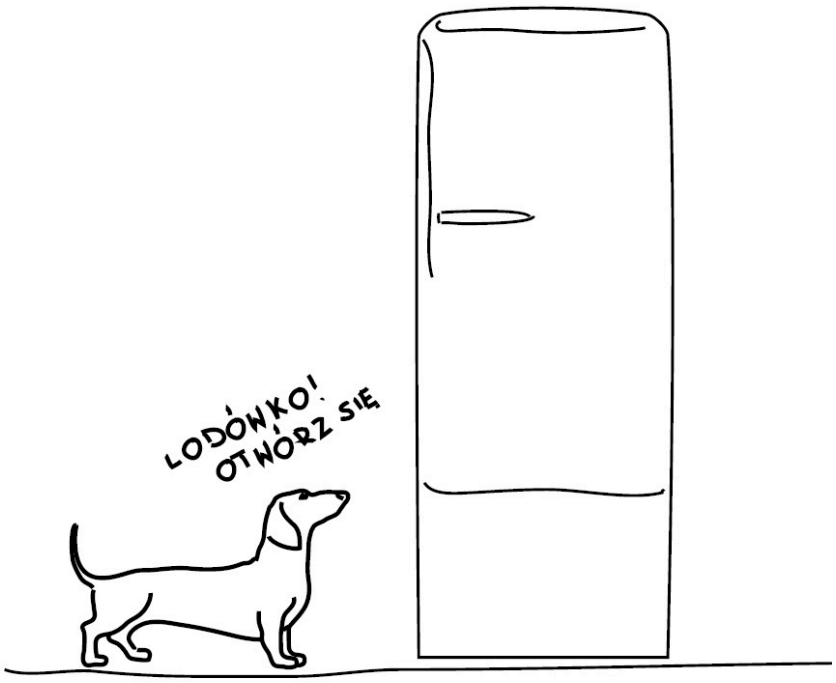

Mam taką bardzo sympatyczną pacjentkę, która należy do rasy żyjącej, żeby jeść. Majka jest beagle'em. A dla beagle'a nie ma czegoś takiego jak limit dzienny przyjmowanego pokarmu. W rodzinie Majki trwa konflikt, w który zaangażowani są właścicielka i jej ojciec. Pani bardzo walczy o zdrowie suczki, stara się ją odchudzać, leczyć i denerwuje się na tatę, który jest typowym karmicielem. Każde spojrzenie, piśnięcie czy otarcie się o nogi są sygnałem do podania psu jedzenia. W rezultacie psina, która powinna ważyć 15 kilogramów, w pewnym momencie osiągnęła 25.

Prośby i groźby do pana nie docierały. Wymienianie, co będzie się działo ze zdrowiem Majki, również. Karmiciel musiał poczuć bardziej namacalny strach. I niestety nadarzyła się ku temu okazja. Pewnego razu suczka zaczęła kaszleć i nie bardzo nam szło leczenie. Postanowiliśmy zrobić zdjęcie klatki piersiowej, żeby ocenić, co się w niej dzieje. Majce nie podobało się leżenie na boku i strasznie się wierciła. Musieliśmy jej dać małego głupiego jasia. Takie pół dawki, żeby przestała skakać. I odleciała. Znaczy się: próbowała nam umrzeć. Na szczęście udało się ją uratować. Wydarzenie jednak zrobiło na panu duże wrażenie. Wykorzystałem okazję i zwaliłem całą winę na to, że pies jest strasznie gruby. Dzięki temu zdarzeniu pacjentka schudła do 17 kilogramów. Bardzo się ucieszyliśmy razem z właścicielką z tego sukcesu. Spadek masy ciała poprawił suczce jakość życia, zrobiła się bardziej ruchliwa, wróciła jej chęć do zabawy i ustąpił ten nieszczęsny, niedający się wyleczyć kaszel. Naszym błędem było jednak pochwalenie sukcesu w odchudzaniu przed karmicielem. Teraz znów musimy się odchudzać.

Odchudzanie jest trudne, a bez przyjęcia wspólnego frontu przez wszystkich domowników staje się niemożliwe. Mam taką teorię, że za każdym niepowodzeniem w redukcji masy ciała stoi karmiciel. Czasem działa całkiem otwarcie, negując konieczność zmiany żywienia, uderzając w uczucia wyższe, sugerując znęcanie się nad biednym zwierzęciem. Lub jest po prostu upartym matołkiem, który nie ma zamiaru przestać robić to, co sprawia mu przyjemność. Karmiciel gnębiony, któremu zwraca się uwagę, często przechodzi do konspiracji. Potajemnie i w ukryciu podrzuca zwierzęciu dodatkowe kąski, a bywa, że i całe posiłki, uważając się jednocześnie za jedynego sprawiedliwego. Tymczasem łechta tylko swoje ego. Karmienie sprawia mu przyjemność, dlatego bez względu na wszystko będzie dążył do zaspokojenia swoich potrzeb. Bo przecież to takie miłe. Gdy jesteśmy karmicielami, to zwierzęta do nas lgną,

wydaje się, że nas lubią. My tymczasem, wyznając taką miłość spożywczą, przywiązujemy je do siebie tylko za pomocą pożywienia. Zwierzęta dokarmiane nie darzą atencją nas, tylko to, co trzymamy w ręce. Jesteś więc, karmicielu, niczym więcej niż żywym podajnikiem jedzenia.

Otyłość to poważna choroba mająca wpływ na cały organizm. Najmniej istotne są tu względy estetyczne. Fakt, grube zwierzęta wyglądają nie najlepiej, ale nie powierzchowność jest przecież najważniejsza. Problem polega na tym, że otyłość wpływa na każdy aspekt życia zwierzęcia. Czasem wręcz uniemożliwia codzienne czynności. Wszyscy wiedzą, że koty to czyściochy. Nawet pieszczota ze strony właściciela pobudza je do późniejszej toalety. Na pielęgnacji swojej osoby spędzają sporo czasu. A kot otyły ma ograniczone możliwości motoryczne, więc się nie umyje, gdzie trzeba. Kot, który nie potrafi wylizać sobie tyłka, jest po prostu kaleką.

Wpływ nadmiernych kilogramów na motorykę jest najlepiej widoczny u zwierząt domowych. Grubi pupile poruszają się mniej sprawnie i szybciej się męczą. Są też podatni na urazy. Gdy waży się odpowiednio dużo, wystarczy wstać gwałtownie z posłania, żeby na przykład zerwać sobie więzadło krzyżowe w kolanie[50]. Wielu moich psich pacjentów wylądowało na stole operacyjnym z powodu tego urazu, a praktycznie żaden z nich nie był sportowcem. U większości problem spowodowała zbyt wysoka waga. Oczywiście bycie grubym nie jest warunkiem koniecznym, ale znacząco zwiększa szansę na wystąpienie takiego urazu. Okazuje się, że wzrost masy ciała nie tylko przeszkadza w życiu, ale też może doprowadzić do konkretnych uszkodzeń.

Zerwanie więzadła krzyżowego przedniego kolana nie wyczerpuje oczywiście listy potencjalnych problemów ortopedycznych. Trzeba wiedzieć, że stawy i kręgosłup u danego osobnika także mają swoją

wytrzymałość. Gdy zwierzę stworzone do średniej wagi 15 kilogramów waży dwa razy więcej, obciążenie wywierane na szkielet prowadzi do uszkodzeń i zmian zwyrodnieniowych. Nie bez znaczenia jest też lokalizacja tkanki tłuszczowej. Duży brzuch zawieszony pod psem obciąża przede wszystkim kręgosłup w odcinku lędźwiowym. Tam właśnie u grubych psów powstają zmiany.

Jednakże tkanka tłuszczowa to nie tylko zbyt wysoka waga. To warstwa smalcu wokół każdego narządu, w każdym zakamarku ciała. I straszne jest to, że coraz młodsze zwierzęta cierpią z powodu nadwagi czy wręcz otyłości. Niekiedy już półroczna kotka przy kastracji ma w podskórzu słoninę grubości centymetra i jamę brzuszną tak otłuszczoną, że wygląda, jakby faktycznie ktoś tam tego smalcu nalał. A tłuszcz w jamach ciała nie tylko źle wygląda, ale również rozrabia. Otłuszczenie przeszkadza w prawidłowym funkcjonowaniu narządów. Weźmy pod uwagę tylko jeden z nich, ale za to taki, bez którego nie da się żyć. Serce znajduje się w klatce piersiowej, przytulnie otoczone workiem osierdziowym, który je chroni, a zawarty w nim płyn niweluje skutki tarcia. W tej klatce piersiowej nie ma zbyt wiele miejsca. Serce musi je przecież dzielić z płucami. Wystarczy tyle, żeby robić swoje. Kurczyć się i rozkurczać. Kurczyć i rozkurczać. Gdy organizm zaczyna gromadzić tkankę tłuszczową w nadmierny sposób, odkłada się ona również w worku osierdziowym. Ogranicza tym samym miejsce dostępne dla serca, jednocześnie zmuszając je, żeby unosiło cały ten tłuszcz, który też swoje waży. W końcu pompka tłocząca w żyły krew mówi: „Mam dość” i przestaje być wydolna. Serce niewydolne doprowadzi do śmierci. Prędzej czy później.

A otyłość to nie tylko ciężki chód i serce, które nie potrafi wyrobić. To także źle pracująca wątroba, obciążony układ oddechowy, upośledzona praca jelit i – co gorsza – chrapanie. Gdy organizm boryka się z nadmiarem tłuszczu, nic nie działa dobrze. A cała

sytuacja jest o tyle wredna, że objawy nie pojawiają się wraz z nastaniem problemu z wagą. Człowiek czy zwierzę mogą być grubi przez pół życia, a żniwo zbierać dopiero w średnim bądź nawet późnym wieku. Jedno jest pewne. Otyłość się o otyłego upomni. Nikt nie uniknie konsekwencji.

Kończąc temat bycia grubym, bardzo chciałbym zwrócić wam uwagę na jeszcze jeden szczegół. Gdy zwierzę tyje, to tyje całe. Brzuszek, boczki, plecki, tyłek. Wałki tłuszczu lokują się na całym korpusie. Nie występuje u niego otyłość brzuszna tak charakterystyczna dla osób nadużywających piwa. Powiększony obrys jamy brzusznej zwykle wieszczy problem. A przyczyn może być wiele. Wśród nich należy wymienić gromadzenie się płynu w jamie otrzewnowej, powiększenie narządów, guzy narządów jamy brzusznej, osłabienie mięśni tłoczni brzusznej i wiele, wiele więcej. Dlatego gdy pewnego dnia dojdziecie do wniosku, że, kurczę, ten brzuch nie był taki duży, idźcie do weterynarza. Poważnie. A jeśli wasze zwierzęta są zwyczajnie grube, nie szukajcie usprawiedliwień i nie dorabiajcie norm. Po prostu weźcie się w garść. Przecież zależy wam na tym, żeby pupile żyły długo i szczęśliwie. Zwierzęta grube przez pewien czas cieszą się szczęściem, niestety statystyki pokazują, że jest ono raczej krótkotrwałe.

[49] Krew składa się z elementów morfotycznych, czyli krwinek i płytek krwi, oraz płynnego osocza, w którym są one zawieszone. Gdy doprowadzimy do wytrącenia fibrynogenu, który współodpowiada za proces krzepnięcia krwi, otrzymujemy surowicę.

[50] Więzadło krzyżowe pełni w kolanie ważną funkcję. Utrzymuje w odpowiedniej pozycji kość udową i piszczelową, zapobiegając ich przesuwaniu się względem siebie. Gdy się zerwie, kolano przestaje funkcjonować prawidłowo.

Rozdział XI
Ile zwierzęcego cierpienia potrafi znieść człowiek?

Im dłużej żyję i pracuję, tym częściej dochodzę do wniosku, że największym nieszczęściem wielu zwierząt są ich właściciele. Nawet nie chodzi o to, że przeżywamy jakąś plagę okrucieństwa wobec zwierząt. Pod tym względem jest zdecydowanie lepiej, niż było kilkanaście lat temu. Nawet doczekaliśmy się bezwzględnych wyroków za znęcanie się nad zwierzętami. Nieszczęściem wielu jest jednak właściciel, który nie widział albo nie chciał widzieć tego, że coś jest nie tak.

Problem w tym, że zwierzęta nie mówią. Nie narzekają przy każdej możliwej okazji, że: „W krzyżu łamie!", „Ciągle chce mi się sikać!", „Coś mi urosło koło sutka!". Nie! Zwierzęta nie afiszują się ze swoimi przypadłościami. Mrowie ludzi uważa, że jeśli zwierzę:

1) je,
2) pije,
3) chodzi,
4) robi siku i kupę,
5) nie piszczy

– to jest zdrowe.

A zwierzęta to wojownicy. Dopóki są w stanie realizować te punkty, dopóty będą to robić. Zostało im po przodkach. W naturze słaby i chory ginie.

Stwierdzenie: „Bo nie piszczał" wraca do mnie jak bumerang. Praktycznie co drugi klient, usłyszawszy, że stwierdzam ból u jego zwierzęcia, jest zdziwiony. „Jak to? On nie piszczał/miauczał" – mówią zaskoczeni. Zawsze opowiadam w takiej sytuacji historię o owczarku niemieckim w wieku znacznym. Można tu wkleić praktycznie każdego staruszka rasy dużej.

Dostałem wezwanie na wizytę domową. Dwunastoletnia suczka owczarka niemieckiego przestała chodzić. Właściciele pytają, czybym przyjechał zobaczyć. Pojechałem. Staruszka leżała na swojej poduszce w dużym pokoju. Gdy wszedłem, podniosła jedynie głowę i niepewnie pomachała ogonem. Właściciel stwierdził, że jeszcze rok temu to bym został oskakany i wylizany po twarzy. Spytany, czy pies

długo nie wstaje, odparł, że od wczoraj. Zbadanie zwierzęcia wskazało winnego zaistniałej sytuacji. Omacując tylne kończyny, gdy sprawdzałem biodra i ich okolicę, spotkałem się z wyraźną i gwałtowną reakcją ze strony mojej pacjentki. Zwierzę cierpi z powodu dużej bolesności stawów biodrowych. Mówię diagnozę panu. Ten nie wierzy. Ona się na nic nie skarżyła, nie piszczała, teraz też nie. „A jak z poruszaniem się w ostatnich dniach, tygodniach?" – pytam. Właściciel bez zastanowienia odparł, że na spacer niechętnie idzie już od kilku miesięcy, wlecze się za nim i szybko się męczy. Rano też ma problemy z rozruszaniem się. Ale to starość przecież. Wyjaśniłem, że jest inaczej, choć na potwierdzenie tej tezy ma jedynie moje słowa, bo w domu nie da się postawić stuprocentowej diagnozy. Ta wymaga dodatkowych badań w przychodni. Mogę jednak podać lek przeciwzapalny o silnym działaniu przeciwbólowym, a on mi da jutro znać, co u psa.

Nazajutrz otrzymałem informację zwrotną. Suka znów chodziła. Poszła na spacer. Pogoniła kota. A jedyne, co dostała, to lek przeciwbólowy. Mimo że nie piszczała. Właściciele zmobilizowali się i przywieźli ją nawet na przegląd. W RTG stawów biodrowych znaleźliśmy liczne zmiany zwyrodnieniowe. Musiało ją okropnie boleć. Teraz jest na lekach i funkcjonuje nieźle, jak na swój wiek, oczywiście.

O tym, że zwierzę nie będzie się chwaliło swoimi bolączkami, przekonałem się na własnej skórze. Pewnego grudniowego wieczora mój tata zauważył, że Kluska chyba kuleje. Spojrzałem na nią. Wydawała się w porządku. Przy dokładniejszej obserwacji okazało się, że prawa tylna kończyna delikatnie się pod nią załamuje. Dotykam. Macam. Kolano spuchnięte i boli[51]. Pytam babci[52], która z racji spędzania większości czasu w domu była najlepszym źródłem informacji, czy coś się wcześniej działo. Bo ja, moi drodzy, nie zauważyłem totalnie nic. Babcia stwierdziła, że Kluska od kilku

dni cały czas śpi, nie chce iść na dwór i je zdecydowanie mniej. Pierwsze dwie przypadłości zrzuciła na karb zimy, a spadek apetytu ją ucieszył, ponieważ: „Cały czas każesz mi ją odchudzać, to masz!". Tak więc szewc bez butów chodzi, a weterynaryjny pies z bolącym kolanem – nie wiadomo, jak długo. Wstyd i hańba! Na szczęście miałem coś na taką przypadłość i na drugi dzień od podania zastrzyku nasza psica wyszła z 15 razy na dwór i rozwaliła kosz na śmieci. Dla pewności prześwietliłem to kolano. Na szczęście nie był to trwały uraz.

Jakoś tak odruchowo uznajemy pisk zwierzęcia za jedyną oznakę bólu. Taki odpowiednik „au!". Nie ulega wątpliwości, że taka wokalizacja może świadczyć o wystąpieniu bólu. Gdy przypadkiem nadepniecie psa, on zapiszczy, bo go zaboli. Jeśli zwierzę zostanie potrącone przez samochód, może dać dowód na prawdziwość zwrotu „wyć z bólu". Dlatego potwierdzam: w nagłych sytuacjach ból może być sygnalizowany głosem. A gdy trwa on przewlekle? No właśnie. Wtedy zwierzę nie musi wydawać jakichkolwiek dźwięków i większość pupili właśnie tak się zachowuje. Cierpią w ciszy (patrzcie na Kluskę, wstyd). Niechętnie się ruszają, smutnieją, może jedzą trochę mniej lub szukają samotności. A jeśli zwierzę chodzi za wami i piszczy? To zapewne czegoś chce. Ciągłe popiskiwanie jest częściej wyrazem frustracji emocjonalnej niż bolesności.

Ten przewlekły ból faktycznie jest trochę podstępny. Można go przeoczyć i w sumie nie mam pretensji do właścicieli, tylko żal mi zwierząt. Ale czasem objawy i sygnały są bardziej niż wyraźne. A my i tak potrafimy je ignorować.

Chyba najczęściej zaniedbywane są wszelkiego rodzaju guzy. Pomyślicie, że nie powinno się bagatelizować guzów, i macie rację. Co nie przeszkadza wielu ludziom nie zauważać całkiem dużych zmian. A raczej OLBRZYMICH zmian. Jedna taka historia szczególnie zapadła mi w pamięć.

Dwie panie, matka z córką, przyprowadziły do mnie suczkę. Ruda, piętnastokilogramowa kundelka o posiwiałej już nieco mordce. Wyrósł jej DZISIAJ guz na brzuchu i pękł. Wiecie, nie lubię, jak się ma mnie za idiotę. Chyba nikt nie lubi. Bo na przykład wspominana suczka była szkieletem obciągniętym skórą, a właścicielki stwierdziły, że schudła też od wczoraj, bo nie zjadła kolacji. Ja może nie mam miliona lat, ale nie urodziłem się wczoraj i nawet na tej pracy trochę się znam. Dlatego wiem, że guzy nie rosną w jeden dzień (zwłaszcza takie, które są wielkości pomelo), tak jak nie traci się przez noc całej masy mięśniowej. Ale wróćmy do guza, którego wczoraj na 100% nie było. Guz obejmował obie listwy mleczne[53]. Właściwie był to jeden olbrzymi guz w pachwinie i kilkanaście guzów porozrzucanych na całej długości. I zgadnijcie co? Ich też tam wczoraj nie było. Panie szły w zaparte. Tak naprawdę by nie przyszły, gdyby ten kolos nie pękł, bo przecież pies je, pije, idzie na spacer. No i nie piszczy. Tymczasem mamy zwierzę w zaawansowanej, trwającej długi czas chorobie nowotworowej, która doprowadza do wyniszczenia organizmu, i nie ma zbytniej możliwości pomocy. Powiedziałem paniom, że nie jest możliwe, żeby taki stan zaistniał w przeciągu doby. Więc albo nie zauważyły wcześniej, albo zignorowały. Lub też uważają mnie za wspomnianego wyżej idiotę. To stwierdzenie spotkało się z oburzeniem i zapewnieniami, że one suczkę bardzo kochają i są dbającymi właścicielkami. To pozostawiam już waszej ocenie. Panie koniecznie chciały „jakiś zastrzyk" żeby pies był zdrowy. No niestety, postępowanie w takim przypadku powinno wyglądać następująco: najpierw badania dodatkowe, w tym przede wszystkim pełne badanie krwi, żeby sprawdzić, jak w ogóle ten wycieńczony organizm funkcjonuje, zdjęcie RTG klatki piersiowej, żeby upewnić się, czy nie ma przerzutów do płuc, i wizyta u kardiologa, żeby ocenił, czy serducho da radę ze znieczuleniem. Potem należy podjąć próbę usunięcia guzów. Podjąć próbę, bo przy

tak zaawansowanym procesie i rozległości zmian nie jest wcale pewne, że to się uda. Kolejny krok to usunięcie jajników i macicy, gdyż rozrost w obrębie gruczołu mlekowego jest zależny od aktywności hormonów płciowych. Panie zrobiły wielkie oczy, nadęły się i oznajmiły, że jestem naciągacz i nie kocham zwierząt. Wstały, wyszły – i tyle widziałem biedną suczkę.

Podobnych suczek odwiedza nas wiele. Nie wiem, czy faktycznie tych guzów właściciele nie znajdują, czy po prostu sobie wmawiają, że ich tam nie ma. A może liczą, że same znikną? Nie mam pojęcia. Smutne jest to, że często brakuje możliwości pomocy tym zwierzętom. Bo właściciel nie godzi się na zabieg. Albo przyszedł wtedy, gdy guzy są tak rozległe, że nie jestem już w stanie ich usunąć. Nie da się usunąć połowy zwierzęcia! Zresztą problem nie dotyczy tylko suk. Kotki równie często cierpią z powodu nowotworów gruczołu mlekowego. U nich może nie osiągają tak imponujących rozmiarów, z racji mniejszego organizmu, jednak zwykle są to zmiany mnogie, naciekające okoliczne tkanki. I nierzadko złośliwe, dające przerzuty i wznowy. Dlatego tak ważne jest omacywanie gruczołu mlekowego u naszych czworonożnych podopiecznych. Pamiętajcie, że im mniejszy guz, tym większa szansa na usunięcie go w całości i z odpowiednim marginesem. Nigdy nie usuwa się samego guza. Operujący zawsze dokonuje usunięcia w marginesie tkanek zdrowych. Czyli z odpowiednim zapasem. Tylko to daje szanse na wyleczenie. No i mały guz = mała rana operacyjna. Jeśli będzie się zwlekać w nieskończoność z operacją, to gdy zwierzę trafi do lekarza, może się okazać, że ten będzie w stanie mu ulżyć już tylko za pomocą eutanazji.

Jesteśmy podobno istotami rozumnymi. Niestety wyraźnie miewamy kłopoty z empatią. Potrafimy znieść wiele cierpienia istot, które przyjęliśmy pod nasz dach. Ból i nowotwory nie wyczerpują problemu. Regularnie przyjmuję koty wymiotujące od miesięcy albo

od lat, i to nie raz w tygodniu, ale codziennie, a przynoszone do przychodni z innego błahego powodu. Psy, które mają biegunkę od kilku tygodni, przyprowadzane przez właścicieli, którzy przyszli tylko dlatego, że w kale pojawiła się krew. Tydzień temu. Wszelkiej maści staruszkowie, których problemy wieku bardzo dojrzałego można by leczyć, gdyby w porę wylądowali na stole w gabinecie, ale teraz są już jedną nogą za tęczowym mostem. Poza tym zwierzęta drapiące się miesiącami, łysiejące od lat. Z listy przykładów zaniedbań moglibyśmy zrobić solidny rozdział.

Często takie odwlekane, zaniedbane przypadki mają jeden wspólny mianownik. Oczekiwanie ze strony opiekunów, że ich problem zostanie szybko rozwiązany. Bo oni znaleźli teraz czas i potem nie wiadomo, kiedy znowu znajdą. Podaj, weterynarzu, jakiś zastrzyk, żeby przeszło. Przykro mi. To tak nie działa. Byłoby mi łatwiej, gdyby tak się działo, ale to nie koncert życzeń, tylko rzeczywistość. Im dłużej zwlekamy z wizytą, im dłużej trwa choroba, tym dłuższa będzie walka. Pamiętam jeszcze z czasów studiów zdanie z któregoś z podręczników dotyczące chorób skóry. Nie przytoczę dosłownie, ale szło to mniej więcej tak: „Zakłada się, że w przypadku przewlekłego procesu leki należy podawać minimum dwa razy dłużej, niż trwała choroba". Co z tego wynika?

Jakiś czas temu przyjmowałem kota, który całe swoje dwuletnie życie się drapał. Krzywdę robił sobie przede wszystkim na głowie, która pokryta była licznymi strupami. Przerobił wiele terapii, ale w końcu dermatologowi udało się dobrać taką, która przyniosła kotu ulgę. Objawy ustąpiły, rany się wygoiły, przestał się drapać. Co więc zrobili opiekunowie? Odstawili leki. Bez konsultacji z lekarzem. Mimo że ten nawet napisał w karcie leczenia: „Nie odstawiać nawet po ustąpieniu objawów". W rezultacie świąd wrócił prawie natychmiast. Pani przyszła pokazać kota, bo lekarz prowadzący był chory i prosił o podanie tego, co zalecił. Pani była wyraźnie niezadowolona. „To jak

on długo ma te leki brać?!" – rzuciła w końcu. „A jak długo choruje?" – odpowiedziałem pytaniem. „Bo leki będzie pani pewnie podawać dwa razy dłużej". Pani ręce opadły. „Ale on choruje całe swoje życie!" Cóż… To dwa razy dłużej będzie brał leki. Niestety, zwierzęta też mają prawo do przewlekłych problemów. Nie można oczekiwać, że w ich przypadku będzie inaczej niż w przypadku ludzi, a wśród nas są także tacy, którzy leczą się całe życie. Ja na przykład mam katar od trzydziestu lat.

Całkiem osobną kastę stanowią ludzie, którzy bardzo dobrze widzą objawy. Widzą je doskonale. Zmysł badacza każe im OBSERWOWAĆ. Nazwijmy ich roboczo obserwatorami. Obserwatorzy potrafią na przykład sprawdzać, czy guz rośnie, czy nie. Znajdują go, gdy jest całkiem mały, i zamiast iść do lekarza, usunąć, gdy niewielki, czekają i obserwują. I przychodzą, gdy zaczyna osiągać rozmiary zbliżone do noszącego go zwierzęcia. Obserwator może śledzić też inne przypadłości. Cokolwiek sobie wymyślicie. Kaszel, biegunkę, ataki padaczkowe, anoreksję. Wszystko można obserwować i kontemplować. Obserwator zapytany, dlaczego przyszedł tak późno, oznajmia poważnym, nieco urażonym głosem: „Przecież obserwowałem".

Będąc lekarzem, trzeba uważać, żeby sobie obserwatora samemu nie wyhodować. Frazy: „Proszę obserwować" unikam jak ognia. Ale najlepszy będzie przykład. Załóżmy, że pokazują wam małego guzka w skórze (znowu guz, wiem, ale to dobry przykład). Gładki, przesuwalny, o średnicy centymetra. Widzicie, że ten właściciel nie chce pozwolić operować. Mówicie więc, żeby obserwować guza i przyjść, gdy ten zacznie rosnąć. W rezultacie następnym razem, gdy zobaczycie tego guza, będzie wielkości pomarańczy, z krwawiącą dziurą pośrodku. I będzie to wasza wina, bo właściciel zrobił, jak kazaliście. Obserwował. On nie wie, kiedy przestać. Na szczęście obecnie większość lekarzy weterynarii hołduje tej samej zasadzie, co

medycy ludzcy: guzów ma nie być. A jeśli trzeba obserwować, to właściciel ma mieć nakreślone ramy czasowe obserwacji.

Istnieje też grupa ludzi, która szuka cudotwórcy, nie lekarza. Mimo że ignorowali objawy przez lata świetlne, teraz w gabinecie oczekują mistycznego ozdrowienia zwierzęcia, któremu nie da się pomóc.

Starsza pani przyniosła w koszyku kota. Kocur kilkunastoletni, chudy niemożebnie. Leży na mostku i zajmuje się tylko jedną czynnością. Oddychaniem. Jest mu tak strasznie duszno, że jego brzuch przy próbie złapania powietrza nadyma się jak podgardle żaby. Język i dziąsła, które powinny mieć kolor różowy, przybrały barwę o sinym odcieniu. Siedzi biedny, z otwartym pyszczkiem i próbuje złapać haust tlenu, a tymczasem właścicielka tłumaczy, że on dziś nic nie zjadł. Dlatego przyszła. Moje pytanie o ten sposób oddychania i skrajne wychudzenie zbyła machnięciem ręki. „On tak dycha od miesiąca i żyje" – mówi. „Zjeść coś musi!" Wytłumaczenie pani, że on nie je, bo się dusi, zajęło mi dobrą godzinę. Kobieta okazała się twardym orzechem do zgryzienia. Nie widziała problemu w tej duszności. Przyszła tu, żeby kot zaczął jeść. Mam się nie mądrzyć, tylko robić, co do mnie należy. Ale ja też potrafię być uparty, gdy trzeba. Po długiej przeprawie udało mi się nakłonić panią do prześwietlenia kota. Bez wdawania się w szczegóły – jedyne, co było widać w klatce piersiowej, to guzy. Zero płuc, zero serca. Tylko cienie sugerujące najgorsze. Pokazałem pani. Dla porównania wyciągnąłem zdjęcie płuc zdrowego kota. Właścicielka nie przejęła się zbytnio. Stwierdziła, że skoro już mam swoje zdjęcia, to teraz mam wyleczyć jej kota. Zgodnie z prawdą powiedziałem, że zwierzęciu nie da się pomóc. Jeśli chce, mogę ją wysłać na konsultację do onkologa, ale moim zdaniem powinno się kotu pozwolić odejść. Nie zniosła tego dobrze. Pokrzykując, stwierdziła, że mogła nie przychodzić, że kot przed wizytą zdrowy, a teraz ma jakieś guzy, że mam się zająć leczeniem… Tego typu histeryczne hasła.

A niemym świadkiem tych naszych zmagań słownych był biedny kot, który pod tlenem próbował się nie udusić. Nie potrafię sobie wyobrazić, co czuło to biedne stworzenie. Walczyć o każdy oddech od nie wiadomo jak dawna. Z marnym efektem. My tymczasem mamy impas. Pani nie godzi się ani na konsultację, ani na eutanazję, ja nie mam realnych możliwości, aby pomóc zwierzęciu. *Summa summarum* podałem leki rozkurczowe i przeciwzapalne, żeby spróbować mu choć trochę ulżyć, a właścicielka czerwona ze złości zabrała go do domu. Wróciła nazajutrz z decyzją o eutanazji i „ciepłym" słowem. W skrócie: jestem dupa, nie lekarz, i kot umiera przeze mnie. Piękne przerzucenie odpowiedzialności na kogoś innego.

Próba zrzucenia odpowiedzialności za stan zdrowia na lekarza jest również cechą wspólną wielu klientów, którzy ignorowali objawy choroby. Ileż razy słyszałem: „Przed wizytą żył, a potem coś dostał i umarł" lub „Jakbym nie przyszła, toby jeszcze żył". Problem w tym, że mówią tak zwykle ludzie, którzy wnosili do gabinetu umierające zwierzę.

Czasem dzień zapowiada się źle, zanim jeszcze się na dobre zacznie. Jest 8.05 i jeszcze nawet nie zdążyłem się przebrać, a do gabinetu wnoszą psa. W typie jamnika. Głowa zwisa bezwładnie z rąk, na zewnątrz wisi język koloru śliwki z mlekiem, a z głębi gardła dobiega dźwięk, jakby ktoś próbował oddychać przez mokrą gąbkę. Taki gulgocząco-mlaskający. Od kiedy tak leży? Od wczoraj. Znaczy się wczoraj jeszcze głowę podnosił, ale kasłał od dwóch tygodni. Myśleli, że przejdzie. Osłuchuję. Wszystko wskazuje na obrzęk płuc, czyli sytuację, gdy w tkance płuc gromadzi się płyn, który utrudnia lub uniemożliwia oddychanie. Zakładam wenflon, ponieważ chcę podać dożylnie leki odwadniające. I owszem, założyć zdążyłem, ale podać czegokolwiek już nie. Pies zipnął i umarł. Przy stole stali jak zamurowani właściciele. Próbowałem resuscytacji. Ale umarł

definitywnie. Właściciel rzucił bardzo wulgarnym wyrazem, a właścicielka wpadła w histerię. Najpierw zaczęła wykrzykiwać słowa wyparcia, potem płynnie przeszła do obarczania mnie winą za zgon. W jej opinii założenie wenflonu zabiło psa. Ciekawe, nieprawdaż? Nie tygodnie kaszlu, nie leżenie od wczoraj, a lekarz, który nie zdążył nic zrobić. Finał był taki, że napisała o tym wszędzie w internecie. „Tam zabili mi psa!"

Czasem jest tak, że zdążę coś podać. I to coś niekoniecznie musi pomóc. Są sytuacje, gdy zwierzę i tak umrze, choćbyście stanęli na rzęsach. Bo nie wszystkich da się wyleczyć. Nie zawsze zdąży się z rozpoczęciem terapii. Jeśli wnosicie do gabinetu zwierzę konające, musicie liczyć się z tym, że ono umrze. Mimo podania leków. Po przekroczeniu pewnej granicy niezmiernie rzadko udaje się zawrócić. Dlatego tak ważne jest szybkie reagowanie. Jeśli dzieje się coś, co w waszej opinii może zagrażać życiu zwierzęcia, to nie obserwujcie. Jedźcie do weterynarza. Chociażby w nocy. Nie daje wam to gwarancji na wyleczenie. Nic wam jej nie da. Zwiększacie tym jednak szansę na sukces.

Prawie naturalnie przychodzi nam szukanie winnego naszych niepowodzeń. Niezmiernie rzadko słyszę: „Mogliśmy przyjść wcześniej" lub „Nasza wina, ignorowaliśmy objawy". Czasem tak, ale zwykle nie. Częściej spotykam się z obarczaniem winą mnie. Nie twierdzę, że weterynarze nie popełniają błędów. Zdarzają się i jest nam z nimi ciężko. Zwłaszcza że nasze błędy mogą kosztować kogoś zdrowie lub nawet życie. Nie sposób jednak być nieomylnym i czasem pozostaje mi powiedzieć: „Przykro mi, pomyliłem się". Jeśli błąd jest po mojej stronie, przeproszę, przyznam się, wezmę na klatę. Nie będę się jednak kajał przy każdej insynuacji. A niekiedy zarzuty są bardziej niż absurdalne.

Wyobraźcie sobie panią, która codziennie rano przez 11 lat chodziła ze swoim psem po chleb do piekarni. Pies przez 11 lat spacerował

luzem, bez smyczy. W jedenastym roku wybiegł na ulicę i wpadł pod koła jadącego samochodu. Pani narobiła rabanu i powodowany wyrzutami sumienia kierowca przywiózł ją wraz ze zwierzęciem do weterynarza. Właścicielka położyła pupila na stole, gdzie ten umarł, zanim ktokolwiek zdążył go do końca zbadać. Zwierzę zmarło wskutek wypadku. Bo nie szło na smyczy. Odpowiedzialna jest właścicielka, która mogła zabezpieczyć podopiecznego przed taką sytuacją. Nie w opinii wspomnianej niewiasty. Ta kieruje sprawę do rzecznika odpowiedzialności zawodowej, twierdząc, że: „Oni mu coś podali!". Rzecznik oświadcza, że winna jest właścicielka, i podaje argumenty, o których wspomniałem wcześniej. Ta odwołuje się raz, potem drugi, potem do rzecznika krajowego. Za każdym razem odpowiedź jest taka sama. Mimo to całe miasto wie, że zabiliśmy pani psa. Kto jest winny w opinii społeczeństwa?

Ta zakrawająca o absurd sytuacja naprawdę się przydarzyła. Nie ja byłem bezpośrednim obiektem ataku, ale pacjenta i sytuację pamiętam doskonale. Jeszcze pół roku po całym wydarzeniu trafiały do nas opowieści przynoszone przez klientów o tym, co kobieta wygaduje wszystkim naokoło.

Gorzki wyszedł ten rozdział. Myślę jednak, że jest potrzebny. Wiele tych zaniedbań, o których wspomniałem, bierze się z nieświadomości, a nie ze złej woli. Doskonale to rozumiem. Rola edukacyjna to też element mojej pracy. Może ktoś odnajdzie w którejś z historii siebie i zmotywuje się do zmiany. Choć z drugiej strony gorąco wierzę, że czytający tę książkę opiekunowie zwierząt doskonale wiedzą, jak się zachować.

Na koniec zostawiłem sobie jeszcze jedną drobną radę, która może pomóc w podjęciu decyzji o wizycie w gabinecie weterynaryjnym. Mieszkając pod jednym dachem ze swoim zwierzęciem, zauważyliście pewnie, że jego rytm dobowy jest dość regularny. Jego dzień wyznacza wypracowana przez was rutyna. Posiłki, wyjścia, zabawa,

pieszczoty tworzą schemat, który pewnie realizujecie całkiem nieświadomie. Jeśli nagle coś ulegnie zmianie w zachowaniu pupila, nie zastanawiajcie się długo, odwiedźcie swojego lekarza. Nie odczyta tego jako paniki, obiecuję. Czasem to, że wasz kot nie przyszedł się rano przywitać, będzie jedynym objawem choroby. To wy znacie swoje zwierzęta najlepiej, korzystajcie z tego. A jeśli faktycznie spanikujecie? Co z tego? Pośmiejemy się, ale przynajmniej będziecie wiedzieć, że wszystko jest w porządku. My naprawdę wolimy panikarzy niż olewaczy.

[51] Tutaj chciałbym od razu wyjaśnić, że u psa, kota czy u każdego innego stworzenia kolano to połączenie między kością udową a piszczelową. Zawsze znajduje się z tyłu zwierzęcia. Z niewiadomych przyczyn wielu ludzi za kolano uważa u zwierząt łokieć. Pewnie dlatego, że te chodzą z reguły na czterech kończynach = czterech nogach = ma cztery kolana. To nie jest prawda. Kolana są z tyłu. Zawsze.

[52] Do lipca 2020, gdy umarła moja babcia, miałem szczęście mieszkać w czteropokoleniowym domu. Obecnie oprócz nas, czyli mnie, mojej żony i dwójki naszych dzieci, mieszkają tu moi rodzice i od czasu do czasu brat.

[53] Gruczoł sutkowy występuje u suk i kotek w formie pakietów rozlokowanych parzyście po obu stronach ciała, od pachwin aż po pachy. Kawał gruczołu!

Rozdział XII
Starość nie radość

Gdy byłem dzieckiem, wydawało mi się, że maksymalny wiek, jakiego dożywają zwierzęta, to 12 lat. Tak się złożyło, że wszystkie zwierzęta, które wtedy uważałem za stare, odchodziły mniej więcej w takim wieku. Moja Kluska musiałby już zatem pomału pakować się na tamten świat, bo właśnie zaczęła trzynasty rok życia. Tymczasem ona się nigdzie nie wybiera i mimo że ma pewne kłopoty zdrowotne, liczę, że zostanie z nami jeszcze kilka lat.

Prawdą jest, że w nie tak odległej przeszłości średnia wieku zwierząt towarzyszących była niższa niż obecnie. Wynikało to z prostej rzeczy. W małych miejscowościach i na wsiach nie leczono psów i kotów, bo weterynaria miała tu inne priorytety. Ironizując, można rzec, że wymagano od lekarzy zajęcia się „poważniejszymi przypadkami" – leczeniem zwierząt gospodarskich. Ja osobiście takich czasów nie pamiętam. W naszym domu, gdy było trzeba, zawsze leczyło się czworonogi. W dużych miastach było lepiej niż na wsi czy w miasteczkach. Tam zawsze można było otrzymać pomoc. Jednak w takim jak moje… było to prawie niemożliwe.

Jak wyglądało leczenie kotów i psów w wielu miejscach, dobrze ilustruje historia, którą opowiedział mi jeden ze starszych lekarzy pamiętających tamte czasy. Do powiatowej przychodni, mającej dyżur od piątku do poniedziałku, przyszli państwo z kotem. Była

niedziela rano. Zadzwonili do drzwi. Nikt im nie otworzył. Z okna na piętrze wychyliła się głowa technika, który posłał przybyłym pytające spojrzenie.

– Z kotem przyszliśmy! – wołają ludzie.

– Z czym przyszliście? – spytał z niedowierzaniem technik.

– Z kotem…

– Z czym przyszliście?!

– Z kotem…

– Z CZYM PRZYSZLIŚCIE???!!!

Nie odpowiedzieli ponownie, uciekli. Jest to strasznie smutne.

Wraz z przemianami ustrojowymi przeobrażeniu musiała poddać się również weterynaria. Po upadku komunizmu zaczęły w końcu powstawać prywatne praktyki, a lekarze weterynarii mogli wybrać, co chcą robić. Wielu z nich kontynuowało pracę w terenie, jednak inni poświęcili się opiece nad małymi zwierzętami. Wraz z otwarciem granic mogli zacząć uczyć się od kolegów z Zachodu, gdzie weterynaria szła łeb w łeb z medycyną. Zainicjowano kursy specjalizacyjne. Możliwości w lecznictwie zwierząt towarzyszących stopniowo rosły. Obecnie właściwie nie odbiegamy ani od Zachodu, ani od medycyny ludzkiej.

Równolegle rosła świadomość właścicieli zwierząt. I to chyba najistotniejszy fakt w sprawie wydłużenia się średniej życia zwierząt. W tej materii przeżyliśmy swojego rodzaju rewolucję. Nastąpiła zmiana myślenia z „to tylko zwierzę” na „to aż zwierzę!”. Oczywiście nie wszyscy zmienili podejście. No i ta zmiana ma także swoje złe strony. Jednak lekarze zgodnie mówią: „Jest lepiej. Ludzie chcą leczyć swoje zwierzęta”. Świadomość właścicieli nabrała rozpędu wraz z upowszechnieniem się internetu. Nagle cała wiedza ludzkości znalazła się na wyciągnięcie ręki. Opiekunowie zwierząt chętnie z tego skorzystali. I korzystają nadal.

Zwierzęta żyją coraz dłużej. Niestety wciąż trafiają się takie, których żywot jest krótszy, niż mógłby być, z powodu podejścia ludzi. Czasem człowiek uważa, że wystarczy, jak zwierzę ma dom i dostaje jeść. A jak chore lub stare, to do weta uśpić. A jeśli nikczemnik nie chce wykonać tego zabiegu, to do lasu albo na ulicę. Nie żyjemy w idealnych czasach. Media co rusz krzyczą o aktach okrucieństwa wobec zwierząt.

To, że długość życia zwierząt rośnie, stawia nas przed nowymi wyzwaniami. W sumie, jakby się tak zastanowić, to pewnie połowa moich pacjentów jest u progu starości lub już ją osiągnęła. Pisząc „nas", mam na myśli nie tylko lekarzy weterynarii, lecz także właścicieli. A może przede wszystkim właścicieli. Ciężar opieki nad staruszkiem spoczywa w większości na ich barkach. My oczywiście pomagamy, jak potrafimy, mimo to wszystko leży w rękach opiekunów.

Niestety czas płynie bardzo szybko. Mała puchata kulka nagle staje się dorosłym zwierzęciem, żeby za chwilę posiwieć na pysku i wyhodować sobie zaćmę[54]. Kiedy to się stało? Wiecie, sam sobie zadaję to pytanie. Przecież ja też jestem opiekunem. Wydawać by się mogło, że zaledwie wczoraj Kluska była takim małym słodziakiem ze zbyt dużymi uszami, o które wciąż się potykała, a tu nagle skończyła już 12 lat. Przez ten czas mieliśmy dużo szczęścia, gdyż w zasadzie nie chorowała. Jakiś kamień nazębny, jakaś jednorazowa biegunka, zapalenie oskrzeli za szczeniaka – i w zasadzie tyle. Poza walką z nadwagą przez całe życie, ale o tym opowiadam gdzie indziej. Teraz musimy się zmierzyć ze starością.

Całkiem niedawno, w trakcie rutynowego przeglądu, okazało się, że i Kluskę dosięgnęły przypadłości wieku bardzo dojrzałego. Serducho nie pompuje już, jak należy, w tkance płucnej zaczyna gromadzić się płyn (jeszcze nie ma obrzęku, ale może ją dopaść w każdej chwili), wątroba zajmuje połowę objętości jamy brzusznej.

Badanie krwi pokazało, że zaczyna być niewydolna. A zaniepokoiło nas jedynie to, że naszemu w zasadzie grubemu psu urósł sam brzuch. Innych objawów brak. A jednak pies potrzebuje leczenia. Stałego, do końca życia. Ja nie mam z tym problemu, ona natomiast bardzo duży. Irytujące w tej sytuacji jest to, że Kluska zje wszystko. Poza lekami. Te muszę dwa razy dziennie wciskać jej do gardła. Przygnębiająca perspektywa na najbliższe lata, bo już teraz jak mnie widzi, to zwiewa tak, że się kurzy. Pracujemy jednak nad sobą, zobaczymy, co czas przyniesie.

Stałe podawanie leków jest jednym z wyzwań, przed którymi stają właściciele zwierzęcia w podeszłym wieku. Zwykle nie chodzi przecież o jedną tabletkę. Bywa, że jest ich całkiem sporo. I nie każdy pacjent chce dzielnie połykać swój przydział. A my mamy przed sobą perspektywę mozolenia się z lekami przez tygodnie, miesiące, a nawet lata. Niektórzy są szczęściarzami i ich zwierzę zjada wszystko ładnie i bez gadania, inni natomiast muszą kombinować.

Mimo iż Kluska jest psem świetnym w obsłudze – wszystko: od pazurów, przez podanie zastrzyków, po pobieranie krwi mogę robić bez wsparcia osób trzecich – tabletek jeść nie chce. Nawet tych reklamowanych jako „Supersmaczne, psy za nimi szaleją!". Co jest dziwne, bo w swoim życiu zaliczyła parę przygód z pożeraniem leków, których zjadać nie powinna.

Będąc szczenięciem, wsunęła całą paczkę tabletek uspokajających, takich spod znaku: „Bierz i bądź szczęśliwy". Została sama w domu na dwie godziny i wśród wielu wyrządzonych wtedy szkód znalazła się konsumpcja pigułek. Wszyscy byliśmy wtedy za granicą, w domu pozostała babcia z psem. O przygodzie dowiedzieliśmy się na drugi dzień (grubo po fakcie). Pies mimo zjedzenia takiego, a nie innego preparatu nie uspokoił się.

Można by pomyśleć, że skoro sama zżera, co popadnie, nie będzie problemów z lekami, gdy faktycznie będzie trzeba je brać. Nie ma mowy. Z ręki nie wzięła. W specjalnym przysmaku do podawania tabletek nie zjadła. W szynce – wędlinę zjadła, tabletki wypluła. Muszę więc stosować metodę „siła pomnożona przez gwałt", to znaczy otwieram japę i wkładam do gardła. Jak dobrze się domyślacie, nie robi to dobrze naszym relacjom.

Klienci często dzielą się ze mną opowieściami z cyklu: „Jak ja się muszę męczyć, żeby to zjadł". Niekiedy muszą się nielicho natrudzić. Jak człowiek ma szczęście, to wystarczy lek zmieszać z czymś smacznym lub w czymś takim upchać. Inni robią zawiesiny i roztwory, które pompują strzykawką. Jeszcze inni, tak jak ja, ryzykują utratę palców.

Podaliśmy w końcu lek i możemy być z siebie dumni, prawda? Bo podaliśmy przecież. Możemy? Chciałbym przytaknąć. Niestety nie mamy pewności, że ta pozornie wygrana bitwa faktycznie okazała się naszym triumfem. Zwierzęta też kombinują…

Leczyłem kota z powodu stopniowo nasilających się duszności i kaszlu. Diagnostyka, której nie będę tu opisywał, wskazywała na astmę kotów. Zwierzak kilkunastoletni, ale do momentu choroby pełen werwy. Po lekach ładnie wracał do formy. Rozpisałem, co i jak właściciele mają podawać, i poprosiłem o kontrolę za jakiś czas. Wrócili szybciej, niż sądziłem. Leki przestały działać, kocisko znów się dusi. Skoro nie działają, zmieniliśmy schemat leczenia. O tym, dlaczego mimo podawania leków nie było poprawy, dowiedzieliśmy się po kilku tygodniach. Kot dostał tabletkę przeciwko robakom. Po zjedzeniu jakoś tak dziwnie czaił się po kątach. Właściciele postanowili obserwować, co kocur wymyśli. Po trzydziestu minutach od podania piguły podszedł do komody, zrobił „pfffuuj!" i tabletka wylądowała na podłodze. Następnie cwany zwierzak wepchnął ją pod wspomniany mebel. Właściciele później zrobili rewizję

przestrzeni podmeblowej i odkryli składowisko leku, który rzekomo nie działał.

Nie poddawajmy się jednak. Kwestia leków jest zawsze do rozwiązania. Chcieć to móc. I mimo że uciążliwe, leczenie daje nam szansę na uszczknięcie jeszcze chwili ze swoim przyjacielem.

Starość nie radość, mówi przysłowie, i faktycznie nie jest to łatwy okres w życiu. Zarówno dla moich pacjentów, jak i ich opiekunów. Nagle musimy zmierzyć się z faktem, że zwierzętom czas leci znacznie szybciej niż nam. Bo przecież co to jest te 16 lat?! Chwila! A ten nam tu wciska, że nasz kot jest stary. Też coś… Jest też bardzo prawdopodobne, że znienacka staniemy się stałymi bywalcami gabinetu weterynaryjnego. Tam będziemy odsłaniać kolejne elementy układanki pod tytułem: „Co przestało działać u mojego psa". Niestety, gdy w organizmie wysiada jeden narząd, jest duża szansa, że wkrótce posłuszeństwa odmówi kolejny.

Staruszkiem, którego będę zawsze pamiętał, jest pudel Boni. Spędziliśmy ze sobą kupę czasu. Mieliśmy wzloty i upadki, jednak walczyliśmy z opiekunami o spokojną starość przez cztery lata. A zaczęło się od tego, że Boni miał mieć zapalenie płuc…

Pani w średnim wieku z dorosłym synem wprowadzili na salę pudla maści brzoskwiniowej. Kastrowany samiec, jedynie czternastoletni. Leczony od trzech tygodni na zapalenie płuc. Bo kaszlał. Właściciele zaczęli się martwić, bo nie dość, że pies nie zdrowiał, to dodatkowo czuł się z dnia na dzień coraz gorzej. Nie lubię takich przypadków. Raz, że to tak niezręcznie poprawiać po kolegach, a dwa, ponieważ zwykle większość leków została już podana i trzeba główkować nad nową terapią. Ale co począć. Zaczynam osłuchiwać i mina mi rzednie. Oj, to nie zapalenie płuc…

Tu mały przerywnik. Każde dziecko wie, że serce bije mniej więcej tak: bum, bum. Najlepiej, żeby te bumbumy były w równym rytmie. Ten dźwięk bierze się od uderzenia fali krwi o zastawki po ich

zamknięciu. Zastawki pełnią w sercu funkcję zaworów. Niekiedy w wyniku choroby lub wad wrodzonych u niektórych zwierząt (i ludzi!) zastawki zmieniają kształt i nie zamykają się całkowicie. W rezultacie część krwi przy skurczu komór, gdy zastawki powinny być zamknięte, wraca do przedsionków. Osłuchując serce, zaczynamy słyszeć szmer…

Boni miał taki szmer sercowy, że aby go stwierdzić, właściwie nie potrzebowałem stetoskopu. Na próżno szukałem jakichś prawidłowości w pracy serca. Poza szmerem stopnia szóstego w sześciostopniowej skali serce biło całkowicie arytmicznie, w tempie około 170 uderzeń na minutę[55].

Dodatkowo te płuca! Brzmiały tak, jakby ktoś próbował wciągać powietrze przez bardzo mokrą gąbkę. Zamiast zwykłego szmeru oddechowego słyszalne były silne trzaski i mlaskania, które – biorąc pod uwagę ogólny zły stan zwierzęcia i intensywną duszność – nasuwały jedną myśl: OBRZĘK PŁUC. Jak wiadomo, płuca nie służą do gromadzenia płynu, tylko do pobierania powietrza. Płyn w miąższu tego narządu znacznie utrudnia ten proces. Tak jakoś wyszło, że bez tlenu większość znanych nam organizmów sobie nie radzi. Dlatego też obrzęk płuc należy traktować jako bezpośrednie zagrożenie życia. Powiedziałem o tym wszystkim właścicielom. Zmartwili się okrutnie. Na szczęście stan nagły udało się ustabilizować. Boni szybko wrócił do zdrowia. No, na tyle, na ile mógł wrócić, bo jego serce wymagało stałego wspomagania. Leczenia wielokierunkowego, bo wsparcia pracy serca bezpośrednio, odwadniania, regulacji rytmu itd. Widywałem się z tym psem przynajmniej raz w miesiącu przez cztery lata. Miał swoje wzloty i upadki. Dołów było mnóstwo, ale jakoś tak zawsze wychodził z nich z tarczą. Śmialiśmy się z właścicielką, że jest nieśmiertelny. Niestety, nie był. Serce pracujące niewydolnie obciąża także inne narządy. Krótko przed osiemnastką u Boniego pojawił się problem z nerkami.

Nie od razu olbrzymi, ale nasilający się stopniowo. W końcu po czterech latach znajomości musieliśmy się pożegnać. Łza mi się w oku kręci, gdy go wspominam. Zakończyliśmy jednak współpracę z właścicielami z obustronnym poczuciem, że zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Dzięki rzetelnej pracy opiekunów i mojej drobnej pomocy Boni otrzymał dodatkowe lata życia. Myślę, że przeżył je w komforcie.

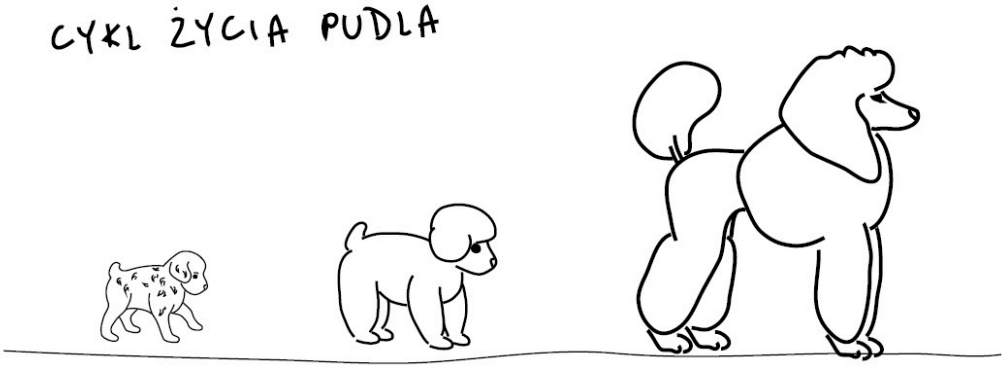

Problemy sercowe dotykają starszych zwierząt. Są powszechne i wiele przewlekle kaszlących psów cierpi właśnie na niedomogi kardiologiczne. Zdarza się to na tyle często, że lekarz może się złapać na przedwczesnym wyciąganiu wniosków.

Mój kolega z pracy często opowiada o swoim przypadku. Pewnego razu przyszła do niego pani z psem w wieku matuzalemowym i informacją, że pupil kaszle od jakiegoś czasu. Właścicielka wysunęła sugestię, że może mu coś w gardle utknęło. Kolega osłuchał psa, który miał wyraźny szmer sercowy, i zaczął pani tłumaczyć przyczynę kaszlu mającego podłoże kardiologiczne i ewentualne możliwe postępowanie. Kwestię uwięźnięcia czegoś

w gardle zignorował. Pies tymczasem napiął się, skrzywił, odchrząknął i wycharczał kawałek kości. Kolega został bez słów. Mimo tego, że pies faktycznie miał chore serce, trudno było wetowi w tym momencie przekonać opiekunkę do swoich racji. Cóż, w weterynarii nie ma oczywistości i pewników.

Starość to również problem przewlekłego, niemanifestującego się jakoś specjalnie bólu. Wspominałem o tym w rozdziale poświęconym cierpieniu. Zwierzęta stare poruszają się gorzej, wolniej, sztywniej. A nam łatwo uznać, że tak musi być. W końcu starość. Chodzi, nie skarży się, więc nie ma się czym martwić. Nagle zwierzę przestaje chodzić całkowicie. Później, gdy wspólnie z właścicielem zaczynamy analizować ostatnie tygodnie czy nawet miesiące, okazuje się, że zwierzę wysyłało opiekunom sygnały. Subtelne, bo subtelne, ale jednak. A to niechęć do pokonywania schodów, a to długie rozchodzenie się rano, mniejsza aktywność na spacerze. Koty, które są największymi twardzielami, jeszcze trudniej rozgryźć. Gdy jednak zastanowimy się chwilę, możemy dojść do wniosku, iż ten czy ów zrezygnował nagle z dzikich skoków po meblach, że jakoś tak bardziej włóczy się po mieszkaniu, niż chodzi. A może po prostu wziął i schował się za szafą albo przestał korzystać z kuwety. Przerażające jest to, jak łatwo nam przeoczyć ból u naszych czworonożnych przyjaciół. Nie dziwi mnie to, bo jak widzicie, objawy są czasem dość skąpe. Mimo to, gdy człowiek sobie uświadomi ten fakt, to skala problemu może zjeżyć włos na głowie. I obudzić wyrzuty sumienia, gdy zwierzę właściwie już niechodzące po zastosowaniu odpowiedniej terapii łapie piłkę w zęby albo wskakuje na swoje zwyczajowe miejsce na parapecie, czego nie robiło od długiego czasu.

Ból kojarzy nam się z urazem. A jest to niewielki wycinek ogromnej całości związanej z tym tematem. Boleć mogą zwyrodniałe stawy, w których gładkie niegdyś powierzchnie stawowe zamiast ślizgać się

z łatwością, trą i szorują. Ból może mieć tło neurogenne związane z chorobami kręgosłupa. Albo charakter kolkowy, gdy jelita nie pracują tak, jak należy. I wcale nie musi mieć olbrzymiego natężenia. Jednak nawet niewielki ból odczuwany stale może znacząco utrudniać życie.

Nie należy jednak zwalać wszystkich problemów motorycznych na ból. Owszem, to duża część przypadków, ale nie wszystkie. Czasem kończyny nie działają, ale nie bolą. Żeby móc się poruszać, potrzebujemy oczywiście mięśni i kośćca połączonego stawami, które te będą wprawiać w ruch. Co jednak sprawia, że one się kurczą i rozkurczają? Odpowiedzialny jest za to układ nerwowy. Mózg wraz z rdzeniem kręgowym sterują naszą motoryką. W dużej mierze bez udziału naszej woli. Weźmy na przykład takie mięśnie grzbietu. Niby są mało ruchliwie, a gdyby nie to, że nieustannie się kurczą, nie przyjęlibyście pozycji wyprostowanej. A myślicie o tym, by tak się działo? No właśnie nie. Cała masa pracy w naszych ciałach odbywa się bez naszego udziału.

Gdy gdzieś w układzie nerwowym zawodzi przewodnictwo, nagle kończyny przestają działać tak, jak powinny. Zwierzęta potykają się albo wcale nie są w stanie utrzymać ciężaru ciała na łapach. Krzyżują kończyny, chodzą na grzbietach dłoni i stóp. Bywa, że kręcą się w kółko, zarzucają zadem albo odwracają głowę w bok. I generalnie nic ich nie boli. Chodzenie jest utrudnione lub niemożliwe, ale raczej budzi to frustrację, niż sprawia fizyczny dyskomfort. Oczywiście młode zwierzęta także mogą cierpieć z powodu zaburzeń neurologicznych. Ja osobiście częściej widuję je jednak u starszych czworonogów. W sumie nie powinno to dziwić. Starzeje się każdy fragment ciała. Układ nerwowy także staje się mniej wydajny.

Niekiedy już po prostu nie ma masy mięśniowej, która by sprawnie poruszała kończynami. W wyniku procesów starzenia się organizm ma utrudnioną zdolność do budowania tkanki mięśniowej lub traci ją

całkowicie. Dodatkowo mechanizmy służące dostarczaniu energii potrzebnej do funkcjonowania organizmu stają się coraz mniej efektywne. A mięśnie to białko. Znaczy się dobre źródło energii. *Summa summarum* jeśli spada masa mięśniowa, to obniża się sprawność motoryczna. Co jeszcze pogłębia problem, bo przecież wszyscy wiedzą, że narząd nieużywany zanika. Mięśnie, które nie pracują, również stopniowo zanikają. Błędne koło. I jak tu biegać, skoro nie ma mięśni, które będą machać łapkami?

Mięśnie nie odpowiadają tylko za poruszanie kończynami. Ubytek masy mięśniowej, dobrze widoczny na zwierzęcych udach, dopada też inne partie ciała. Zwierzęta w podeszłym wieku wyglądają niekiedy jak szkielety obciągnięte skórą mimo ogromnego, według właścicieli, apetytu. U niektórych można omacać struktury kostne, których rozpoznawania uczy się student na wypreparowanych kościach. Zdarza się, że właściciel, który nagle zauważy, że ten jego zwierz jest jednak ciut za chudy, biegnie do weterynarza, bo pupilowi tam na głowie guz urósł. Potem się okazuje, że jest to na przykład wyniosłość potyliczna, którą ma każdy pies czy kot, ale u zwierzęcia zdrowego, w pełni sił witalnych jest przykryta przez mięśnie. Uprzedzając potencjalne pytania, guzowatości potylicznej się nie usuwa. Mówię serio.

Zanik mięśni czaszki, zwłaszcza w części twarzowej, ma swoje konsekwencje. Wiele z tych mięśni odpowiada za poruszanie żuchwą w trakcie pobierania pokarmu. Gdy ta okolica robi się szczuplejsza, nagle coś tak podstawowego, jak jedzenie, staje się wyzwaniem. Właściciele obserwują, że ich pupile rezygnują z twardego pokarmu, jedzą mniej lub nagle odskakują od miski w trakcie spożywania posiłku. Czasem sprawiają wrażenie, jakby posilanie się sprawiało im ból. Co oczywiście również może mieć miejsce! Bywa, że resztki mięśni, które zostają na twarzy wyniszczonego pacjenta, nie dość, że

nie mają siły na odpowiednie wprawianie żuchwy w ruch, to jeszcze bolą w trakcie pracy.

Starość nie jest chorobą, tylko konsekwencją procesów, które toczą się w każdym żywym organizmie. Mimo to starość sprzyja chorobom. W przypadku niektórych szansa na zachorowanie wzrasta wraz z wiekiem. Weźmy na przykład przewlekłą niewydolność nerek u kotów. Dane są różne, ale zakłada się, że na tę chorobę cierpi około 3% wszystkich kotów. Wydaje się niewiele, prawda? Gdy jednak weźmiemy pod uwagę koty w randze seniora (10–14 lat), badania sugerują, że choruje 40–60% populacji. Jeśli to wydaje się wam dużo, to w grupie geriatrycznej (15–20 lat) zapadalność na przewlekłą niewydolność nerek może przekraczać 80%. Takie wartości robią wrażenie, czyż nie? Co prawda profesor na lekcjach statystyki lubił podkreślać, że statystyka nagminnie kłamie, nie zmienia to jednak faktu, że przewlekła niewydolność nerek jest jedną z najczęściej diagnozowanych chorób u kotów starszych. A jak ona przebiega? Podstępnie. W telegraficznym skrócie: mamy dwie nerki, podobnie koty. Zakłada się, że objawy przewlekłej niewydolności nerek widoczne dla właściciela pojawiają się, gdy nieczynne jest już 75% nefronów[56]. Czyli jedna nerka zepsuta całkowicie, a druga działa na pół gwizdka. Proces toczy się miesiącami, a nawet latami, a nieświadomy opiekun niczego nie podejrzewa. Większość kotów trafia przez to do lekarza w stadium zaawansowanym, kiedy niewydolność nerek doprowadziła do stanu zwanego mocznicą. Wszyscy produkujemy mocznik na skutek metabolizmu białek. Jest on bardzo toksyczny i to do nerek należy pozbycie się go wraz z moczem. Gdy filtracja zawodzi, jego stężenie we krwi wzrasta i pojawiają się objawy, a wśród nich przykry (moczowy) zapach z jamy ustnej, wymioty, spadek apetytu, pogorszenie okrywy włosowej, później objawy neurologiczne. A w końcu przychodzi śmierć. Jest to choroba, której nie da się wyleczyć, jednak można ją

leczyć. Na to jednak, jak długo kot będzie żył i jaka będzie jakość tego życia, ma wpływ szybkość diagnozy. Dlatego tak ważne są badania kontrolne. Chcemy „złapać" niewydolność nerek, zanim pojawią się objawy. Pozwolą nam na to okresowe badania krwi. Byłoby super, gdyby każdy kot w wieku od 8 do 12 lat miał badaną krew raz w roku, a te starsze raz na pół roku.

Psy też chorują na przewlekłą niewydolność nerek. Zasadniczo starość idzie w parze z chorowaniem. Część chorób podstępnie tkwi w ukryciu, by nagle uderzyć. Dlatego tak ważne są badania kontrolne. Pewne schorzenia można dzięki nim wykryć, zanim będą widoczne dla nas w postaci zespołu objawów. Niestety nie ma odpowiedzi na pytanie, jak często wykonywać badania u zwierząt (mimo tego, co napisałem wcześniej!). Nie mają one określonego terminu ważności. Często gdy proponuję właścicielom badanie krwi, słyszę, że przecież badali. Rok temu. Dwa lata. A ja wtedy mam przed oczami pewnego kocura, który we wrześniu był klinicznie zdrowy, w badaniu krwi nie miał jakichkolwiek odchyleń, a pod koniec października trafił do nas w stanie totalnego wyniszczenia i z kosmiczną mocznicą. Gdybym nie widział go miesiąc wcześniej, nie uwierzyłbym, że to ten sam zwierz. Dlatego jeśli chodzi o częstotliwość badań u staruszków, powinno się je wykonywać regularnie raz, dwa razy w roku i zawsze, gdy coś się dzieje nie tak.

Zwierzęta żyją zdecydowanie dłużej. Obecnie 16 lat dla kota to nie jest żaden wyczyn. Wiele psów również żyje solidne naście lat, nawet wśród ras nieuznawanych za długowieczne. Co rusz słyszymy o nowych rekordach świata. Ja też miałem okazję poznać kilka zwierząt w wieku bardziej niż zaawansowanym. Wśród nich w czołówce plasuje się dwudziestosiedmioletni kot i rok młodszy pies. Wyniki godne pozazdroszczenia!

Wraz z dłuższym życiem zaczynamy obserwować u naszych podopiecznych nie tylko zmiany fizyczne. Owszem, te rzucają się

w oczy całemu otoczeniu. Włosy przestają błyszczeć i się przerzedzają, zaćma nadaje oczom nieco upiorny wygląd, często nawet pulchne zwierzęta zaczynają tracić na wadze. Śmierdzi z pyska, pupile może już nie do końca radzą sobie z potrzebami fizjologicznymi, a na spacerze włóczą się za właścicielem. Taki oto obraz zwierzęcej starości widzi świat zewnętrzny. Pod powierzchnią całej palety staruszkowych problemów istnieje jeszcze warstwa zmian możliwych do uchwycenia właściwie tylko przez ludzi przebywających na co dzień ze zwierzęciem.

Przez wydłużającą się długość życia nagle ludzie uświadomili sobie, że demon starości, który budzi w nas obawy związane z tym etapem życia, dotyka też zwierzęta. Mam na myśli demencję. Nie wiem, jak wy, ale mnie ona przeraża. Często człowiek dotknięty tym schorzeniem nie dość, że jest niezrozumiały dla swojego najbliższego otoczenia, to dodatkowo staje się obiektem drwin. Taki śmieszny staruszek ze sklerozą. Bywa, że nawet rodzina, zamiast pomóc takiej osobie przeżyć pozostałe jej dni w spokoju, jest źródłem krzywd.

Zmiany zachowania podobne do tych wynikających z ludzkiej demencji obserwujemy także u zwierząt. Te na szczęście zwykle są otoczone większą troską niż niejeden ludzki staruszek. Psy i koty oczywiście nie prezentują nam tych problemów w sposób tak oczywisty, jak ludzie. Nie potrafią zgłosić, że coś jest nie tak. Niekiedy po prostu zamienia się pora odpoczynku z porą snu. Nagle może się okazać, że nasz geriatryczny pies przesypia cały dzień, a w nocy żąda spaceru, a dwudziestoletni kot urządza koncert lub budzi nas o 4.00, bo to przecież już pora na śniadanie. Zmiany mogą dotyczyć także sposobu postrzegania świata przez naszego przyjaciela. Niektóre zwierzęta sprawiają wrażenie otępiałych, przestają reagować na wysyłane przez nas sygnały lub zachowują się tak, jakby nie wiedziały, gdzie są i z kim mają do czynienia. Czasem przestają dostrzegać różnicę między mieszkaniem a światem

zewnętrznym i załatwiają swoje potrzeby, gdzie popadnie. No i jak u każdej babci czy dziadka wzrok już nie ten, a głuchota postępuje z dnia na dzień.

Mam takiego jednego pacjenta, który idealnie obrazuje to, jak może się zmienić zachowanie zwierzęcia dotkniętego starością. Jest to czternastoletni sznaucer miniaturowy. Znam go od początku swojej pracy. Gdy był młodszy, gryzł wszystkich dookoła. Potrafił złapać za palec nawet swojego pana, gdy ten próbował zrobić coś, czego pies sobie nie życzył. Pewnego dnia zmartwieni właściciele przyszli powiedzieć, że z ich psem jest coś nie tak. Był na podwórku i nie pogonił listonosza, który nieopatrznie wszedł na posesję. Co więcej, pozwolił mu się pogłaskać! Przeprowadziliśmy wiele badań i właściwie jak na swój wiek psi organizm działał bardzo dobrze. Zmiana nastawienia do obcych okazała się pierwszym objawem demencji. Obecnie do zestawu dołączyło przesypianie całego dnia, aby w nocy budzić opiekunów co godzinę.

Starości nie da się uniknąć. Skoro tak, to musimy się z nią zmierzyć. A to stanowi nie lada wyzwanie. Często jedna choroba goni drugą. A że zwykle nie leczymy tylko jednej, ale cały zespół schorzeń, musimy wziąć pod uwagę wzajemne interakcje między preparatami i to, że czasem współistnienie pewnych problemów nie pozwala nam na wprowadzenie danego schematu postępowania. Zdaję sobie sprawę, że nie dotyczy to tylko starości. Mimo to nie znam ani jednego geriatrycznego pacjenta, który mierzyłby się tylko z jedną chorobą. W przypadku zwierząt młodszych nie jest to niezwykłe. Staruszkowie to natomiast jedna wielka kumulacja schorzeń. Dodatkowo przy okazji badań kontrolnych odkrywa się kolejne problemy, co zmusza do modyfikacji ustalonych już schematów postępowania. Leczenie pacjentów w wieku podeszłym zdecydowanie przysparza pracy lekarzom weterynarii.

Wyzwaniem jest również współpraca z właścicielem. Trzeba mu wytłumaczyć, jakie leki i kiedy podawać. I dlaczego do końca życia, na przykład. Poza tym wyczulić go, na co zwracać uwagę, kiedy przyjść natychmiast, a kiedy można poczekać do umówionego terminu wizyty. Warto jest też pokornie słuchać tego, co opiekun ma do powiedzenia. Nawet jeśli jest gadułą. Bo to właśnie on żyje ze zwierzęciem i jeśli zdarzy się, że potraktuje lekarza potokiem słów, to wśród nich pewnie jest ta kluczowa informacja, która dla nas okaże się niezbędna. Bez współpracy z właścicielem nie można pomóc zwierzęciu. W jakimkolwiek wieku.

[54] Zaćma to zmętnienie soczewki oka. Może doprowadzić do całkowitej ślepoty. Wynika z zaburzenia przemiany materii.

[55] Średnie tętno spoczynkowe (nie po wysiłku) u zdrowego psa waha się od 100 do 120 uderzeń na minutę. Tętno przekraczające 160 uderzeń jest tętnem świadczącym o niewydolności krążenia.

[56] Nefrony to jednostki filtracyjne, z których składają się nerki. To tam dochodzi do usuwania substancji toksycznych i odzyskiwania tego, co jeszcze organizm może wykorzystać.

Rozdział XIII
Wszystko się kiedyś kończy – rzecz o eutanazji

Od dwudziestu minut wpatruję się w monitor komputera i zastanawiam się, jak zacząć. Biorąc się do pisania tej książki, postanowiłem, że pomoże ona zrozumieć czytelnikom, na czym polega moja praca. A głównym jej celem jest wszak zapobieganie zwierzęcemu cierpieniu. Niestety, nie zawsze koniec cierpienia oznacza wyleczenie. Bez opowieści na tematy ostateczne wszystko to, o czym wam tu opowiadam, nie miałoby sensu. Ale zacząć niełatwo…

Gdy byłem gołowąsem, wydawało mi się, że dzięki temu, iż zostanę lekarzem weterynarii, będę mógł pokonać śmierć. Myślenie nader naiwne, wiem. Jednakże gdy wspominam wykłady i ćwiczenia w czasie studiów, przypomina mi się, że zwykle nawet w przypadku śmiertelnej choroby prowadzący wpajali nam metody leczenia. Mózg działa sprytnie i bardzo chętnie nas oszukuje. Dla naszego dobra oczywiście. Mój połączył fakty w taki sposób, iż stworzył iluzję, że wszystko można wyleczyć. Pierwsza konfrontacja z kliniczną rzeczywistością zburzyła mur mirażu. Właściwie powinno się mówić: „Wszystko można leczyć, ale nie wszystko da się wyleczyć".

Czas płynie nieubłaganie w jedną stronę. Jedyną pewną rzeczą w naszym życiu jest to, że jeśli zaistnieliśmy już na tym świecie, to będziemy musieli go kiedyś opuścić. Jedni prędzej, inni później,

każdy jednak spotka się kiedyś z kostuchą. Niektórzy mówią, że to niesprawiedliwe, uważam jednak, że są w błędzie. To jest jedyna sprawiedliwość w naszym życiu, bo śmierć będzie udziałem każdej żywej istoty.

Nie wiem, kto jest autorem tych słów, ale przeczytałem gdzieś kiedyś następujące zdanie: „Jedyną wadą zwierząt jest to, że krótko żyją". To prawda. Gorzka prawda, którą prędzej czy później musi przełknąć każdy zwierzęcy opiekun. Przecież dopiero co nasz ukochany czworonożny domownik był taką małą puchatą kulką. Ani się obejrzeliśmy, a już jest siwy jak gołąbek i ledwo powłóczy nogami. Dlaczego tak szybko się postarzał?

Cóż, pojęcie „szybko" jest względne. Wszystko zależy od tego, jakiej skali użyjemy. Jeśli weźmiemy średnie psie czy kocie życie, które będzie trwało kilkanaście lat, i porównamy z tym, że my możemy spokojnie dożyć nawet setki, rzeczywiście wyda się nam mizernie krótkie. Ale porównajcie je ze szczurem. Ten na przeżycie całego żywota ma średnio dwa i pół roku. Czy dla szczura to krótko? Nie. To cały jego czas. Owszem, może dożyć lat czterech. Nie zmienia to jednak faktu, że coś, co dla nas jest krótkim okresem, dla wspomnianego szczura będzie długim życiem. To po prostu czas właściwy dla nich.

Natura każdemu przewidziała inne tempo życia. Wszyscy mamy odmiennie ustawiony zegar biologiczny. Można być kilkusetletnim żółwiem albo jętką, której dorosłe życie będzie trwało jeden dzień. Jedni mają wolny metabolizm, inni superszybki. Nie chcę tu wchodzić w biologię komórki i fizjologię jej starzenia się. Faktem jest jednak, że każdy gatunek zużywa się inaczej. I nie ma co porównywać naszej ludzkiej miary do kotów i psów. One żyją inaczej niż my. Jest to dla nas – ludzi – przykre, ale nie mamy na to wpływu.

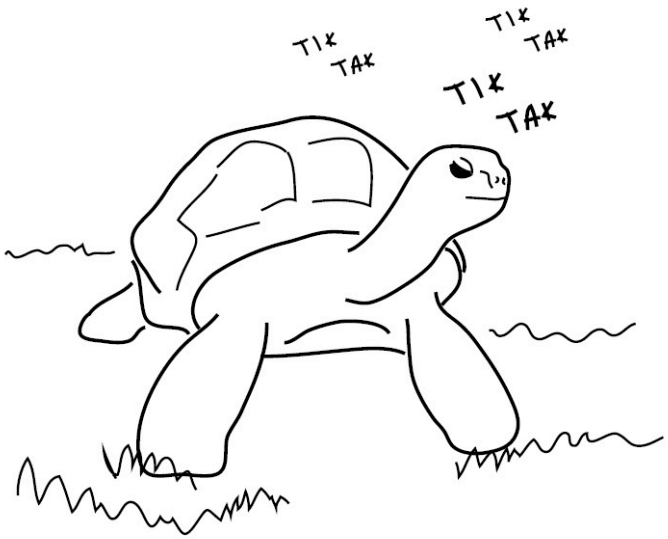

Obserwując żywoty mnóstwa braci mniejszych, dochodzę do jednego wniosku. Nie jest problemem to, że zwierzęta krótko żyją. Kłopot sprawia nam to, że nie jest łatwo im odejść. Większość z nich to wojownicy czepiający się życia czterema łapami, wpijający w nie wszystkie pazury. I przychodzi taki moment w egzystencji wielu właścicieli, kiedy muszą stanąć przed decyzją. Niezwykle trudną, ale jakże ważną. Bo wiele z naszych zwierząt nie odejdzie samo, lecz w wyniku eutanazji. Zabieg owiany jest pewnym tabu, nie chcemy o nim nawet myśleć. Gdzieś w głębi duszy czujemy, że jest to niewłaściwe. Ale czy na pewno?

Wiele osób traktuje eutanazję w kategoriach porażki czy wręcz morderstwa. Mają pretensje do siebie, lekarzy, a nawet sił wyższych pod różnymi postaciami. Czy mnie to dziwi? Nie do końca. Przeżycie śmierci kogoś bliskiego, nawet jeśli ten ktoś ma ogon i chodzi na czterech łapach, to silne doświadczenie. W swoim własnym wnętrzu trzeba zmierzyć się z nawałnicą uczuć, takich jak miłość, ból, poczucie niesprawiedliwości i straty.

Emocje są silne, gdy śmierć przychodzi w sposób naturalny. A gdy jest ona wspomagana przez zabieg eutanazji, dodatkowo, gdzieś

z tyłu głowy, może zagnieździć się myśl, że jeszcze mogliśmy poczekać. Dzień, tydzień, miesiąc. Może coś się jeszcze zmieni? Stanie się cud? Ktoś zaproponuje innowacyjne leczenie? A może po prostu ta decyzja będzie łatwiejsza, jeśli jeszcze trochę poczekamy? Prawdopodobnie będzie wprost przeciwnie. Długie zwlekanie nie ułatwia nam poukładania sobie w głowie całego tego emocjonalnego bałaganu. I mimo że nie dziwię się negatywnemu odbiorowi eutanazji, trzeba głośno i wyraźnie mówić o tym, że ona nie jest morderstwem. Czasem może się okazać ostatecznym przejawem największej troski. Pamiętajcie, że nikt nie zasłużył na to, aby cierpieć.

Bywa tak, że żadne leczenie już nie pomaga i nie ma możliwości wprowadzenia jakichkolwiek jego modyfikacji mogących przynieść ulgę schorowanemu zwierzęciu. Widzicie swojego przyjaciela, który ciągnie ostatkiem sił, widzicie jego cierpienie. Przypomnijcie sobie wtedy ten czas, który spędziliście razem. Niekiedy są to tygodnie, innym razem lata. Ale to nie ma znaczenia, bo łączy was coś szczególnego. Zastanówcie się, czy on zasłużył na ból.

W końcu przychodzi taki moment w życiu każdego opiekuna, gdy staje on przed koniecznością sprostania najważniejszemu właścicielskiemu obowiązkowi. Musi wziąć się w garść i podjąć odpowiednią decyzję, kiedy przyjdzie na nią pora. Nie, nie będzie to ani miłe, ani łatwe, jednak konieczne. I pewnie żadna to pociecha, ale łatwiej jest się pogodzić ze stratą, gdy rozważy się słowa, które wypowiedział do mnie kiedyś pewien onkolog. Po zakończonym zabiegu eutanazji jego psa rzekł: „Doktorze, jedyne, czego panu zazdroszczę, to to, że pana pacjenci nie muszą cierpieć”.

Do takich decyzji trzeba niestety dojrzeć i obojętnie, ile razy byście przed nimi stawali, będziecie musieli od nowa oswajać się z myślą o nieuchronnym końcu. Niestety. Jedna rzecz, która szczególnie utrudnia nam pogodzenie się ze śmiercią przyjaciela czy

z koniecznością pozwolenia mu na opuszczenie tego padołu łez, to nasze ego. Podświadomie dążymy do tego, aby było nam dobrze, żebyśmy czuli się jak najbardziej komfortowo. Dlatego odsuwamy lub wręcz wypieramy wszystko, co mogłoby ten komfort zaburzyć. I naturalne jest to, że nie chcemy, aby nasz zwierzak nas opuszczał. Bo się z nim zżyliśmy, darzymy go głębokim i silnym uczuciem oraz będzie nam strasznie smutno, gdy go zabraknie. Dlatego wielu z nas, nie godząc się z nieuniknionym, przeciąga wykonanie eutanazji…

Kiedyś moim pacjentem był mały kundelek. Wtedy jeden ze starszych odwiedzających nas psów, gdyż liczył sobie 19 wiosen. Jak każdy staruszek zmagał się z pewnymi ograniczeniami, jednak miał przy tym dbających właścicieli, którzy robili wszystko, by jesień jego życia mijała w możliwie jak największym komforcie. Niestety w końcu i jego staruszkowe problemy zaczęły się znacząco nasilać. Serce, nerki, wątroba, kręgosłup, w końcu rozsiany proces nowotworowy. W pewnym momencie pies dostawał garść leków, a ich zażywanie i tak z dnia na dzień przynosiło coraz mniejszy efekt. Pewnego
dnia trafił do mnie przelewający się przez ręce, powalany moczem i kałem. Wydawało mi się, że wystarczy dmuchnąć, żeby zgasł. Nie widziałem możliwości leczenia. Ani etycznych podstaw takiego postępowania. Przedstawiłem właścicielom wszystkie fakty i zapytałem, co oni sądzą o całej sytuacji. Nie są gotowi. „Zróbmy to za dwa dni, bo córka przyjedzie się pożegnać. Prosimy!” I jakoś nie potrafiłem im odmówić. Podałem leki przeciwbólowe, bo tyle mogłem. Nie wrócili za dwa dni, lecz za tydzień. Pies wyglądał jeszcze gorzej. Byłem zaskoczony, że to możliwe. Postawiłem sprawę jasno: pies cierpi i umiera, a to umieranie może się rozciągnąć w czasie na wiele dni… Pan złapał psa w ramiona i uciekł z gabinetu. „Ja go kocham! Nie chcę, żeby umarł!” – krzyczał, wybiegając. Ostatecznie wrócili po trzech dniach. Gdy w końcu mogłem psu

pomóc, spytałem pana, czy ten czas sprawił, że łatwiej mu było się pożegnać. Rozpłakał się i przez łzy powiedział, że jest tylko gorzej. „Mogłem zgodzić się od razu" – odrzekł…

Obserwuję mnóstwo takich nieszczęść. Niestety. Jednym z istotnych wniosków jest to, że odkładanie eutanazji o dzień, dwa, tydzień, aż się pożegna córka, kwiaty zakwitną nie przyniesie nam ulgi. Wręcz przeciwnie. Coś, co miało ułatwić nam oswojenie się z myślą o stracie, którą musimy ponieść, pogłębi tylko żal i frustrację. A zwierzę cierpi. W imię naszego ego. Tego, że nie jesteśmy w stanie wyjść dla niego z własnej strefy komfortu. Postawmy sprawę jasno, odmawianie zwierzęciu tej ostatniej pomocy, gdy nie ma widoku na ratunek, a jedynie na narastający ból i przeciągającą się agonię, jest egoizmem. Spróbujmy w tym tak delikatnym, a zarazem trudnym momencie odłożyć swoje ego na bok. Przestańmy myśleć „ja", a pomyślmy o tym, komu winniśmy być opiekunem i przyjacielem. Zwłaszcza w takiej chwili.

Mam nadzieję, że każdy właściciel zdaje sobie sprawę, że eutanazja to nie jest morderstwo. Wszyscy wiemy, że pewne decyzje bywają konieczne. Tylko dlaczego są tak ciężkie? Myślę, że dobrze, że są trudne. Muszą takie być. Gdyby uśpienie zwierzęcia było czymś, nad czym można po prostu przejść do porządku dziennego, jakże łatwo byłoby sięgać po odpowiednie substancje. Na szczęście większość ludzi postrzega eutanazję jako rozwiązanie ostateczne. W przeciwnym razie byśmy nie leczyli, a wszystkie czworonogi wysyłali do krainy wiecznej szczęśliwości.

Ku mojemu przerażeniu i ku mojej wielkiej złości chodzą po tym świecie ludzie, którzy traktują eutanazję jako rozwiązanie każdego problemu. Przychodzą do lekarza weterynarii i proszą o przeprowadzenie eutanazji czy wręcz żądają jej z różnych powodów. Często te życzenia są bezzasadne. Pewien pan stwierdził, że zwierzę jest agresywne, bo pogryzło dywan, ktoś inny jechał na

wakacje i nie miał co zrobić z kotem. Poza tym znudzenie, brak czasu, alergie… Mnóstwo powodów, aby pozbawić kogoś życia. Są też tacy, którzy nie chcą leczyć. Tak po prostu. Bo zapalenie ucha znowu wróciło, bo złamał nogę, bo ma biegunkę drugi tydzień. Straszne jest to, jak chętnie niektórzy widzieliby w eutanazji rozwiązanie swoich problemów ze zwierzęciem. Przerażają mnie tacy ludzie. Łatwość, z jaką podejmują decyzję o pozbawieniu kogoś życia, budzi we mnie całą gamę negatywnych odczuć.

Ale czy właściciel może zażyczyć sobie eutanazji? Jeśli poda wymienione wyżej powody, nie może. Kwestię uśmiercania zwierząt, w tym eutanazję zwierząt domowych, reguluje prawo. A ściślej rzecz ujmując, ustawa o ochronie zwierząt. Każdy może zagłębić się w jej tekst, jeśli ma ochotę. Ja przytoczę tylko tę część, która jest ważna z punktu widzenia relacji lekarz weterynarii – opiekun zwierząt. Eutanazję można wykonać:

1. Jeśli życie zwierzęcia wiąże się z cierpieniem, którego źródła nie można usunąć.
2. Jeśli istnieje możliwość zakażenia człowieka groźną chorobą (np. wścieklizną).
3. W celu uśpienia ślepych miotów.
4. Gdy zwierzę stanowi zagrożenie dla życia i zdrowia innych zwierząt oraz ludzi.

Do ostatniego dodano warunek, że tylko jeśli nie można problemu rozwiązać inaczej. To znaczy, że pies agresywny winien najpierw przejść farmakoterapię i terapię behawioralną. Jeśli wasze zwierzę was zaatakowało, a wy nie podjęliście żadnych kroków, aby sytuację naprawić, to eutanazja nie jest dozwolona.

Jak widzicie, prawo jasno określa, co można i kiedy. Nie istnieje w Polsce pojęcie eutanazji na życzenie. To lekarz decyduje w oparciu o informacje od was, aktualną wiedzę i przepisy prawa, czy może zabieg wykonać, czy nie. Co wielu osobom się nie podoba. Niektórzy

uciekają się do szantażu. Grożą, że sami zabiją zwierzę albo je porzucą. Liczą tym samym, że lekarz weterynarii się ugnie. A takie zachowanie zakrawa o okrucieństwo wobec zwierząt. Jeślibyście próbowali w taki sposób wymóc na weterynarzu eutanazję, możecie się liczyć z wezwaniem policji.

Zastanawialiście się kiedyś, co czuje weterynarz stojący w obliczu konieczności uśpienia swojego pacjenta? Niekiedy mam wrażenie, że odbieracie nas jako maszyny bez uczuć. Często słyszę: „Ja to bym nie umiał. Tak wziąć i uśpić!". A mnie się ktoś pyta? Nie mogę wybiec z gabinetu, krzycząc, że tego nie zrobię. I mimo że nie płaczę w trakcie tego przykrego obowiązku, nie jest mi łatwo. Mną również targają emocje. Często sprzeczne. Każdy odchodzący pacjent jest dla mnie osobistą stratą, która sprawia mi przykrość. Jednocześnie cieszę się, że mogę przerwać cierpienie. Nierzadko gdy zwierzę zasypia, widzę w jego oczach ulgę i długo wyczekiwany spokój. Ale jestem też zły, że nie udało mi się jeszcze czegoś wywalczyć. Jestem zły na bezsilność swoją i medycyny. Na bezwzględność procesów chorobowych, z którymi muszę walczyć, a które często zdobywają przewagę. Na zewnątrz mam kamienną maskę i jestem spokojny. W środku krzyczę z ulgi i złości. Tak, moi drodzy, ja też mam uczucia. Lekarz także nawiązuje relację z pacjentem. Z klientem również. Często gdy walczymy o zdrowie pacjenta, wytwarza się szczególna nić porozumienia między lekarzem a opiekunem. Ta nić staje się przewodem, który pozwala na przepływ emocji. Wasze smutek i strata stają się po części także moje. Ja jednak, w przeciwieństwie do was, nie mam prawa do tego, aby ulec emocjom. Muszę być tym kamiennym słupem, który będzie oparciem w trudnej chwili. Dlatego robię swoje i jestem spokojny. Czasem dusząc napływające do oczu łzy. Jak to możliwe? Myślę, że aby odgrywać rolę Charona przeprowadzającego umierających na drugą stronę, trzeba wypracować sobie wewnętrzne filtry. One nie pozwalają oszaleć.

Dzięki nim nie płaczę nad każdym umierającym zwierzęciem. Przez nie cierpią jednak umysł i dusza. Bo gdybym mógł wykrzyczeć czy wypłakać emocje, nie zostawałyby one ze mną. Wiecie, że lekarze weterynarii są jedną z grup zawodowych, w której istnieje duży odsetek samobójstw[57]? Za jedną z przyczyn uważa się to, że każdy z nas został weterynarzem, aby leczyć i ratować zwierzęta, ale nikt na studiach nie myślał o tym, jak wiele z nich pozbawimy życia. A wszyscy wiemy, że eutanazja jest potrzebna. Że przynosi ulgę w cierpieniu. Pomimo tego wiele moich koleżanek i kolegów na całym świecie nie radzi sobie z tym.

Nie, nie jesteśmy obojętni wobec eutanazji. Możecie odnieść takie wrażenie, obserwując nas w trakcie jej wykonywania. Wiedzcie jednak, że w środku przeżywamy ostatnie chwile naszego pacjenta. Zawsze.

Muszę wam zdradzić, że nie sama eutanazja jest najcięższa, lecz związane z nią rozmowy. Gdy muszę opiekunom wyjaśnić, że nie mogę już nic więcej zrobić. Dać argumenty przeciwko dalszemu życiu. Jednocześnie to nie ja podejmuję decyzję o eutanazji. Nie wyrywam zwierzęcia opiekunom, aby na zapleczu szybko je uśpić. Ta decyzja musi być podjęta przez właściciela i ten musi wyrazić na nią zgodę. Wielu ludzi oczekuje, że to ja zdecyduję o tym, czy zwierzę powinno odejść. A ja mogę jedynie przedstawić fakty, zasugerować, co powinno się zrobić, wspomnieć, co ja bym zrobił na ich miejscu. Ale decyzję podejmuje opiekun. Zawsze. Na szczęście większość z nich, zrozumiawszy, że skazywanie biednego zwierzęcia na cierpienie czy przedłużającą się agonię jest nieludzkie, wyraża zgodę. Część jednak nie akceptuje rzeczywistości. Jedni uciekają i wracają za jakiś czas, gdy w końcu ochłoną. Inni, niestety, czekają, aż zwierzę samo odejdzie. Niektórzy są tak zatwardziali, że nie zgodzą się na eutanazję, choćby zwierzę miało umierać przez miesiąc. Co gorsza, są też tacy, którzy swoje przekonania przelewają na zwierzę.

Miałem kilka przepraw z osobami różnych wyznań, które nie godziły się na uśpienie, upatrując w tym grzechu. Jednocześnie większość współczesnych systemów wierzeń odrzuca pomysł, aby zwierzę miało jakąś duszę. Skąd więc te brednie o grzechu? Nie mam pojęcia.

Najtrudniejsze są jednak rozmowy z dziećmi. Dla nich wszyscy są nieśmiertelni. Dla wielu pierwsze zetknięcie ze śmiertelnością ma miejsce właśnie w gabinecie weterynaryjnym. Czasem rodzice nie wiedzą, jak pomóc pociechom poradzić sobie ze stresem i bólem. Niekiedy wręcz brutalnie oznajmiają: „To tylko zwierzę". Mam wtedy ochotę zrobić im coś złego. Doświadczenie śmierci zwierzęcia jest trudne dla osoby dorosłej, więc jak ma sobie z nią poradzić mały człowiek, który często jest zostawiony sam sobie? Drodzy rodzice, nie bądźcie okrutni wobec swoich dzieci, dajcie im się wypłakać i przejść żałobę. Pozwólcie się wykrzyczeć. A najważniejsze, nie okłamujcie, nie wygładzajcie rzeczywistości. Rozmawiajcie z dziećmi o tym, że zwierzęta żyją krócej, że także chorują i umierają. Nie odkładajcie tego na potem, bo żadne potem nie będzie dogodniejszym czasem. Możliwe, że wasze rozmowy nie sprawią, że strata będzie mniej bolesna, ale może przynajmniej dziecko nie zostanie zaskoczone tym, że każde życie się kiedyś skończy. I nie zrzucajcie obowiązku tłumaczenia tego na weterynarzy. Nie jesteśmy pedagogami. Poza tym to wasz obowiązek.

Ja osobiście wiele razy byłem zmuszony tłumaczyć dzieciom, dlaczego ich zwierzę cierpi i co musimy zrobić, aby już nie musiało. Wniosek z tych rozmów mam jeden. Dzieci bywają mądrzejsze od rodziców. Owszem, dają się ponosić silnym emocjom, szlochają i ronią łzy, ale rozumieją więcej niż my, dorośli, jesteśmy w stanie przyznać przed sobą. Ważne jest tylko to, aby im wszystko wytłumaczyć. A rodzice winni być dla nich oparciem, nawet w takiej

sytuacji, gdy umiera „tylko chomik”. Pamiętajcie, że dla waszych dzieci jest on tym jedynym, najważniejszym chomikiem.

W samym zabiegu eutanazji nie ma żadnej filozofii. Dożylnie podaje się stężony lek narkotyczny. Oczywiście nie robimy tego „na żywo”. Przed zabiegiem zwierzę jest znieczulane, aby ostatnią drogę uczynić jak najmniej stresującą. Sam preparat do eutanazji sprawia, że zwierzę głęboko zasypia. Następnie przestaje oddychać, a akcja serca ustaje. Nie ma dobrej śmierci, ale ta przychodzi we śnie. Podanie zastrzyku nie jest problemem. Niestety bywa nim właściciel.

Obecność opiekuna przy eutanazji również budzi we mnie sprzeczne emocje. Z jednej strony uważam, że zwierzęciu należy się to, aby w tej, jakże stresującej, chwili był przy nim ukochany człowiek. Często w tym ostatnim momencie życia szuka go wzrokiem. Jego obecność może dać poczucie bezpieczeństwa. Postawcie się na jego miejscu. Cierpi, jest w obcym miejscu, leży na stole i pewnie bardzo się boi. Wiem, że to trudne, ale jesteście mu potrzebni. Chyba że nie panujecie nad emocjami. Ważne, aby w trakcie eutanazji zachowywać się właściwie. Jeśli macie histeryzować i robić sceny, to lepiej wyjdźcie do poczekalni. Zwierzę ma mieć spokój, a nie uczestniczyć w waszej burzy uczuć. Jednak jeżeli możecie, zostańcie. A jeśli wiecie, że nie zniesiecie tego widoku, zrobimy to sami i dołożymy wszelkich starań, aby ta ostatnia podróż odbyła się możliwie spokojnie.

Właściciel jest zwierzęciu potrzebny – i dobrze, gdy jest przy nim. Niestety zdarza się niekiedy, że strasznie przeszkadza. Kładzie się na zwierzęciu, utrudnia wykonanie jakichkolwiek czynności. Parę razy dostałem przypadkiem w twarz, bywało, że rozemocjonowany właściciel, kładąc się na stole, przesuwał go, gdy ja próbowałem robić swoje. Bardzo złym zwyczajem jest również potrząsanie zwierzakiem, aby sprawdzić, czy jeszcze żyje, gdy ja akurat jestem zajęty wstrzykiwaniem preparatu do z trudem namierzonej żyły.

Wiele przeżyłem i naprawdę dużo potrafię znieść. Ale wszystko ma swoje granice. Nienawidzę, gdy w trakcie eutanazji ludzie robią sobie selfie. Żenada. Zdarzało mi się już wyrzucać ludzi z gabinetu za przeszkadzanie. Jednak próby uchwycenia na zdjęciu momentu śmierci zwierzęcia wzbudzają we mnie agresję. Nie mam nic przeciwko robieniu sobie zdjęć po wykonaniu zabiegu. Zawsze daję opiekunom czas po samej eutanazji, jeśli mają taką potrzebę. Jednak zrozumcie, że sam zabieg dla mnie również nie jest przyjemny i chciałbym go wykonać sprawnie i z należytym szacunkiem.

Czasami właściciele dają się ponieść emocjom w trakcie wykonywania eutanazji. Krzyczą, płaczą, niekiedy kładą się na podłodze i dostają spazmów. Różnie bywa. Raz nawet pewna pani zażądała ode mnie wskrzeszenia dopiero co uśpionego psa…

Cała sytuacja była bardzo niekomfortowa. Po pierwsze właściciele psa są klientami naszej przychodni od zarania dziejów. Po drugie poprosili o wykonanie zabiegu w domu. A że są stałymi klientami, nie bardzo wypadało odmówić. Więc dotarłem na miejsce i bez większych kłopotów ulżyłem psu w cierpieniu. Wyciągam igłę z psiej łapy i słyszę: „Rozmyśliłam się. Proszę ją obudzić”. Zatkało mnie. Z czego obudzić? Ze śmierci? Chwilę zajęło mi wyjście z szoku, a gdy pozbierałem szczękę z podłogi, powiedziałem, że teraz to już trzeba rozmawiać ze Świętym Piotrem. Ja nie mam możliwości przywrócenia psa do życia. Pani odparła: „aha” i wyszła. Resztę formalności załatwiałem z jej mężem. Kobieta za dwa dni przyszła przeprosić za swoje zachowanie. A ja przecież nie mam o co się gniewać. Nie da się przejść obojętnie obok śmierci kogoś, kto był towarzyszem naszego życia przez kilkanaście lat. Każdy reaguje inaczej, każdy ma inny sposób radzenia sobie z takim stresem. Niektórzy na przykład organizują stypę…

Musiałem pożegnać pacjentkę z cukrzycą. Czternastoletnią suczkę rasy yorkshire terrier. Jak to bywa w podeszłym wieku, gdy choruje

się na poważną chorobę, w końcu organizm mówi pas. Tu też miałem jechać do domu. Byłem umówiony na 15.00. O 14.00 odebrałem telefon, że chcą się jeszcze pożegnać i czy mógłbym przyjechać po pracy. Zgodziłem się.

Dotarłszy w końcu na miejsce, w pierwszym momencie pomyślałem, że pomyliłem adres. Wpuszczono mnie do domu, gdzie odbywało się coś na kształt *cocktail party*. Elegancko ubrani panie i panowie przechadzali się z kieliszkami wina czy szklaneczkami czegoś mocniejszego, cicho rozmawiali i zerkali na wyświetlane na ścianie zdjęcia. Te przedstawiały sceny z życia mojej pacjentki, która leżała na środku salonu na wielkiej poduszce. I na to wchodzę ja. W jeansach i w ponaciąganym T-shircie z torbą zawierającą moje narzędzia pracy. Delikatnie to ujmując, wyróżniałem się. Gdy moja obecność została zauważona, gospodarz domu zaprosił panów do gabinetu, a w salonie zostały jedynie niewiasty. Panie, roniąc rzewne łzy, otoczyły mnie i suczkę ścisłym kręgiem. Trwały tak, dopóki nie skończyłem.

Te dwie historie są główną przyczyną tego, że unikam eutanazji w domu. Nie są to sytuacje komfortowe i zawsze czuję się jak intruz. Poza tym w przychodni mam wszystko pod ręką i mogę pracować w komforcie, a nie w warunkach polowych.

Kończąc ten smutny temat, chciałbym jeszcze poruszyć kwestię żałoby. Jeśli wspominanie jej w książce o zwierzętach wydaje się wam śmieszne, to znaczy, że między waszym zwierzęciem a wami nie wytworzyła się silna więź. Żałoba po stracie zwierzęcia jest rzeczą równie normalną, jak po śmierci bliskiej nam osoby. Nie da się ot tak przekreślić spędzonych razem chwil. Musimy mieć czas na to, żeby sobie poradzić z życiem bez obecności ukochanego czworonoga. Żałoba jest ważna i pomocna. Dobrze, gdyby jednak nie trwała zbyt długo. Opłakiwanie latami nie wróci naszemu zwierzęciu życia. Można zrobić coś lepszego. Jeśli chcecie uczcić

pamięć utraconego przyjaciela, dajcie dom i miłość następnemu zwierzęciu. Uczynicie tym samym podwójne dobro. Nowemu domownikowi i sobie. Oczywiście dopiero wtedy, gdy będziecie na to gotowi.

[57] A. Gałązka, *Syndrom samobójczy wśród lekarzy weterynarii – mit czy rzeczywistość?,* „Magazyn Weterynaryjny” 2020, nr 3, s. 86–89.

Rozdział XIV
Partnerstwo – tak. Autokratyzm – nie

Jesteście najważniejszym czynnikiem mającym wpływ na skuteczność terapii. Nie sądziłem, że kiedyś przyznam się do tego publicznie, jednak to prawda. Nie chodzi mi bynajmniej o to, że płacicie rachunek za leczenie (choć to też ważne!). Istotne jest to, że my, lekarze weterynarii, niewiele zdziałamy bez współpracy z wami, opiekunami zwierząt. Ale zacznijmy od początku, czyli od mojego pierwotnego wyobrażenia na temat tego, jak będzie wyglądała współpraca z właścicielami moich pacjentów.

Gdy zaczynałem swoją działalność lekarską, kompletnie nie byłem gotowy na pracę z człowiekiem. Dodatkowo ze specyficznym typem człowieka. Często silnie związanym emocjonalnie ze zwierzęciem. Choć po głębszym zastanowieniu się stwierdzam, że nie byłem gotowy na pracę z człowiekiem w jakiejkolwiek formie. Pierwszym murem, który musiałem przebić, była duża nieufność do mnie. Nagle młody, ambitny, pełen wiary w czekające go wyzwania lekarz weterynarii trafia na istotę zwaną klientem. A wyglądało to mniej więcej tak…

Otwieram drzwi do poczekalni i z najmilszym uśmiechem, jaki jestem w stanie przywołać na twarz, zapraszam do gabinetu starszą panią. Babinka siedzi z zaciętą miną z kocim transporterem na kolanach. Patrzy na mnie, mruży oczy i oznajmia:

– Do lekarza przyszłam.

– Zapraszam, jestem lekarzem.

– Do INNEGO przyszłam – dodaje po chwili namysłu.

Innym razem siedziałem przy biurku w gabinecie i uzupełniałem dokumenty. Wtem do środka zajrzał jakiś jegomość i pyta: „Jest jakiś lekarz?”. Gdy odpowiedziałem, że owszem, JA jestem, z rozbrajającą szczerością zadał drugie pytanie: „Aha… A jakiś inny jest?”. To bardzo raniło moją dumę. Obiecałem sobie, że nadejdzie okazja, aby odpowiednio odpłacić za takie pytania. Doczekałem się. Była niedziela. Siedziałem więc na dyżurze sam…

Otwarłszy drzwi do poczekalni, zaprosiłem gestem ręki oczekującą na przyjęcie kobietę. Ta tylko na mnie popatrzyła. Otaksowała od czubków czarnych trampek po kucyk na głowie. „Proszę zawołać jakiegoś lekarza” – mówi. Przytaknąłem i zamknąłem drzwi. Policzyłem do dwudziestu i ponownie je otworzyłem: „Słucham panią. Zapraszam do gabinetu”. „To pan jest lekarzem?!” – wykrzykuje pytanie kobieta. „Tak!” – oznajmiam w odpowiedzi. „Aaaa. To przepraszam!”

U progu kariery musiałem stale borykać się z pytaniami, czy aby na pewno jestem lekarzem. Mijają lata, a wciąż mi się to przydarza, chociaż teraz mnie to bawi. Chciałem nawet zrobić sobie plakietkę z napisem „Łukasz Łebek. Tak, jestem lekarzem”. Mimo że to wszystko doprowadzało mnie do szewskiej pasji, staram się zrozumieć tych ludzi. Myślę, że jeśli statystyczny Polak pomyśli „weterynarz”, nie widzi oczami duszy kogoś podobnego do mnie. Długowłosy, brodaty i młody. Młodość to chyba moja największa wada. Według niektórych lekarz, nawet weterynarii, musi być dostojny i najlepiej bardzo dojrzały. Bo wiadomo, że odpowiedni wiek to odpowiedni bagaż doświadczeń. A już na pewno lekarz, nawet taki od zwierząt, nie może wyglądać jak hipis czy inny metalowiec[58] i być w wieku waszego wnuka. Ciężko było mi

przedrzeć się przez ściany zbudowane z oceny mojej powierzchowności, a pomijające skuteczność mojej pracy.

Swoją drogą, ludzie przesadnie zwracają uwagę na to, jak wygląda druga osoba. Częściej jestem oceniany przez klientów z powodu tego, jakie noszę ubrania w cywilu czy w jaki sposób się wysławiam, niż na podstawie efektów mojej pracy. Ktoś może się uprzedzić tylko z powodu tych wspomnianych długich włosów. Trzeba z tym żyć, mimo że to strasznie dziwne. Im prędzej człowiek nauczy się to ignorować, tym łatwiej będzie mu się pracowało. Co nie zmienia faktu, że moje ego na początkowym etapie pracy cierpiało strasznie.

No właśnie, ego. Opowiem wam, jak spoglądałem na relacje lekarz – klient, gdy zaczynałem pracę. Przede wszystkim byłem strasznie dumny z tego, że zdobyłem tytuł lekarza weterynarii. Kosztowało mnie to ogrom pracy i wiele poświęceń, ale wygrałem. Duma mnie rozpierała. To nie byle co być takim lekarzem weterynarii. Będąc wetem z mlekiem pod nosem, miałem silną alergię na nazywanie mnie „weterynarzem". Technik weterynarii to także weterynarz, a lekarzem nie jest. Nazywajcie mnie wszyscy należnym mi tytułem! Namiętnie poprawiałem swoich klientów. Było to głupie i bezcelowe. I tak nikt nie wiedział, o co się czepiam. Zresztą spory o nazewnictwo mają niewiele sensu. Ale do tego też musiałem dojrzeć. Poza tym to taki drobiazg. Miałem inny, poważniejszy problem.

Gdy zaczynacie swoją pierwszą pracę, naturalnie przejmujecie pewne wzorce zachowań od starszych kolegów. Moje doświadczenia w kontaktach z innymi, wyższymi stażem lekarzami nakreśliły w mojej głowie specyficzny obraz funkcjonowania świata. Ja jestem lekarzem, w moich rękach jest cała władza. Ja stoję na pozycji siły. W opozycji do mnie znajduje się właściciel, który ma się podporządkować mojemu osądowi. Bez sprzeciwu. On przecież zwykle nie ma odpowiedniej wiedzy, żeby prowadzić ze mną

merytoryczną dyskusję. Ale żeby nie było, ma też dwa prawa: słuchać i nie zadawać głupich pytań. Przez pewien krótki czas tak właśnie uważałem. Czy było to słuszne podejście? Zdecydowanie nie.

Praca lekarza weterynarii to praca z człowiekiem. Nie, to nie pomyłka. Nie ze zwierzęciem, ale z człowiekiem. Owszem, zwierzaki w tym fachu również występują, jednak wbrew pozorom to rozmowa z ludźmi pochłania dużo więcej mojej energii niż badanie pacjentów.

Jak wszędzie klienci są różni. Jedni obojętni, na dystans, inni strasznie przejęci i wylewni. Pełen przekrój typów osobowości. Uważam (i piszę to z pełnym przekonaniem), że większość moich klientów to po prostu fajni ludzie. Naprawdę! Czasem trafia się taki, który napsuje krwi, na szczęście nie zalewa nas tłum nieuprzejmych, roszczeniowych ludzi. Chociaż są momenty, że wystarczy jeden, który porządnie zalezie za skórę, a już moje zdanie na temat gatunku ludzkiego ulega drastycznemu pogorszeniu. Przeżywanie każdego przypadku jest jednak bez sensu. Nie dość, że niepotrzebnie zadręczacie się tym, iż to ktoś inny ma poważny problem z głową, to w dodatku szkodzicie swojej. Lekarz weterynarii musi pogodzić się z tym, że zwykle pracować będzie z zestawem człowiek + zwierzę. Nie ma co wypierać tego faktu. Jesteśmy na siebie skazani. Lekarze i opiekunowie zwierząt. Możemy się na siebie obrażać i zarzucać sobie nawzajem brak szacunku bądź starać się ze sobą współpracować.

Mam takie wrażenie, że wielu starszych lekarzy ma problem z partnerstwem. Nie wszyscy, oczywiście! Są jednak tacy, którzy nie potrafią wyjść z pancerza swojej nieomylności i nie uznają innych autorytetów poza swoim własnym. Nie podejmują jakiegokolwiek dialogu z opiekunem zwierzęcia, zakładając, że to oni zawsze mają rację. To śmieszne, ale wielu takich lekarzy nie chce nawet odpowiadać na pytania w stylu: „Co pan podał mojemu psu?”.

Reagują wręcz atakiem ciężkiej alergii. Jak ten szary człowiek śmiał zapytać?! Przecież taki klient i tak nie zrozumie mojej odpowiedzi! No i co? Co z tego, że nie do końca zrozumie? Odpowiedź zajmuje trzy sekundy i nic nie boli. Zresztą, co to w ogóle znaczy: „nie zrozumie”? Zakładamy, że każdy nasz klient to osioł, czy tak? W rzeczywistości wszystko zależy od tego, jak odpowiemy. Gdy odpowiedź będzie brzmiała: „Grrrrr! Dostał cytrynian maropitantu!”, to ja będę miał satysfakcję, że utarłem ciekawskiemu rozmówcy nosa, ten jednak poczuje się upokorzony. Jaki to ma cel? Zamiast tego proszę właściciela o cierpliwość i gdy siedzimy razem przy biurku, tłumaczę, co i dlaczego zwierzę dostało. I odpowiedź brzmi tak: „Dostał maropitant, który jest lekiem przeciwwymiotnym”. Niby niewielka różnica, ale jakże istotna. Opiekun zwierzęcia otrzymał odpowiedź na swoje pytanie, która jednocześnie wyjaśnia cel zastosowania tego preparatu. Moja duma nie ucierpiała. Zresztą uważam, że nie ma głupich pytań, za to odpowiedzi bywają arcygłupie. Patrząc na to, jak ciężko w dzisiejszych czasach zdobyć zaufanie ludzi, dochodzę do wniosku, że nie warto dodatkowo utrudniać sobie pracy próbami udowadniania swoich racji. I to jeszcze z tak błahego powodu, jak zadanie pytania, które przecież nie miało na celu podważenie zasadności zastosowania leku, lecz było powodowane jedynie ciekawością. Ale niektórzy moi koledzy po fachu robią z tego takie halo, jakby ktoś im zarzucił brak profesjonalizmu albo błąd w sztuce. Wracamy tu do zasad obowiązujących klienta: ma prawo cicho siedzieć i nie zadawać głupich pytań. Czyli w zasadzie niech nie zadaje jakichkolwiek pytań. Zaznaczam, że „niektórzy” nie oznacza „wszyscy”. Zdecydowana większość znanych mi lekarzy weterynarii stara się o pozytywne kontakty z opiekunami swoich pacjentów i cierpliwie odpowiada na pytania. W końcu troska o powodzenie leczenia nam także leży na sercu. Bez zrozumienia ze strony właściciela skuteczna terapia bywa

często niemożliwa. A traktowany z góry klient bardziej się będzie skupiał na swojej urazie niż na zaleceniach.

Mimo że mam kłopoty z cierpliwością i łatwo mnie wyprowadzić z równowagi, dość szybko zauważyłem, że autokratyzm nie ułatwi mi pracy z ludźmi. Jest wręcz odwrotnie. Za to założenie, że lekarz i opiekun są po tej samej stronie, bardzo pomaga we wzajemnych relacjach. Gdy właściciel nie jest traktowany jak zbędny dodatek do pacjenta, jest angażowany w postępowanie, współpraca przebiega sprawniej. Zresztą to właściciel przyprowadza do mnie zwierzę. To właściciel jest z nim na co dzień, zna je i ma wiele cennych dla mnie informacji. W końcu to właściciel będzie podawał leki i oceniał skutki terapii w domu. Nic bez właściciela nie zrobię. Od sprawności w komunikacji zależy w dużej mierze skuteczność terapii. Dlatego odpowiadam na to samo pytanie po raz czwarty. Z tego powodu, mimo że napisałem to w karcie leczenia, omawiam wielokrotnie, ile razy i w jakiej ilości trzeba podawać dany lek. Drążę, czy są jeszcze jakieś pytania, i na nie odpowiadam. Zdaję sobie sprawę, że kwestia dla mnie oczywista nie musi być jasna dla osoby bez wykształcenia medycznego. Nie wyjaśnię jednak żadnych wątpliwości, jeśli nie zostaną one wyrażone głośno. A pokazywanie swojej wyższości i reagowanie agresją na zadawane pytania budują mur.

Czasem właściciele boją się spytać lekarza o cokolwiek. Skutek jest taki, że wracają do domu i czują się totalnie zagubieni. Nie wiedzą, czy te tabletki to miały być raz dziennie dwie, czy dwa razy dziennie jedna. Potem na kontroli okazuje się, że leczenie nie działa, bo wszystko zostało zrobione dokładnie na odwrót. A przyczyną jest strach przed lekarzem wyrażającym swe niezadowolenie. Czasem moi współpracownicy zarzucają mi, że za dużo gadam z ludźmi. Ja jednak wolę obgadać wszystkie kwestie na początku. Aby w przyszłości nie musieć prostować skutków błędów w komunikacji. W związku z tym bardziej cenię sobie opiekuna, który pyta i docieka,

niż takiego, który przytakuje, a potem robi po swojemu. Bardzo chciałbym, żeby moi klienci czuli, że są częścią zespołu. Jestem otwarty na propozycje i dyskusje. Ale…

Wszystko musi mieć umiar. To, że hołduję zasadzie budowania mostu porozumienia z właścicielami zwierząt, nie znaczy, że pozwolę im na wszystko. Nie mam zamiaru poddawać się każdej sugestii użytkowników z forum o psach. W końcu to ja tu jestem lekarzem, jakkolwiek by patrzeć. Wysłucham, przedyskutuję i albo uznam za warte uwagi, albo wyjaśnię, dlaczego tego nie zrobimy. Skoro biorę odpowiedzialność za leczenie, musicie zrozumieć, że to ja dobieram terapię lub ją modyfikuję. Owszem, wasze obserwacje i uwagi są cenne, do mnie jednak należy wybranie tych istotnych w danej sytuacji. Mimo to mam nadzieję, że ci opiekunowie, z którymi łączy mnie dłuższa historia leczenia, wiedzą, że mogą ze mną pogadać zawsze i nie muszą się obawiać fali pogardy z mojej strony. Nie znoszę jednak, gdy ktoś dyktuje mi, co mam robić. Kiedyś wpadła do gabinetu pani ze szczeniakiem i wymienia, że mam osłuchać, zważyć, zmierzyć temperaturę, bo on na pewno ma gorączkę, a pewnie i jakieś zapalenie. „Mam nadzieję, że wie pan, co robi?” – dodała na koniec litanii. W odpowiedzi zaproponowałem, że ja jej udostępnię gabinet i sama sobie zbada, skoro lepiej zna się na mojej pracy. Zbladła, zacisnęła usta, ale przestała mnie pouczać. Innej pani wręcz odmówiłem badania kota, gdyż głośno komentowała z niezadowoleniem każdy mój ruch. Spakowałem zwierzę do transportera i poprosiłem, żeby poszukała sobie innego weterynarza, który będzie znosił jej nieuprzejmości. Bo ja nie zamierzam słuchać ani jednego słowa więcej. Nie poszła sobie. A teraz chce przychodzić tylko do mnie. Nie rozumiem. Przecież kazałem jej sobie iść…

Wbrew pozorom najważniejszą rolą właściciela nie jest podawanie leków, lecz wnikliwa obserwacja. To nie ja siedzę z waszym zwierzakiem cały dzień w domu. Ten prawdopodobnie w gabinecie

nie będzie robił tego, co was zaniepokoiło. Zamiast tego odegra raczej scenę pod tytułem: „Jestem całkiem zdrowy. O CO WAM CHODZI?!”. Chcę czy nie, muszę opierać się na waszych relacjach. Dlatego obserwujcie i notujcie w pamięci wszystko. Wszystko! Jeśli zauważyliście biegunkę, to chcę wiedzieć, ile razy, czy była bardziej jak woda, czy bardziej jak budyń. Czy była w niej krew, a nawet jaki miała zapach. Spokojnie, kosztować nie musicie. Chcę wiedzieć wszystko, wybiorę sobie potem to, co istotne. Nie każę weryfikować. Mówcie nam WSZYSTKO. Nie krępujcie się, że ktoś was wyśmieje. Tak nie będzie. Za to będę krzyczał, gdy na wizycie kontrolnej po rzeczonej biegunce zapytam o to, jak kupa, a wy mi powiecie, że nie wiecie, bo pies sam chodzi po podwórku. Macie obserwować. Ja nie jestem wróżką, nie będę wróżył z fusów i zastanawiał się, czy to, co zaleciłem, działa czy też nie.

To wy znacie swoje zwierzaki. Wiecie wszystko o ich zwyczajach, normalnych zachowaniach i częstotliwości każdej czynności

fizjologicznej. Ja wiem tylko tyle, ile wybadam lub dowiem się od was. Czasem w badaniu nie ma niepokojących odchyleń, ale wywiad mówi co innego. Gdybym opierał się tylko na badaniu ogólnym, wydałbym osąd, że zdrowy. Relacje właściciela mogą natomiast zasugerować sprawdzenie jeszcze czegoś innego. Bez was się nie da leczyć. Czasem chciałbym, aby było inaczej, ale jesteśmy na siebie skazani.

Ważne w tej naszej relacji jest to, aby się wzajemnie słuchać. Jak w każdym związku. Bez słuchania się nawzajem nic nie wyjdzie. Weźmy pod uwagę kwestię szczepień. Przed szczepieniem przeprowadzam wywiad. Pytam, czy jest cokolwiek, co właściciela niepokoi. Kupa, siku, wymioty, kaszel, apetyt, świąd? Cokolwiek? Jeśli słyszę odpowiedź negatywną, mierzę temperaturę, osłuchuję, macam węzły chłonne, i już. Po prostu szczepię. I bywało już tak, że w trakcie wypisywania dokumentów padało ze strony klienta: „To ja mam jeszcze takie zapytanie". W rezultacie okazywało się, że na przykład pies od miesiąca potrząsa głową i ma takie zapalenie uszu jak skur… znaczy się straszne zapalenie uszu. A jak pytałem, czy coś niepokoi, to kręcili głową, że nie. Tacy klienci dzielą się na trzy grupy: tych, co zapomnieli, tych co nie zapomnieli, ale bali się, że nie zaszczepię, oraz tych, którzy nie zapomnieli, ale chcieli w cenie szczepienia załatwić leczenie zwierzęcia. Rezultat ten sam. Zaszczepiłem zwierzę, które miało być leczone. A chorych się nie szczepi, bo:

1. Szczepienie chwilowo obniża odporność[59], co może skutkować zaostrzeniem procesu chorobowego.
2. Stosowanie wielu preparatów hamuje pracę układu immunologicznego, więc szczepienie i tak nic niewarte.

Dlatego nie okłamujcie weta, bo i tak nic dobrego z tego nie wyniknie. Wkurzycie go i wam dołoży zero do rachunku. Po co wam to?

Oczywiście to żart! Nie znam nikogo, kto podnosi klientowi wartość rachunku, bo ten skłamał. Albo zdenerwował go w inny sposób. Chociaż muszę przyznać, że jest to kusząca myśl. Okazuje się, że ludzie w gabinetach weterynaryjnych na całym świecie zachowują się tak samo. Kiedyś znajomy wysłał mi zdjęcie informacji umieszczonej na drzwiach jednej z brytyjskich przychodni. W wolnym tłumaczeniu tekst głosił: „Denerwowanie weterynarza będzie skutkowało wzrostem kosztu wizyty".

Nie należy stawiać znaku równości między słuchaniem a słyszeniem. Jestem przekonany, że wszyscy właściciele, którzy mnie nie posłuchali, słyszeli, iż coś mówię. Trochę jak Kluska. Mówicie do niej. Widzicie, że słyszy. Ucho zadrga, lekko uniesie się powieka. Ale nie ruszy dupy, bo akurat jest zajęta leżeniem i puszczaniem bąków. Śmiejemy się, że Kluska słucha zawsze, tylko trzeba umieć wydać polecenie. Mówi się: „Kluska chodź albo nie!". I ona idzie albo nie. Proste. Zawsze słucha.

Klienci często przytakują. Czasem pytam, czy wszystko jasne, a oni kiwają głową i mówią: „Nie". Wtedy tłumaczę po raz kolejny. Jest to lepsze wyjście, gdyż część z przytakujących nie rozumie i wstydzi się przyznać, że nie słuchało. A potem…

– Panie doktorze! – woła od progu właścicielka kota. – Nic mu nie ma lepiej po tych lekach!

Westchnąłem w duchu. Nie ma dla mnie nic gorszego, niż spytać przy okazji kontroli: „I jak tam?" i usłyszeć, że niedobrze. Kot był leczony z powodu bardzo zaawansowanego kociego kataru. Takiego kataru, przy którym ropa leje się nie tylko z nosa, ale także z worków spojówkowych i spod zębów. Taki katar, że kot zamiast dziąseł i języka ma żywą ranę, a krtań tak obrzękniętą, że został niemową. Badam zwierzę, potem wypytuję o to, jak pani radziła sobie z lekami. Świetnie sobie radziła, twierdzi. Wyciąga z torebki stosik pomiętych blistrów. Wskazując na kolejne, tłumaczy, co i ile razy podawała.

Wszystko źle. To, co miało być dwa razy dziennie, było raz, tam, gdzie miała być cała tabletka, było pół. Totalna improwizacja. Łapię się za głowę, a opiekunka wciska mi, że przecież robiła tak, jak kazałem. Kręcę głową i pokazuję jej ekran komputera, gdzie wszystko miałem wynotowane. Tu nastąpiła reakcja obronna, że na kartce, którą pani otrzymała, było inaczej. Proszę, aby mi ją pokazała. Potem sugeruję porównanie z monitorem. Więcej nic nie powiedziała, za to pilnie słuchała. Kot wyzdrowiał.

Moi pacjenci regularnie padają ofiarą niedogadania się. Czasem gdy pacjent nie potrzebuje całej butelki jakiegoś preparatu, daję do domu mniejsze porcje w strzykawkach. Albo gdy widzę, że klient kompletnie mnie nie słucha i obawiam się, iż nie przeczyta zaleceń, dzielę mu syropy i inne płyny na małe porcje, żeby już nie musiał główkować w domu, co ma podać. Nie mogę jednak dać tych leków w takich otwartych strzykawkach, bo albo człowiek wyciśnie to sobie przypadkiem do kieszeni, albo sam preparat weźmie i skamienieje. Potrzebna jest zatyczka. Zwykle używam do tego celu po prostu igły, która jakoś tak świetnie pasuje do strzykawki. Wtedy mówię: „Tu zakładam igłę JAKO ZATYCZKĘ. NIE MACIE ROBIĆ ZASTRZYKU!!!". Tak, mówię to wręcz drukowanymi literami i bardzo powoli, żeby nic nie umknęło. Żeby zasygnalizować: „To jest ważne". Niektórzy się oburzają, że przecież rozumieją i w ogóle. Ja jednak wiem swoje…

Wpada do gabinetu zdyszany jegomość z gniewnym rumieńcem oblewającym policzki.

– Co żeś mi pan dał za preparat na robaki! – krzyczy na mnie od progu. – Żona podała, a teraz pies ma jakieś guzy!

Guzy? Po preparacie przeciwpasożytniczym?

Było tak. Pani żona powiedziała, że z tabletkami nie dadzą sobie rady. Nie ma mowy, odpada. Pasta za to spotkała się z aprobatą. A że pies w skali mikro – 2,3 kilograma w szelkach i kaftaniku, niewielką porcję pasty wydzieliłem do strzykawki, zatkałem igłą

i wpisałem do książeczki: „Podać doustnie”. Było też pouczenie słowne. Niestety telefon okazał się ciekawszy ode mnie i niewiasta, przytakując mi, cały czas gapiła się w wyświetlacz. W domu natomiast zadziałały odruchy. W papierowej kopercie znajdowała się strzykawka. Strzykawka z igłą. A co się robi z igłami na strzykawce? Też pytanie! Zastrzyk się robi. I pani wzięła zrobiła. Problem nie w tym, że zrobiła zastrzyk. Ja czasem proponuję właścicielom, żeby zrobili iniekcję w domu. Niekiedy jest to bardzo pomocne. Problem w tym, że nie wszystko do takiego wstrzykiwania się nadaje. Pasta na robaki zdecydowanie nie. Pastę na robaki się zjada, żeby mogła działać w jelitach. Podana podskórnie nie dość, że nie zadziała, to jeszcze spowoduje powstanie pięknego ropnia. Od tej pory staram się odrywać igłę od plastikowej obsadki, która mocuje ją do strzykawki. W ten sposób nikt nikogo nie dziabnie.

Inna kobieta natomiast przyszła oznajmić, że nasze tabletki na robaki są do niczego, bo ona daje i daje, a w kale nadal widzi człony tasiemca. Zdziwiony drążę, pytam, potem pytam o to samo, ale inaczej. Tabletki nie mogły działać, ponieważ opiekunka wciskała je swojemu kotu w tyłek. Spytana dlaczego, odparła: „Bo przecież robaki w dupie żyją”[60].

Niesłuchanie zaleceń może nie tylko zniweczyć skuteczność leczenia, lecz także narazić portfel właściciela na spore wydatki. Walczyłem kiedyś z problemami neurologicznymi u pewnego młodego labradora. Najważniejsze, co nas martwiło, to nasilające się ataki padaczkowe i wytrzeszcz oczu. Jeśli chodzi o problemy z ośrodkowym układem nerwowym, mam ograniczone możliwości diagnostyczne. Wszystko, co mogłem, zrobiłem, nadeszła pora na rozszerzenie diagnostyki. Pies potrzebował porządnej konsultacji neurologicznej w miejscu, gdzie zrobią psu rezonans magnetyczny głowy. Mówię więc właścicielom, że podzwonię, popytam, napiszę skierowanie i pojadą. Właściciele zniknęli na tydzień. Wrócili z grubą

teczką i informacją, że oni zrobili te wszystkie badania. Jakie, kuźwa, badania?!!! Mieli przecież poczekać jeden dzień, a oni znikają na siedem i wracają z jakimiś „badaniami”! No ale okej, co powiedział neurolog i co wyszło na rezonansie? Nie było neurologa, a na rezonans zabrakło funduszy. Zrobiłem wielkie oczy i wydałem bliżej nieokreślone: „Yyy?”. Co się wydarzyło?

Z mojego tłumaczenia właściciele zarejestrowali tylko słowo: „rezonans”. Nie czekając, co ustalę, pojechali do najbliższej kliniki, gdzie takowy się znajdował. Nie mając skierowania i dokumentów z dotychczasowego leczenia. W klinice (psu z padaczką i wytrzeszczem!) zrobiono: pełne badanie krwi z testem na choroby odkleszczowe, USG brzucha, EKG, echo serca, zdjęcie klatki piersiowej, tomograf klatki piersiowej… Tonę badań, które były albo zdublowane, bo robiłem je ja, albo niepotrzebne. Na rezonans nie starczyło pieniędzy. Na pytanie: „Po co tam pojechaliście?”, usłyszałem odpowiedź: „Bo przecież pan kazał”. Wytłumaczenie, że nie o tym mówiłem, zajęło mi dobrą chwilę, a na rezonans musieliśmy poczekać miesiąc do następnej pensji.

Wiele psów cierpi z powodu zapalenia kanału słuchowego zewnętrznego, czyli tak zwanego zapalenia uszu. Uszy leczy się przede wszystkim miejscowo. Wlewamy do środka odpowiednie preparaty. W odpowiedni sposób. Jest to ważne. Bo problem jest w środku. Jak będziecie smarować małżowinę albo nie wmasujecie preparatu w odpowiedni sposób, leczenie nie przyniesie efektu. Dlatego każę właścicielom pierwszy raz kropić przy mnie. Mam wtedy pewność, że przynajmniej zrobią to dobrze.

Potrzebujemy siebie nawzajem. Nic nas nie uchroni przed kontaktem. Nie zawsze musimy się dogadywać, nie wszyscy musimy się lubić. Mimo wszystko warto spróbować uczynić współpracę maksymalnie znośną. Dla obu stron. Znam bolączki zarówno lekarzy, jak i klientów. A wiecie, gdzie leży wina? Pośrodku. Jeśli ktokolwiek

założy, że ma bezwzględną rację, ułożenie udanej relacji nie będzie możliwe.

Życzę wam, żebyście trafiali tylko na uprzejmych i wyrozumiałych weterynarzy. A moim kolegom, żeby nie odwiedzali ich roszczeniowi klienci. Jeśli będziemy się nawzajem słuchać, to jest szansa, że jakoś ze sobą wytrzymamy.

[58] Klienci są zdziwieni, gdy spotykam ich na jakimś koncercie. Przecież weterynarz to nie ma życia prywatnego.

[59] Układ immunologiczny jest zwyczajnie zajęty produkcją przeciwciał po szczepieniu i nie przejmuje się takimi drobnostkami jak walka z chorobą.

[60] Nie jest to prawda. Owszem, taki owsik to może dziecko łaskotać po odbycie, jednak większość pasożytów wewnętrznych żyje daleko, głęboko w czeluściach jelit.

ZAKOŃCZENIE
z bonusem

Dobrnęliście szczęśliwie do końca tej książki. Gratuluję! Mam szczerą nadzieję, że lektura sprawiła wam tyle przyjemności, co mi pisanie. Zdaję sobie sprawę, że miejscami wspominałem o rzeczach mało zabawnych. Jednak szara rzeczywistość pracy lekarza weterynarii zwykle nie bywa zabawna. Borykamy się ze stresem, walczymy o zdrowie zwierząt, czasem musimy zmierzyć się też z ich właścicielami. A właściciel... jak to właściciel. Jeden do rany przyłóż, inny pragnie zaleźć za skórę. Tak jednak wygląda moja praca. Wszystkie historie przytaczane w tekście wydarzyły się naprawdę. Może czasem inna była rasa, może zamiast pani był pan. Jeśli ktoś utożsamia się z którąś z opowieści, cóż poradzę. Następnym razem proszę robić tak, żeby nie musieć się utożsamiać.

Dziękuję wam za to, że poświęciliście czas na przeczytanie moich historii. Nim się rozstaniemy, chciałbym jeszcze wspomnieć o najbardziej znienawidzonym przeze mnie przedmiocie…

•

Moje pokolenie (ale to brzmi!) jeszcze pamięta, jak to było, gdy nie biegaliśmy dookoła jak oszalali z telefonem przy uchu. Ja swoją pierwszą komórkę dostałem w liceum. Myślę, że młodszemu

czytelnikowi trzeba wyjaśnić, że wtedy przez telefon się ROZMAWIAŁO i ewentualnie pisało wiadomości tekstowe. No i puszczaliśmy sygnały. Kurczę, już nie pamiętam, kiedy ostatnio puszczałem sygnałka! Telefony nie były miniaturowymi komputerami, jak dzisiaj. Tylko dzwonienie, SMS-y i ewentualnie Snake. Kropka.

Teraz dzwonią wszyscy i ciągle. I z każdą pierdołą. Telefon NIE PRZESTAJE DZWONIĆ! Pytają, czy mogą przyjść na wizytę albo czy muszą przyjść na wizytę i czy będą coś płacić, jeśli przyjdą na wizytę. Może doczekam czasów, kiedy wy podłączycie psa do smartfona, a ja zdalnie dokonam aktualizacji. Jednak zanim to nastąpi, trzeba fatygować się do gabinetów, przychodni, lecznic, klinik, szeptuch, znachorów i do kogo tam chcecie. Ale najpierw trzeba zadzwonić…

Abyście mogli wczuć się w klimat weterynaryjnych połączeń telefonicznych, poniżej przedstawiam kilka z mnóstwa rozmów, które przeprowadziłem przez telefon.

[W celu uproszczenia dalszej części lektury w tym rozdziale wprowadzam legendę: J – to ja osobiście, K – to klient/klientka].

Rozmowa międzynarodowa

Nie zawsze jest tak, że ktoś dzwoni z jakąś głupotą. Część telefonów naprawdę można potraktować jako wołanie o pomoc. I ja staram się pomóc. Niestety dopóki naukowcy nie opracują metod teleportacji, dopóty udzielenie pomocy pacjentowi mieszkającemu 2000 kilometrów ode mnie będzie niemożliwe.

K: Dobry wieczór. Dodzwoniłem się do lekarza weterynarii?
J: Owszem. W czym mogę pomóc?

K: Bo wie pan, mój pies był dzisiaj kastrowany, ale nasz lekarz nie odbiera telefonu, a mu krew ciurkiem leci z rany i zaczynam się martwić.
J: Dobrze by było, gdyby obejrzała to osoba operująca pańskiego psa.
K: Ale on nie odbiera.
J: Wie pan, ja przez telefon nie jestem w stanie panu pomóc. Możemy się spotkać w przychodni za pół godziny.
K: To może być trudne.
J: Dlaczego?
K: Bo ja z Barcelony dzwonię…

Nie można leczyć na odległość. A już w szczególności nie można szukać przyczyny krwawienia przez telefon. Nie mówiąc o zacerowaniu miejsca przecieku.

Mała dygresja. Zdecydowanie nabieram cieplejszych uczuć względem klienta, gdy dzwoni do lekarza weterynarii, nie do weterynarza bądź „weteryniarza". Może to i czepianie się szczegółów, mimo to jakoś tak milej.

Po co ja dzwonię?!

J: Przychodnia weterynaryjna, słucham?
K: Halo?! Haloooooo! Kto mówi?
J: Dodzwonił się pan do przychodni weterynaryjnej.
K: No bo ja mam takie zapytanie.
J: Zamieniam się w słuch.
K: Bo mój pies siedzi, patrzy się w okno i wzdycha.
J: I...?
K: I chciałbym wiedzieć, co mu jest.

J: Wie pan, objawy nie wskazują na żadną konkretną jednostkę chorobową.
K: Hę?
J: Nie powiem, co mu jest, bez badania.
K: Nie powie mi pan?
J: Niestety nie wiem, co mu jest.
K: Nóż kur** mać! To po co ja dzwonię?! [Trzask słuchawki].

Powyższa rozmowa pięknie ilustruje, jaką ufność pokładamy w dzwonieniu. Gdy ktoś mi opowiada przez telefon, że jego pies patrzy w okno i wzdycha, to mam ochotę zasugerować, że może się zakochał. Nie przychodzi mi do głowy żadna choroba o takich objawach. Jednocześnie widzimy, jaka frustracja tkwi w społeczeństwie. „Dzwonię, żeby coś ZAŁATWIĆ" zostało nam po komunie, w której się załatwiało wszystko, a tu mi jakiś palant mówi, że w ten sposób nie załatwię.

Człowiek wścieklizna

Musimy sobie wyjaśnić kwestie urzędowe. Szczepienie przeciwko wściekliźnie jest regulowane prawnie. Lekarz weterynarii ręczy, że zwierzę zaszczepił i że nie było ku tej czynności przeciwwskazań. Nikt normalny nie da właścicielowi do ręki szczepionki z błogosławieństwem: „Zaszczep se sam". Za to jest ciupa. A mimo to niektórzy dają…

J: Przychodnia weterynaryjna, słucham?
K: Dzień dobry. Chciałbym kupić szczepionkę na wściekliznę.
J: Przeciwko wściekliźnie możemy panu zwierzę zaszczepić, a nie sprzedać szczepionkę.

K: Dobra, dobra. Sam sobie zaszczepię.
J: Szczepienie jest urzędowe, szczepi i wypisuje dokumenty uprawniony lekarz.
K: Czyli mi pan nie sprzeda?
J: Nie.
K: Spier*****!

Swoją drogą, bardzo łatwo jest przejść od „dzień dobry" do „spier*****". A ja nawet nie zdążyłem pana odpowiednio pozdrowić.

Czy to strzelnica?

K: Halo? Halo, weterynarnia?!
J: Tak, słucham.
K: Wy tam strzylacie sam do psów?
J: ŻE CO PROSZĘ???!!!
K: No. Bo kiedyś jak był stary pies, to przychodził weteryniarz i do niego strzylał.
J: A kiedy to było? Nikt tu nie strzela do zwierząt!
K: No tak jakoś zaraz po wojnie to było…

Pamiętam, że gdy usłyszałem pytanie o strzelanie do psów, początkowo mnie zamurowało. Ja tu uskuteczniam walkę o zdrowie i życie zwierząt, a ktoś sprowadza mnie do roli kata wykonującego egzekucje na geriatrykach. Kwestię strzelania do zwierząt domowych rozjaśnił mi jeden ze starszych lekarzy. Otóż faktem jest, że poddawanie zwierząt eutanazji nie jest praktyką starą. Jeszcze ładnych parę lat po drugiej wojnie światowej, gdy pies był wiekowy, schorowany i nie chciał umrzeć, wzywało się kogoś z pozwoleniem na broń – czyli kogoś, kto miał broń – żeby wysłał nieszczęśnika do

Świętego Piotra. Zwykle był to jakiś myśliwy albo leśniczy. A gdzieniegdzie lekarz weterynarii z flintą. Oczywiście obecnie się tego nie praktykuje. Starszej pani jednak fakt ten zapadł głęboko w pamięć.

Uczmy się języków

W pracy gadałem już po angielsku, który ogarniam dość dobrze, po niemiecku, który ogarniam w stopniu miernym, po hiszpańsku (*Hola, me llamo Łukasz, soy veterinario*), który ogarniam jeszcze mniej. Nigdy nie rozmawiałem po czesku. Aż do pewnej niedzieli.

J: Ha… halo? [Jest niedziela, 7.00 rano, znaczy się śpię].
K*: Dobrý den. Mám psa v Kokotku. On je nemocný.*
J: Chwila. Po czesku pan mówi?
K. *Ano.*
J: Moment, właśnie się obudziłem. Jest pan w Kokotku i ma pan chorego psa, dobrze zrozumiałem?
K: *Ano*.
J: Co się dzieje?
K: *Večer jedl suché krmivo, všechno zvracel, teď leží.*
J: Aha. Duży pies?
K: *Ano.*
J: Ubieram się i jadę.
K: *Děkuji.*

Finał historii jest taki, że nawet nie zdążyłem wciągnąć spodni na tyłek i już odebrałem kolejny telefon. Pies zszedł. Chyba skręt żołądka.

Na Śląsku nazwaliby typa „głupi ciul”

Każdy ma prawo do własnych poglądów. Problem w tym, że niektórzy mają tendencje do radykalizowania się. Odczuwają palącą potrzebę, by wyrazić swoją opinię, a ludzi o odmiennym zdaniu traktują jak wrogów. Bo przecież Polak ma zawsze rację. Jedyną i słuszną.

K: Halo? Czy dodzwoniłem się do lekarza weterynarii?
J: Tak, słucham.
K: Zacznijmy od tego, że od jakiegoś czasu jestem szczęśliwym posiadaczem psa rasy yorkshire terrier. Jest to osobnik z wybitnej hodowli [tu padła nazwa], a jego rodzicami byli wielokrotnie utytułowani [imiona rodziców]. Nie będę mówił, jak dużo za niego zapłaciliśmy, jednak musi pan zrozumieć, że jest to pies bardzo cenny.
J: Aha, proszę kontynuować.
K: I wie pan, my z małżonką jesteśmy przeciwnikami szczepień, jednakże staramy się postępować zgodnie z literą prawa, a podobno istnieje obowiązek szczepienia psów przeciwko wściekliźnie. Prawda?
J: Prawda.
K: Jednakże hodowca poinformował nas o wyjątkach od przepisów. Nadmienił, że psy rodowodowe nie podlegają szczepieniu. Chciałem to potwierdzić.
J: Hodofffca wprowadził pana w błąd. W myśl ustawy o zwalczaniu chorób zakaźnych szczepieniu podlegają WSZYSTKIE PSY od ukończenia dwunastego tygodnia życia aż do końca swoich dni. C-O R-O-K-U.

K: Hodowca mówił, że pan tak powie. No ale wiadomo, wasze środowisko jest w zmowie z koncernami farmaceutycznymi! Moja noga nie postanie w waszej przychodni!
[Sygnał kończący połączenie].

Cały czas się zastanawiam, gdzie są te miliony, które są mi rzekomo wypłacane przez koncerny farmaceutyczne. No gdzie, do diaska?! Swoją drogą, idę o zakład, że rzeczony york, pochodzący ze znamienitej hodowli, urodził się w chlewiku u jakiegoś pseudohodowcy. Kosztował parę stówek, a szczęśliwy wszechoświecony właściciel twierdzi, że kupę ma złotą, a bąki o zapachu lawendy. Strzeż, Panie, od takich klientów!

Zaoczna ocena operacyjności

Wiele telefonów do przychodni jest bez sensu. Dotyczą postawienia diagnozy, ustalenia leczenia, określenia kosztów za leczenie itd. Są bez sensu, gdyż lekarz bez zbadania pacjenta nie jest w stanie niczego powiedzieć. Nie widząc zwierzęcia, nie mogę składać żadnych deklaracji.

K: Halo? Weteryniarz?
J: Nooo…
K: Bo ja mam psa. I mu coś urosło pod brzuchem. Da się to wyciąć?
J: Nie wiem.
K: Jak to pan nie wie? To daj pan kogoś, kto wie.
J: Jak mamy panu powiedzieć przez telefon, czy coś jest operacyjne, czy nie? Musimy najpierw to zobaczyć.
K: Kurde. Nie mam czasu teraz. Czyli nie wie pan?
J: Nie.

K: To do widzenia.

Coś pod brzuchem może być wielkości groszku, a może być większe od głowy noszącego je zwierzęcia. Może być luźnym tworem na skórze albo wielkim guziorem naciekającym klatkę piersiową. Nie, przez telefon nie wiem, czy można wyciąć, czy nie.

Ja do Tomka…

K: Halo! Halo?! Tomek?!
J: Nie Tomek. Do kogo się chciała pani dodzwonić?
K: Do Tomka.
J: Tu go nie ma. Dodzwoniła się pani do przychodni weterynaryjnej.
K: O kur**. I nie ma go tam?
J: Nie.
K: A, słuchaj pan. Ja z panem ostatnio z Koszęcina jechałam.
J: Nie. Zdecydowanie nie jechała pani ze mną z żadnego miejsca. A Tomek dalej na panią czeka. Do widzenia.

Tu mam tylko jedną uwagę. Nie dzwoń po pijaku.

Fantastyczna weterynaria – dobór słów ma znaczenie

K: Halo?! Weterynarnia?
J: Tak, słucham pana.
K: Wy tam sam kastrujecie OGRY?
J: Czy co kastrujemy?!
K: No ogry.
J: Nie wiem, co to jest ogr.

K: Ogra pan nie widział? Wygląda jak kobyła, tylko ch**a ma.
J: Aaa! O ogiera panu chodzi?
K: No.
Ja: A to kastrujemy.

Dobra, jestem podły. Od początku wiedziałem, o co panu chodzi. Jednak jak usłyszałem: „Czy kastrujecie ogry?”, zaraz wyobraziłem sobie, jak na moim stole leży znieczulony Shrek. I ja temu Shreku usuwam te wielkie, zielone jaja. Tak działa moja wyobraźnia, nic nie poradzę. Ciekawi mnie również, jaką minę miałby rzeczony ogr po wybudzeniu się z narkozy i zajrzeniu do gatek.

Halo? Gdzie jestem?

Sobota, 12.57. Czekam, już praktycznie przebrany, na wybicie 13.00, żebym mógł zamknąć i zwiać do domu. Wtem rozlega się dzwonek telefonu.

K: Czy to przychodnia na Sienkiewicza?
J: Tak, słucham?
K: Do której macie otwarte? Bo ja nigdy u was nie byłam i nie mogę znaleźć drogi.
J: Teoretycznie za trzy minuty zamykam… Ale niech mi pani powie, gdzie pani jest, to ja poczekam…
K: Jestem na ulicy Sienkiewicza, koło szkoły…
J: To musi pani iść jeszcze kawałek. Po prawej będzie taki duży zakład produkcyjny, a po lewej my.
K: Ale już tam byłam i tam nie ma żadnej przychodni.
J: No to po kolei. Zjechała pani z ronda w Sienkiewicza.
K: Tak.

J: Minęła ani urząd miasta i światła.
K: Tak, tak.
J: Potem po prawej była szkoła i za skrzyżowaniem prosto.
K. TAK!
J: No i sto metrów dalej w podwórku jest przychodnia.
K: Nie ma! Tylko jakieś magazyny. Pytałam ludzi i nikt nie słyszał o przychodni weterynaryjnej na tej ulicy.
J: A skąd pani dzwoni?
K: No z Inowrocławia.
J: Dodzwoniła się pani do Tarnowskich Gór. W województwie śląskim. Jak pani ten numer znalazła?
K: Google przekierował mnie do weterynarii w najbliższej okolicy…

To w najbliższej okolicy leży 350 kilometrów dalej…

A TO już naprawdę koniec…

Łukasz Łebek, Lubliniec 2019–2020

Podziękowania

Powstanie tej książki zawdzięczam wielu osobom i okolicznościom. Nie sposób wymienić wszystkich. Chciałem jednak w tym miejscu podziękować załodze Wydawnictwa Poznańskiego za dostrzeżenie potencjału w mojej radosnej internetowej twórczości. Za cenne rady i tonowanie moich emocji, gdy słowa wręcz krzyczały ze stron.

Dziękuję opiekunom zwierząt, których spotkałem na swej drodze. Zarówno w gabinecie, jak i w czeluściach internetu. Za zaangażowanie, za troskę o tych, którzy nie potrafią mówić. Przede wszystkim jednak za stałe dostarczanie mi materiału do tworzenia i przemyśleń. Mimo że nie zawsze się dogadujemy, zawdzięczam Wam to, że ewoluuję jako lekarz. Nauczyłem się dzięki Wam dostrzegać inne punkty widzenia.

To, że napisałem niniejszą książkę, było możliwe, ponieważ wykonuję taki zawód, a nie inny. Gorąco chciałbym podziękować moim rodzicom. Osiągnięcie tego celu zawodowego zawdzięczam w dużej mierze właśnie im. To oni wychowali mnie, ucząc wrażliwości i poszanowania dla życia. Dbali o to, abym przykładał się do nauki, i jednocześnie wspierali w realizacji mojej pasji. Byli i są nie tylko rodzicami, ale również przyjaciółmi. Dostaję od nich mnóstwo miłości. Obojętnie, jaki pomysł wpadnie mi do głowy, zawsze są po mojej stronie. Dzięki Wam jestem tu i mogę dzielić się swoją twórczością ze światem. Mamo, Tato, jesteście najlepsi!

Na koniec zostawiłem sobie najważniejszą osobę w moim życiu. Moją ukochaną żonę Weronikę, dzięki której chce mi się chcieć. Stale motywuje mnie do dalszego działania i jest przy mnie bez względu na wszystko. Nawet gdy praca obciąża mnie psychicznie i milczę, patrząc tępo w ścianę. Nawet gdy ze wściekłości chcę płakać. Cieszy się z moich sukcesów i podaje dłoń, gdy upadam. Ona również jest pierwszym czytelnikiem i krytykiem moich tekstów. Dziękuję Ci, kochanie, za to, że mówiłaś mi „pisz" i nigdy nie przestajesz we mnie wierzyć. Za to, że mam w Tobie najlepszego przyjaciela. To dla Ciebie jest ta książka. Kocham Cię.

David Attenborough
Życie na naszej planecie. Moja historia, wasza przyszłość
Przełożyła Paulina Surniak

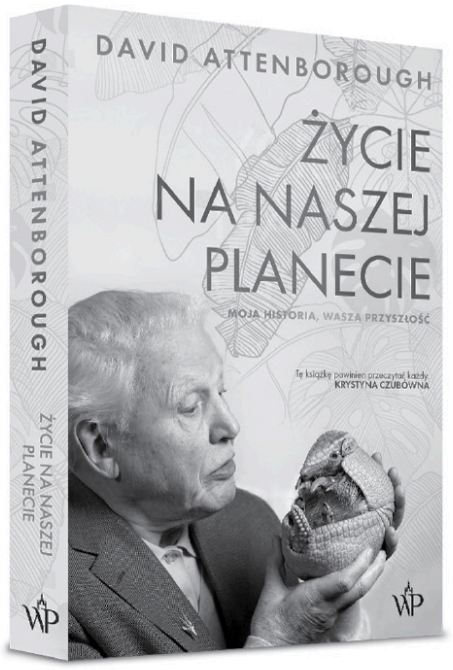

Świat, w którym żyjemy, zmienił się nie do poznania na jego oczach. Postępująca zagłada bioróżnorodności naszej planety jest prawdziwą tragedią naszych czasów, a jej dowody są wszędzie. Możemy to zmienić, jeśli zaczniemy działać teraz. David Attenborough jest właściwą osobą, która może wskazać nam drogę. W tej niezwykłej, autobiograficznej książce najsłynniejszy przyrodnik świata opowiada o tym, jak popełniliśmy nasz największy błąd, a także o tym, jak możemy go naprawić.

Czy to, czego jesteśmy obecnie świadkami, jest ostatnim rozdziałem życia na Ziemi? Po tej lekturze wydaje się, że jest jeszcze szansa, by uratować siebie i świat przed zagładą. Ale to zależy tylko od nas! Tę książkę powinien przeczytać każdy.

Krystyna Czubówna

Jacek Karczewski
Jej wysokość gęś. Opowieści o ptakach
oraz Noc sów. Opowieści z lasu

Jacek Karczewski podgląda ptaki m.in. na rozlewiskach Biebrzy i przy ujściu Warty czy na angielskich Farne Islands. Obserwuje ich zwyczaje i zachowania. W książce *Jej wysokość gęś. Opowieści o ptakach* opisuje niezwykłe losy ptasich bohaterów oraz wyjątkowych ludzi, takich jak Tata Żuraw czy Kobieta, która leciała z łabędziami. Wszyscy jednym głosem opowiadają nam naprawdę piękną historię.

Noc sów. Opowieści z lasu – książka o tym samym tytule, co organizowane przez stowarzyszenie Ptaki Polskie wydarzenie o ogólnopolskiej skali – to kompletna kolekcja polskich sów: 18 rozdziałów fascynujących faktów i sowich legend z całego świata.

Autor jest cały w ptakach: popularyzuje wiedzę o nich, działa dla ich ochrony oraz jako animator środowiska „ptakolubów". (…) To jest interesująca i kształcąca lektura zarówno dla tych, coraz liczniejszych, już owładniętych „ptasią" fascynacją, jak i tych którzy nie zaznali (jeszcze!) bogactwa przeżyć w tym zauroczeniu.

prof. dr hab. Maciej Luniak, Muzeum i Instytut Zoologii PAN

Łukasz Łukasik, Magda Sarat
Łosie w kaczeńcach. O czym milczy Biebrza

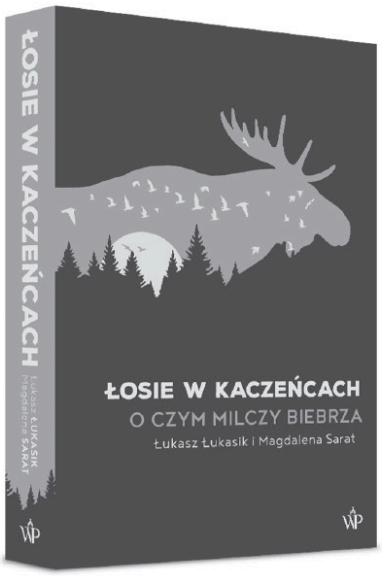

Czuliście kiedyś ekscytację na myśl, by przespać w samochodzie noc przy ujemnej temperaturze, a później wstać przed świtem i pół dnia czatować na podmokłym terenie w pozycji leżącej? Zapewne niewielu o tym marzy, a zrozumieć może tylko ten, kto tego doświadczył. Ale efekty lubimy podziwiać wszyscy – dzięki fotografom i pasjonatom takim jak Magda i Łukasz, którzy od lat z powodzeniem portretują m.in. zmieniające się Bagna Biebrzańskie.

Znajdziecie tu wiele zaskakujących ciekawostek o przyrodzie, piękne zdjęcia oraz związane z nimi niesamowite historie. Nie zawsze uda się właściwie wybrać miejsce potencjalnego spotkania, a niekiedy jeden nieostrożny ruch może spłoszyć cel. Czy zatem warto? Zajrzyjcie do książki i przekonajcie się!

Cudowny dwugłos o przyrodzie i zakątkach, które znam. Lekki język, bogactwo informacji, prawdziwe emocje i sympatia do obserwowanych zwierząt. A na dodatek garść cudnych zdjęć. Brawo!

dr Andrzej G. Kruszewicz